



ZYGMUNT ZEYDLER-ZBOROWSKI

KRZYŻÓWKA Z „PRZEKROJU”

CZYTELNIK

ZYGMUNT ZEYDLER-ZBOROWSKI

KRZYŻÓWKA Z „PRZEKROJU”



CZYTELNIK . WARSZAWA 1976

Rozdział I

Wczesny jesienny mrok osiadał na pniach drzew i przydrożnych krzakach. Zerwał się wiatr, potrząsnął gałęzmi, zrzucając na ziemię kolorowe liście. Od nadciągających chmur powiało chłodem.

Kalina raz i drugi spojrział ku górze.

- Żeby jeno nie chciało padać — mruknął niespokojnie. — Plandeka nie plandeka, a jak lunie, to i tak mąka wilgoci nabierze. Psiakrew!

Żałował teraz, że się w młynie zasiedział. Ale młynarz, człowiek grzeczny i gościnnie, naszykował poczęstunek i tak zapraszał, że nijak nie można było odmówić. Wypili, pogadali, domową kiełbasą zakąsili i tak jakoś zeszło. A teraz worki z mąką gotowe zamoknąć. Cholera jasna.

Znowu obejrzał się na niebo, które nabierało coraz ciemniejszej, ołowianej barwy, i machnął batem.

- Wioo.!

Krępy, skarogniady wałach potrząsnął łbem, jakby zdziwiony, że mu każą przyspieszyć kroku pod tą piaszczystą górę, i ruszył niechętnie niezbyt żwawym truchtem.

Wydostali się na szczyt pagórka i teraz wóz potoczył się lżej po polnej drodze, pokrytej poźółkłą trawą i gnijącymi liśćmi.

— Wioo! — powtórzył Kalina.

Zmierzchało już na dobre. Koń, poczuwszy stajnię, bez zachęty szedł teraz dziarskim kłusem, parszając od czasu do czasu. Wizja pełnego żłobu podziałała na niego ożywczo.

Kiedy wjeżdżali w obejście, upadły pierwsze krople deszczu.

Chłop wygramolił się z woza i krzyknął grzmiącym głosem:

- Jasiek!

Ze stodoły wypadł rozczochrany chłopak i w paru skokach znalazł się przy wozie.

- Spałeś, draniu!

- Gdzieżby zaś... Kurym szukał, tej dropiatej. Kajs się zapodziała.

- Mąkę znoś, a żywo. Deszcz idzie.

Kalina sam dźwignął pierwszy z brzegu worek, a chociaż to było tylko osiemdziesiąt kilo, zasapał się i poczuł, jakby mu nogi zmiękły w kolanach. „Starym” — pomyślał i ogarnęła go złość.

Kiedy już mąka była pod dachem, wyprzegli konia i zatoczyli wóz pod szopę. Obaj weszli do stajni.

- Chciałem z wami pogadać — powiedział Jasiek, nakładając karemu kantar.

Kalina zaniepokoił się. Takie „pogadanie” nigdy nie wróżyło nic dobrego.

- O czym chciałeś pogadać?

- Że ja już u was nie będę pracował.

- Bo co? Żle ci u mnie? Krzywdujesz siebie?

- Krzywdować siebie nie krzywduję. Tylko że...

- Tylko że co?

- Tylko że się żenię.

Kalina był wyraźnie zaskoczony.

- Żenisz się? Ty? A z kimże to?

- Z Łukasikową.

- Bój się Boga. Przecie to stara baba.

- Nie taka stara. Ładną ma gospodarkę. Na swoim będę robił.

- Jeszcześ za młody na żeniaczkę.

- Parę років przejdzie, to już i taki młody nie będę — roześmiał się Jasiek. — A zawsze co na swoim, to na swoim. Piękna gospodarka. Dom nowutki, z prawdziwej cegły stawiany, nie z żadnych tam betonów, dwadzieścia hektarów ziemi pierwszej klasy, bydło, konie, nawet taka bryczka, jak kiedyś dziedzice mieli. Wszystko jak trza. Stary Łukasik był gospodarz, że ho. Panie świeć nad jego duszą. Kobita sama się została. Chłop w gospodarstwie potrzebny, a że jej się udałem, no to...

- Rób jak uważasz — mruknął Kalina. — Żebyś jeno nie żałował.

— A czego mam żałować?

- Różnie się może przydarzyć. Bywa i tak, że morgi diabli wezmą, a stara baba na karku zostanie. Mało to takich widziałem, co się przed wojną z dziedziczkami dla majątki żenili. A potem przyszła parcelacja i co? I po majątku.

- Teraz już nijakiej parcelacji nie będzie — powiedział wesoło Jasiek. — A jak się do gospodarki przyłożę...

Kalina wyszedł ze stajni markotny. Wiadomość o że-niaczce Jaśka była dla niego prawdziwym ciosem. Tego się nie spodziewał. Jakże on sobie teraz da radę? Sam, bez pomocy... Trudno będzie, oj, bardzo trudno i ciężko. Czuł się już stary, słaby, zmęczony. Czy podoła? O jakiejś pomocy trudno było i marzyć. Młodzi szli do miasta, do fabryk. Na swoim nie chcieli siedzieć, a cóż dopiero mówić, żeby który zgodził się za parobka. Z Jaśkiem to było całkiem inaczej. Jasiek nie miał chęci iść do fabryki. Sierota, bez domu, wałęsał się tak od wsi do wsi, tu zagrał na weselu na harmonii, tam pomógł przy koszeniu. Już trzy lata mijały, jak go przygarnął. Myślał, że go zatrzyma, że mu może kiedyś swoje morgi odpisze. A tu masz. Żenić się chce z wdową po Łukasiku, ze starą babą. Może ona jeszcze i nie taka strasznie stara, ale dla Jaśka... Przecie on nie będzie miał więcej jak dwadzieścia dwa roki. Dzieciak.

- Nie gniewacie się na mnie?

Kalina przystanął i poważnie spojrzał w szczerą twarz chłopaka.

— A czegoż miałbym się na ciebie gniewać?

- Bo mi się uwidziało, żeście na mnie krzywi za ten ożenek.

- To ci się źle uwidziało — uśmiechnął się Kalina. — Nie jestem ci krzyw. Po prawdzie, może bym i wolał, żebyś się żenił z młodą dziewczuchą, żebyś ją brał z prawdziwego kochania.

- Jak są pieniądze, to i o kochanie łatwiej.

— Chyba że tak.

Kalina machnął ręką i poszedł do chałupy.

Na kominie buzował siarczysty ogień. Od rozżarzonej blachy szedł na kuchnię okropny gorąc. Gospodyni nakarmiła

parobka, a teraz czekała z kolacją na męża. Kobita była jeszcze krzepka, zamaszysta. Nie wyglądała na swoje lata. Sąsiedzi zazdrościli Kalinie takiej zdrowej i robotnej żony.

- A cóżeś się tak w tym młynie zasiedział, co?

- We młynie, jak to we młynie — burknął Kalina i usiadł ciężko na ławie stojącej pod ścianą.

- Siadaj przy stole. Zaraz dam ci kolację. Chcesz kapuśniaku?

- Chcę.

Uważniej popatrzyła na męża.

- Znowu piłeś z młynarzem.

- Jakie tam picie. Nawet i pół litra nie było.

- Wiesz, że ci wódka szkodzi.

- To nie była wódka. Nalewka swojej roboty.

- Nalewka, nie nalewka, a zawszeć wódka. Wiesz, że ci doktor zakazał.

- Daj mi spokój z doktorem. Innym zakazuje, a sam chleje jak Świnia. Wszyscy oni mądrzy do brania pieniędzy. Dwa, trzy kieliszki dobrej domowej nalewki jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

- Siadaj jeść — powiedziała Kalinina, stawiając na stole kopyaty talerz kapuśniaku. — Zaraz ci chleba ukroję-

Kalina przysunął krzesło, usiadł za stołem i zabrał się do jedzenia. Niesporo mu szło. Po chwili odłożył łyżkę i wyjął z kieszeni paczkę „Sportów”.

- Nie smakuje ci? — spytała.

- Smakuje. Jenó głodny nie jestem. — Potarł zapalną i przez chwilę wpatrywał się w migotliwy, wątły ogieniek. Zapalił papierosa, zaciągnął się i powiedział: — Słyszałaś nowinę?

- Jaką nowinę?

- Jasięk się żeni.

- Nie gadaj. Z kim?

- Z Łukasikową.

- Oszalał? Przecie mu matką mogłaby być. To już nie ma młodych dziewczuch, czy jak?

- Jego sprawa. Jak chce, niech się żeni.

- Ale kto tu będzie robił? Sami nie damy rady.

- Otóż to... — Kalina przesunął dłonią po siwych Wąsach.

— Otóż to — powtórzył. — Nie na moje to już siły. Starość, żono, starość. Na to nie ma lekarstwa. Na to żaden doktor nie pomoże. Słabym.

- Co ty też za bajdy opowiadasz? — zachnęła się Kalinina. — Chłop jeszcze z ciebie krzepki. Daj Boże niejednemu młodemu te siły.

Potrząsnął głową i cisnął pod komin nie wypalonego papierosa.

- Nie krzepkim już, nie. Worek z mąką ledwiem uradził. A tylko osiemdziesiąt kilo. Kiedyś półtora metra z ziemi brałem i anim się zasapał. Bez pomocy w gospodarstwie nie poradzę. Nijak nie poradzę.

- A może by Zośka z mężem przyjechała. On przecie także ze wsi.

- Diabła tam, przyjadą. W fabryce pracę ma, dobrze zarabia, mieszkanie teraz nowe dostali. Gdzie im na wieś iść. Batem ich tu nie nagnasz. Wiejska robota już im nie idzie. Nie przyjadą. Nie ma co i myśleć.

- No to co będzie?

Kalina wzruszył ramionami.

- A co ma być? Będziemy robili, a jak nijak rady nie mamy, to zdam gospodarkę na państwo, dostanę rentę, i koniec. Głową muru nie przebiję, a o parobku to nawet nie ma co i gadać. Na swoim nie chcą robić, a co dopiero na cudzym.

Umilkli. On zapalił nowego papierosa, ona zabrała się do *szorowania* garnków. Narobiła przy tej robocie tyle hałasu, że kot drzemiący koło komina obudził się, ziewnął, wygiął grzbiet i wyszedł do sieni.

- Nie będziesz jadł tego kapuśniaku? — spytała po chwili.

- Nie będę.

- Musiałeś sobie tego pojeść we młynie, kiedyś niegodny.

- Dobra kielbasa, swojej roboty, z czosnkiem, pachnąca, taka jak lubię. Młynarzowa dobra gospodyni.

- A ja może zła gospodyni? — zaperzyła się Kalinina. — Zabij prosiaka, to ci i nie taką kielbasę zrobię.

- A czy ja mówię, żeś ty zła gospodyni? — uśmiechnął się

Kalina. A żeby udobruchać żonę za ten nie zjedzony kapuśniak dodał: — Jakem w ostatnią niedzielę był w gospodzie, tom gadał chłopom, że takiej gospodyni jak moja Magda ze świecą szukać.

- E tam. Bajki opowiadasz i tyle.

- Jak Boga jedynego kochani. Spytaj Maciejczaka, jak nie wierzysz.

Wstał od stołu i wrócił pod ścianę na ławę. W milczeniu kończył palić papierosa. Czuł, że żona chce z nim mówić o tamtej sprawie, i bał się tej rozmowy. Nie chciał o tym ani mówić, ani myśleć. Chciał zapomnieć na zawsze.

Skończyła z garnkami, powiesiła je równiuśko nad kuchnią, a potem zmyła talerze i przysiadła koło męża na ławie

- Wicuś...

- A co? — spytał, nie umiejąc ukryć niepokoju.

- Czy ty wiesz, jaki to dzisiaj dzień?

— Czternastego października.

- Nie o to idzie.

— A o co?

- Nie udawaj, że nie miarkujesz, o czym chcą z tobą gadać. Dzisiaj mieli Wojtusia wypuścić.

Kalina cisnął o ziemię niedopałek i z pasją przydeptał go butem.

- Tylem razy ci mówił, że nie chcę o tym słyszeć. Nie chcę! Rozumiesz?!

- Przecie to twój syn... nasz syn.

- Nie mam syna — głos Kaliny zabrzmiał twardo, zdecydowanie. — Nie mam syna — powtórzył, jakby pragnąc się utwierdzić w tym przekonaniu.

- Przecie to twój syn — upierała się.

- Powiedziałem, że nie mam żadnego syna. Daj mi święty spokój, bo jak się rozeżle, to cię spiorę.

- Takiś zawzięty?

- Nie chcę go znać i widzieć. Rozumiesz, kobito, co do ciebie gadam? Nie chcę go znać. Nie mam syna i tyle. Dla mnie jakby pomarł, albo i gorzej. Na mogile chociaż tę

lampeczkę można zaświecić, wianek świerkowy *położyć*. To *gorsze od śmierci*.

- Takiś zawzięty?

- Na porządnego człowieka go chowałem, nie na bandziora.

- Przecie wiesz, że to nie jego wina. To ta ździra! To przez nią. Przecie wiesz.

- Nie gadaj byle czego — rozsierdził się Kalina i tak walnął butem, że aż kurz się podniósł z podłogi. — Nie gadaj byle czego. Chłop miał dwadzieścia cztery roki. To nie dziecko. Wiedział, co robi, dobrze wiedział. Do rozumu już przecie dawno doszedł.

- Zbałamuciła go ta cholerna dziwka. Czegoś takiego mu zadała, że poleciał za nią jak pijany. Nijakiej rady ca to nie było.

- A od czego Pan Bóg dal człowiekowi rozum? Mógł nie polecieć. Nikt mu przecie nie kazał.

- E, tak gadasz, jakbyś nie wiedział, jak .było — zdenrowowała się Kalinina. — Wszystkie chłopcy ze wsi za nią latały jak psy za suką. Sameś gały do niej przewracał, że wstyd było patrzeć.

Kalina aż się z ławy dźwignął.

- Coś ty, Magda? Rozum ci odjęło, czy jak? O czym ty gadasz, głupia?

- A bo nie widziałam, bo to na moich oczach się nie działo? Co to ja ślepa, czy jak? Księdzu proboszczowi możesz swoje bajdy opowiadać, ale nie mnie. Ja tam dobrze wiem, kiedy chłop do baby ciągoty czuje. Mnie nikt nie oszuka. Stara baba jestem i na tych rzeczach się wyznaję.

Kalina poczerwieniał. Stał przed żoną na rozkraczonych nogach i zaciskał pięści.

- Przestań gadać byle co, bo jak cię prasnę...

Ją jednak nie strwożyła mężowska pogróżka. Mówiła dalej, rozogniając się coraz bardziej.

- Jeśli zaś stare chłopcy do tej cholery nogami przebierały, to co się Wojtusiowi dziwować. Młody był, głupi, a ona elegancka, miastowa pani. Nie powiesz mi, że była brzydka.

- Urodziwa była jucha — przyznał Kalina i splunął. Następnie odwrócił się plecami do żony, poszedł do kuchni, wziął pogrzebacz i zaczął rozbijać żarzące się węgle.

- Co robisz? — spytała.

- Żeby prędzej wygasło. Spać trza iść. Nie będziemy tak przecie do północkska siedzieli.

Westchnęła i wytarła twarz fartuchem.

- Wicus — powiedziała miękko, czule.

- Co?

- Nie możesz przebaczyć?

- Nie mogę. Nie chcę. Taki wstyd. Taka hańba. Ojciec by się w grobie przewrócił, jakbym przebaczył, jakbym bandytę do domu przyjął. Niedoczekanie.

- Pan Jezus przebaczył łotrowi na krzyżu.

- Ja nie Pan Jezus. Ja Wincenty Kalina. Mój ojciec był szanowany gospodarz i dziad, i pradziad byli szanowanymi, uczciwymi ludźmi. Mnie tu w chałupie bandytów, kryminalistów nie potrzeba. I niech mi więcej gadania o tym nie będzie, bo nie ścierpię.

- Takiś zawzięty.

- A takim. I ty mi się, kobito, nie sprzeciwiaj, bo nie ścierpię.

- Dzisiaj miał wyjść z więzienia — mówiła niczym nie zrażona Kalinina. — W sam raz dzisiaj, czternastego października. Co on też teraz pocznie, biedaczysko, gdzie pójdzie?

- A ty skąd wiesz, że dzisiaj miał wyjść? — zainteresował się Kalina. — Przecie trzy lata dopiero w styczniu mijają.

- Wcześniej go mieli puścić za dobre sprawowanie.

- A ty skąd wiesz? Kto ci powiedział?

- Wojtuś.

- Widziałaś go?

- No chyba, żem go widziała. Słoniny mu powiozłam i chleba.

- Kiedy?

- Jakem do Warszawy jeździła.

Wituś pokiwał głową.

- Oj kobito kobito toś ty mi tak nałgała. Toś mi gadała, że

do doktora, do szpitala musisz jechać na jakiejsi badania. A ja głupi uwierzyłem.

- Przecie byś mnie inaczej nie puścił. A Wojtusia musiałam zobaczyć. To mój syn, moje dziecko. Jam nie taka zawzięta jak ty. Mnie jego żal. Co on teraz nieborak pocnie, gdzie się obróci? Bez domu, bez rodziny, bez pieniędzy. Może już w tym kryminale nabrał rozumu. Może by z nami tu na gospodarce osiadł. Byłoby nam lżej. Chłop duży, silny, zdrowy, roboty się nie boi.

- Przestań, do jasnej cholery! — huknął Kalina — bo Bóg mi świadkiem, że złapię drąga i spiorę. Jużem powiedział, że nie chcę o tym wszystkim słyszeć.

Westchnęła ciężko i dźwignęła się z ławy.

- Chodźmy spać — powiedziała. — Jutro trza do dnia wstawać.

Mimo zmęczenia Magda długo nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok. Było jej gorąco pod pierzyną, a ciężkie myśli nie dawały spokoju. Po raz setny chyba stawały jej przed oczami tamte chwile. Elegancka pani w błyszczącym, nowiutkim samochodzie. Grzeczna, uśmiechnięta, zdawało się, że przyjemna. Z każdym porozmawiała. Dla każdego miała miłe słówko. Oj, mówić to ona umiała. Nawet proboszcza zagadała. Wszyscy ją we wsi lubili, podziwiali, a w szczególności chłopcy. Kto mógł wtedy przypuścić, że ona z bandziorami w komitywie. Myśleli ludzie, że ino dolarami handluje, a to przecie nic takiego. Najporządniejsi dolarami handlują. Wojtek dla niej ze wszystkim głowę stracił. Myśleli, że mu przejdzie, że to tylko tak na razie. Ale mu nie przeszło. Pojechał za nią do Warszawy i tam... O, Chryste! O, Matko Najświętsza! Wtuliła głowę w poduszkę, nie mogąc powstrzymać łez. Trza było nie pozwolić... Kto mógł wiedzieć, że tak się stanie? Kto mógł wiedzieć? Przecie chłopak był uczciwy, robotny, kochał rodziców. Lubił pracować na roli. O Boże! Boże!

Szarzało już za oknami, kiedy nareszcie usnęła. Niedługo było tego spania. Zaraz trzeba było wstawać do roboty.

Rozdział II

- ... i życzę wam ze szczerego serca powodzenia na nowej drodze życia. Mam nadzieję, iż pobyt w naszym zakładzie podziałał na was wychowawczo i że już nigdy nie spotkamy się na tym terenie. Silni, młodzi ludzie dobrej woli potrzebni są naszemu krajowi i uczciwej pracy nigdy wam nie zabraknie... Oto są wasze dokumenty...

Naczelnik otarł spocone czoło i odchrząknął. Nie cierpiał tych okolicznościowych przemówień, z których bezcelowości doskonale zdawał sobie sprawę. Ale przepisową gadkę trzeba było odwalić.

- Siadajcie — powiedział po chwili. Potężna postać milczącego chłopaka działała na niego przytłaczająco.

Wojtek usiadł. Nie odrywał spojrzenia od twarzy tego tłustego, zaróżowionego faceta. Nie odzywał się, bo nie miał nic do powiedzenia. Nie było rady. Musiał wysłuchać tej drętwej mowy, więc czekał cierpliwie, aż tamten wreszcie zmęczy się i przestanie.

- Słuchajcie, Kalina — mówił dalej naczelnik, który był człowiekiem ludzkim, znał życie i wiedział doskonale, co w tej chwili czuje jego niemy rozmówca. — Słuchajcie, Kalina, chcę was o coś zapytać. Nie moja to sprawa,

ale... Chcę was zapytać, co macie zamiar robić? Jakie macie plany?

Chłopak poruszył krzepkimi ramionami.

- A bo ja wiem.

- Pochodzicie ze wsi, prawda?

- Tak.

- O ile się orientuję, wasz ojciec ma piękną gospodarkę.

- Ma

- Może moglibyście wrócić do rodziców i pracować na roli.

- Nie wrócę. Nie ma co i gadać.

- Dlaczego?

- Ojciec mnie przeklął. Znać nie chce.

- Może wam przebaczy.

Wojtek zdecydowanym ruchem potrząsnął głową

- Mój ojciec nie z tych, co przebaczą. Nie przebaczy.

Naczelnik zafrasował się. Było mu żal tego młodego, pełnego sił chłopaka, któremu nie będzie łatwo wrócić do normalnego życia.

- Wystarałem się dla was o przydział pracy. Na Żeraniu — powiedział wyjmując z szuflady biurka papiery. — Schowajcie to dobrze. Nie zgubcie. Jak się przyłożycie do roboty, to będziecie zadowoleni. Na razie dużo nie zarobicie, ale z czasem... No, życzę powodzenia. Jakby coś nie grało, dajcie mi znać. Pomogę. A pieniądze z depozytu odebraliście?

- Wszystko odebrałem. Pieniądze także

- To dobrze. Bądźcie zdrowi i nie traćcie nadziei. Wszystko się jakoś ułoży. Każdy początek jest trudny. Trzymajcie się.

To się tak łatwo mówi: „Trzymajcie się”. Ale co dalej? Gdzie pójść? Jak żyć? Jak się ludziom pokazać? Każdy powie: „bandzior”, „oprych”, „kryminalista”. Nie takie to proste.

Jeszcze tylko parę ostatnich formalności i otworzyła się furtka w ciężkiej, żelaznej bramie. Dobrze pamiętał, jak go tu przywieziono w więziennej karetce. Był skuty. Dwóch strażników go pilnowało. Prawie trzy lata. Kawał czasu. Ciężko było, oj, ciężko.

Strażnik dla pewności sprawdził jeszcze papiery, powiedział: — Powodzenia — i zatrzasnął za nim furtkę.

W pierwszym momencie odurzyła go ulica. Dzwonienie tramwajów, warkot samochodów, gwar ludzkich rozmów. Aż się w głowie mąciło od tego wszystkiego.

Stał bez ruchu. Bezmyślnie patrzył na mijających go ludzi, na przejeżdżające samochody. Jakby czekał, a przecież nie czekał na nic ani na nikogo.

Promienie słońca raziły go boleśnie, a spaliny za każdym oddechem wypełniały płuca gęstą, smrodliwą zawiesiną. I nagle zrodziło się w nim gwałtowne, niepoahamowane pragnienie: zobaczyć drzewa, zobaczyć kwiaty, trawę, krzaki, liście. O Boże!

Ogarnęła go taka niecierpliwość, że zaczął biec, roztrzając ludzi, nie zwracając uwagi na czerwone światła.

Zadyszał się. Musiał zwolnić. Odwykł od takiego wysiłku. Czuł, jak pot spływa mu po plecach, przykleja do dała koszulę, zalewa twarz, oczy, szyję.

- Dokąd to obywatel tak się spieszy? — spytał milicjant, podejrzliwie spoglądając na zadyszanego przechodnia z walizką w rękę.

- Do parku... do Łazienek...

- Do Łazienek? Z walizką? Tak biegiem?

- Bo ja właśnie... bo ja właśnie z więzienia — wybełkotał Wojtek.

- Proszę dokumenty.

Pokazał swoje papiery. Milicjant przyjrzał im się uważnie.

- W porządku. Proszę tylko ludzi nie potrącać.

Zwolnił kroku i szedł teraz spokojnie, opanowując całą siłą woli zniecierpliwienie.

Wreszcie Łazienki. Zapach ziemi, roślin i dużo, bardzo dużo kolorowych liści.

Wojtek zatoczył się jak pijany i usiadł na ławce. Głęboko wciągał w płuca powietrze, nasycone zapachem jesieni. Dopiero teraz uświadomił sobie, czym dla niego są drzewa, krzaki, ziemia.

Spojrzał na zegarek. Nie nakręcony. Podniósł głowę. Słońce stało wysoko na niebie. Musiało być koło południa.

Z wolna wracało poczucie rzeczywistości. Pierwsze zachłyśnięcie się wolnością minęło. Drzewa stały się zwykłymi drzewami, zeschnięte liście zeschniętymi liśćmi, a pożółkła trawa pożółkłą trawą. Najpiękniejsze, najwspanialsze rzeczy szybko powszednieją. To przecież nie było nic nadzwyczajnego. Zwyczajny park w jesiennym słońcu.

Trzeba było coś przedsięwziąć. Wstał, pochylił się i podniósł z ziemi dwa świeżo spadłe kasztany. Były błyszczące, przyjemne w dotyku. Poglądził je. Jakieś dalekie skojarzenie. Ona miała taką gładką, przyjemną w dotyku, opaloną na złotawy brąz skórę. Beata. Przez cały ten czas starał się o niej nie myśleć, zapomnieć, wyrwać z

serca, w pamięci przekreślić jej obraz raz na zawsze. Kurwa, przekłeta kurwa. To przecież wszystko przez nią. To ona wplątała go w tę aferę, wciągnęła w to cholerne towarzyszo. A potem... Potem wszyscy

spłynęli, a on poszedł do pudła. Na trzy lata... na długie, straszne trzy lata. Nienawidził jej, z całego serca nienawidził, a jednocześnie czuł, że gdyby w tej chwili po-deszła do niego, gdyby ją znowu zobaczył, poczuł zapach jej ciała, to... — Nie! Nie! — krzyknął głośno. — Nigdy!

Przechodnie obejrzeni się. — Pijany — ktoś powiedział.

Chmura zasłoniła słońce. Na pniach drzew osiadły cie-nie. Wojtek ruszył ku wyjściu. Musiał coś zrobić, działać, jakoś zorganizować sobie życie. Nie mógł przecież za-mieszkać w Łazienkach. Przypomniał sobie rozmowę z naczelnikiem więzienia. Skierowanie do pracy. Czy go będą chcieli przyjąć? Czy nie przestraszą się bandyty? Tylu przecież jest chętnych do pracy ludzi, którzy nie są oprychami, nie siedzieli w kryminale, nigdy nie mieli nic wspólnego z milicją, z prokuratorem, z sądem.

Dyrektor personalny nie zdradzał entuzjazmu. Znał, oczywiście, na pamięć wszystkie hasła i zalecenia, że na-leży pomagać, otoczyć opieką, ułatwić rehabilitację, po-wrót do normalnego, uczciwego życia, ale w gruncie rzeczy nie palił się do zaangażowania tego człowieka. Wielkie, muskularne chłopisko o ponurym wejrzeniu nie wzbudzało w nim zaufania. Bał się komplikacji, jakichś kłopotów, niepokojów. Nie mógł jednak odmówić, mając w pamięci wyraźne wskazania Partii i Rządu.

- Więc chcecie u nas pracować — powiedział w sposób niezbyt zachęcający.

Wojtek popatrzył na niego spode łba.

- Mam skierowanie — mruknął.

- Co umiecie robić?

- Nic.

- Nie macie żadnego fachu?

- Nie. Znam się trochę na mechanice, ale tyle co nic.
- Hm — dyrektor poskrobał się za uchem. — Więc niewykwalifikowany robotnik.

- Tak wychodzi.

- Wyglądacie na mocnego chłopa.

- Ano... siły mam dosyć.

- I chcecie u nas pracować.

- Mam skierowanie.

Dyrektor podjął decyzję.

- No dobrze. Przyjmuję was. Na próbę, oczywiście, a potem się zobaczy. Macie gdzie mieszkać?

- Nie.

- Zakwaterujemy was w hotelu robotniczym. Postarajcie się jakoś zżyć z załogą, pozyskać sobie sympatię. A przede wszystkim żadnych pijatyk, żadnych awantur, żadnych bójek. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

- Ja tam nikogo nie zaczepiam — mruknął Wojtek. — Ale niech mi nikt w drogę nie włązi, bo...

- Każdy początek jest trudny. Musicie wykazać dużo cierpliwości. Musicie z kolegami grzecznie.

- Będzie grzecznie, panie dyrektorze.

- Cieszy mnie wasza postawa — powiedział bez przekonania personalny, który od pewnego czasu obserwował zaciśnięte pięści kandydata na pracownika fizycznego. — Życzę wam powodzenia.

Wiadomość, że przyjęto do pracy zwolnionego z więzienia bandytę, błyskawicznie rozeszła się wśród robotników. Trudno było odgadnąć, kto się do tego przyczynił, ale już na drugi dzień fakt ten nie był dla nikogo tajemnicą. Tak już jest na tym świecie, że wiadomości złe, przykre i krzywdzące innych rozpowszechniane są przez ludzi z niesłychanym upodobaniem i niezwykłą szybkością, podczas gdy o wydarzeniach i sprawach dobrych, pozytywnych mówi się na ogół niechętnie; każdy jest raczej skłonny „obsmarować” bliźniego niż go chwalić. Ludzie uwielbiają sensację, szukają jej i dopatrują się jej wszędzie. Byle tylko coś się działo, coś niecodziennego,

atrakcyjnego, ekscytującego. A jeżeli nic się nie dzieje, to chociaż poplotkować miło.

— Słyszeliście? Bandytę przyjęli do pracy, mordercę. Dopiero co z pudła wyszedł. Podobno dostał piętnaście lat, ale go wcześniej zwolnili. Trzeba będzie uważać, bo z takim to nigdy nic nie wiadomo. Po cholere takiego przyjmują? Bo to mało uczciwych ludzi.

Wojtek bardzo prędko zorientował się, że nawiązanie kontaktu z nowymi kolegami nie będzie rzeczą łatwą. Nie wiedział, jak się przebić przez ten mur milczącej niechęci, który go otaczał. Czuł zupełnie wyraźnie, że jest to zмова środowiska, że nie da rady. Nie wiadomo właściwie dlaczego, tę niechęć pogłębiał jeszcze fakt, że pracował dobrze i że był bardzo silny. Nikt nie miałby odwagi zaczepić go, szukać zwady, doprowadzić do bójk. Widzieli, jak pracuje i co może dźwignąć. To, że czuli przed nim mimo woli respekt, pogarszało jeszcze sytuację. Czas nie przynosił poprawy. Każdy następny dzień pogłębiał niechęć i izolację. Może ten i ów miałby nawet ochotę pogadać z „bandziorem”, dowiedzieć się, jak to jest w tym kryminale, jakie tam życie, ale nikt nie miał odwagi przełamać zmowy milczenia.

Pod koniec drugiego tygodnia zaszło coś, co zadecydowało o dalszych losach Wojtka Kaliny.

Po skończonej robocie wziął jak zwykle prysznic i poszedł do szatni, żeby się przebrać w „cywilne ciuchy”. Wtedy posłyszał rozmowę:

- Cóż ty, Wacek, zamek sobie do szafki zakładasz? To już kłódka ci nie wystarcza?

- A żebyś wiedział, że nie wystarcza. Przedwczoraj zginęło mi sto złotych. Nie tak dużo, ale zawsze szkoda... No cóż... nic dziwnego, jak kryminalistów do pracy przyjmują, to trzeba się pilnować. Tobie także radzę zamek założyć.

Wojtek miał ogromną ochotę trzasnąć faceta w mordę, ale się pohamował. Nic nawet nie powiedział. Przebrał się, odebrał w kasie tygodniówkę, poszedł do hotelu

robotniczego, spakował swoją walizeczkę, splunął i ruszył w świat.

Na ulicy ochłonął trochę i zwolnił kroku. „Nie wrócę do fabryki — pomyślał z uporem. — Nie wrócę do fabryki. Niech ich jasna cholera! Niech ich wszyscy diabli!

Skurwysyny. Dranie. Łajdaki. Żeby ich z;

Szedł ulicami przed siebie, bez celu, bez żadnego planu. Ot, tak, byle dalej, byle tamto mieć już za sobą. Nie myśleć. Nie żałować. Zapomnieć. „Nie wrócę do fabryki. Nie wrócę!”

Zmęczył się. Poczul głód. Wszedł do jakiejś lichej knajpy i zamówił obiad. Żurek z ziemniakami, kotlet schabowy z kapustą i duże piwo.

Po niedawnym wzburzeniu nastąpiło odprężenie. Pojawiła się refleksja. „Dlaczego właściwie ludzie mają czuć do mnie sympatię? — myślał. — Czego chcę? Z jakiej racji mają mnie lubić, szanować, przyjaźnić się ze mną

Mam do nich żal, pretensję. O co? Czego się tu że nie darzą zaufaniem i sympatią bandziora, który parę lat przesiedział w kryminale, który może znowu myśli o jakimś «skoku»? Jakie mam prawo wymagać, żeby byli dla mnie mili, grzeczni, życzliwi? Czy mają się nade mną litować dlatego, że byłem bandytą, że siedziałem w więzieniu? Ale przecież słusznie siedział. Zarobiłem na to.

I tak wyrok nie był duży. Mogli dać dziesięć lat albo i więcej. Niczego nie mogę wymagać od ludzi. Nie mogę, nie mam prawa. Na szacunek, na życzliwość ludzką trzeba zarobić. To nie takie proste, nie takie łatwe. Nie takie łatwe teraz, kiedy każdy powie: «Uważaj, bo to bandzior. Siedział w więzieniu za napady.» A może wyjechać? Może gdzieś na końcu Polski szukać pracy? Wszędzie się dowiedzą, wszędzie. Papiery trzeba pokazać. Trzeba powiedzieć, gdzie się pracowało, co się robiło przez ostatnie lata. Wszędzie pójdzie za nim opinia bandyty, kryminalisty. Gdzie by nie pojechał. Wszędzie. A może uciec za granicę? Ale jak? I co tam będzie robił? Z czego będzie żył? Do Ameryki... Do Argentyny. Kawał ziemi wziąć i pracować.

Tam nikt nie będzie wiedział. Tam nikt o nic nie będzie pytał. Tam nie ma personalnych.”

Znudziło mu się siedzieć przy stoliku. Zapłacił i wyszedł.

Znowu ulica, pełna spieszących się ludzi. Każdy zaafekowany, każdy zajęty swoimi sprawami, swoimi kłopotami. Sobotnie popołudnie zawsze jest bardziej ożywione niż taki zwyczajny dzień. Przedniedzielne zakupy. Wokół siatki ze sprawunkami, paczki, koszyki.

Ktoś pociągnął go za rękaw. Odwrócił się. Przed nim stał drobny, czarniawy człowieczek z zabójczym wąsikiem i starannie utrzymanymi bakami.

- Wojtek, jak pragnę wolności!

- Karaluch! A co ty tu robisz?

- Spaceruję sobie, tak jak ty. Nie wolno mi? Teraz mi wszystko wolno.

- Co porabiasz? Jak się czujesz?

- O wiele lepiej jak w kiciu.

- Pracujesz gdzieś?

- Chyba żartujesz. Ja i praca?

- Z czego żyjesz?

- Kombinuje się. Przecież nie pójdę na posadkę za dwa patyki.

- Chcesz znowu wrócić do pudła?

- Nie ma strachu. Teraz to już ja jestem wycwaniony. A tyś kiedy wyszedł?

- Niedawno. Będzie ze dwa tygodnie.

- No i co?

- Ano nic.

- Co porabiasz?

- Pracowałem w fabryce. Właśnie dzisiaj rzuciłem tę robotę.

Karaluch skrzywił się z niesmakiem.

- W fabryce? Zwariowałeś? To nie dla ciebie. Co można zarobić w fabryce? Grosze.

- Trzeba od czegoś zacząć.

Karaluch serdecznym ruchem wziął Wojtka pod rękę.

- Cieszę się. Słowo honoru, cholernie się cieszę, że cię

spotkałem. Popatrz, co za traf, że akurat obaj szliśmy tą ulicą. W takim mieście jak Warszawa rok się można szukać i się nie znaleźć, a my... Wiesz, Wojtuś, polubiłem ciebie Jakbym rodzonego brata spotkał. Przeżyło się trochę razem, co? W końcu nie tak źle było w tym kiciu. Żarcie możliwe, spacerki, rozrywki kulturalne. Od czasu do czasu któryś paczkę dostał. Nie można narzekać.

- Ja wolę tam nie wracać — powiedział Wojtek. — Nie mam chęci.

- Wiadomo. Nie ma to jak na wolności, i popić możesz, i jakąś dziewczynę poderwać. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Wierz mi, że najtrudniejszy pierwszy raz. Tobie było ciężko, boś niezwykajny. Ale ja... Trzecią odsiadkę już miałem. Dla mnie to frajer. Strażników znam. Nawet mnie lubię. Nie powiem. Wiesz, że spotkałem wczoraj Grubego Mietka? Pamiętasz go?

- Pamiętam.

- Równy kumpel. Zaprosił mnie dzisiaj na kielicha. Wieczorem. Może się ze mną wybierzesz?

- Mnie nie zaprosił.

- Jak miał cię zaprosić, kiedy cię nie spotkał. On także ciebie lubiał. Pojedź ze mną. Ucieszy się. Popijemy. Powspomina m y.

- Nie ma co wspominać — mruknął Wojtek. — Trzeba pomyśleć, co robić dalej?

Karaluch uśmiechnął się.

- Pomyśli się. Spokojna głowa. Mamy czas. Gdzie mieszkasz?

- Nigdzie.

- Pod mostem przecie nie będziesz nocował. Zabiorę cię do siebie. Mam dobrą metę u jednej starej baby. Będziesz mieszkał, ile będziesz chciał. Musimy sobie pomagać, no nie?

Wojtka rozczuliła serdeczność towarzysza z więziennej celi. Podziękował mu, jak umiał, i wstąpili na piwo. Potem wałęsali się po mieście, wspominając wspólną odsiadkę. I wreszcie, nie wiedząc, co robić z czasem, poszli do kina.

Po skończonym seansie Karaluch spytał:

- No i jak? Pójdiesz ze mną do Mietka? Posiedzimy chwilę, pogadamy, a potem pojedziemy do mnie. Daj się namówić. Co będziesz tak sam łąził. Jeszcze cię jaka kurwa poderwie.

Wojtek dał się namówić.

- W jaki tramwaj wsiadamy?

- Żaden tramwaj — oburzył się Karaluch. — Takse weźmiemy, A co to nas nie stać? Mietek mieszka na Radzy-
mińskiej. Gdzie byśmy się taki kawał tłukli tramwajem.

Zatrzymali przejeżdżającą taksówkę i pojechali. Wojtek rozparty na siedzeniu poczuł się jak bohater filmowy z wyższych sfer towarzyskich. Zaczęło mu się uśmiechać światowe życie — bogate, wesołe. Piękne kobiety, wytworni mężczyźni, interesujące przygody. Jak w kinie. Może uśmiechnie się wreszcie i do niego fortuna? Może stanie się coś niezwykłego, niespodziewanego, coś co zmieni całkowicie jego dotychczasową ponurą egzystencję. Nie żałował pracy w fabryce. Tam na pewno nic ciekawego nie mogło go spotkać. Codzienna, beznadziejna harówka. Brrr... Pograżony w swych rozmyślaniach ani się spostrzegł, jak zajechali na Radzymińską.

Niewielki pokój tonął w smugach szarego dymu. Powietrze przesycone było wonią papierosów i mdłym zapachem alkoholu. Przy okrągłym stole siedziało trzech mężczyzn i dwie kobiety, których profesję nietrudno było odgadnąć.

Gruby Mietek z wylewną serdecznością przywitał nowo przybyłych.

- Wojtek! Kopę lat! Już wyszedłeś? Chwała Bogu. Doskonale wyglądasz. Posłużyła ci odsiadka. Nie ma to jak na państwowym wikcie — roześmiał się hałaśliwie z własnego dowcipu i pchnął gości do stołu. — Siadajcie, siadajcie. Czem chata bogata... Jest salceson, podgardlanka, krakowska, śledziki. Częstujcie się. Bez ceremonii. Cieszę się, że was widzę. Domyślam się, że spotkałeś przypadkiem Karalucha, co?

- Zgadza się — odparł Wojtek. — Spotkałem na mieście

Karalucha. — Zauważył, że mimo gęsto poustawianych butelek wszyscy biesiadnicy byli zupełnie trzeźwi. Nie wiedział jeszcze, że Gruby Mietek nie znosił pijaństwa i stosował dość drastyczne metody w stosunku do gości, którzy przebrali miarę. Zawsze można było u niego znaleźć duży wybór różnych alkoholi, ale do tak zwanego ochlaju nigdy nie dopuszczał. Kieliszeczek, dwa, najwyżej trzy. — Pamiętajcie, chłopaki, że większość wpadek to po wódce — przestrzegał tych, którzy się zbyt skwapliwie przysiadali do butelki.

Uruchomiony telewizor najwidoczniej nie przeszkadzał ożywionej rozmowie, albowiem nikt nie pomyślał o tym, żeby zlikwidować przemówienie, płynące ze szklanego ekranu.

Duszą towarzystwa był Gruby Mietek. Śmiał się, dowcipkował, opowiadał słone kawały, podszcypywał rozweselone dziewczęta, zachęcał do jedzenia, oszczędnie jednak gospodarując trunkami. W pewnym momencie trącił w bok Wojtka, który siedział poważny i milczący.

- Dobrze, żeś przyszedł, Wojtuś. Mam do ciebie romansik. Musimy pogadać. Chodź, przejdziemy na chwilę do tamtego pokoju. — Jednocześnie kiwnął na łysego osobnika, który właśnie nakładał sobie na talerz sporą porcję nówek w galarecie.

Sąsiedni pokój spełniał zapewne rolę sypialni. Duży tapczan, dwa głębokie fotele, pamiętające bardzo dawne czasy, parę krzeseł i owalny stolik, nakryty ceratowym obrusem w barwne kwiaty. Na ścianach oleodruki przedstawiające sceny myśliwskie i batalistyczne.

Gruby Mietek zamknął starannie drzwi i usiadł na jednym z foteli, który zaskrzypiał żałośnie pod jego ciężarem.

- No i co, Wojtuś? Jak ci leci?

- Tak... jakoś...

- Pracujesz gdzieś?

- Pracowałem w fabryce, ale mi nie pasowało. Rzuciłem.

- I dobrześ zrobił. Tylko frajerzy pracują w fabryce. To kein geschäft. Taki chłopak jak ty może się wziąć za coś

lepszego. Właśnie dzisiaj León przyszedł do mnie z pewną propozycją...

Człowiek nazwany Leonem przeciągnął dłonią po łysinie i utkwiał badawcze spojrzenie swych okrągłych, czarnych oczu w ewentualnym współniku.

- Wyglądasz na mocnego chłopaka.

- Ano... Pan Bóg mi siły nie poskapił.

- Sto kilo weźmiesz na plecy?

- Jak trzeba, to i dwieście kilo wezmę — powiedział chełpliwie Wojtek.

Gruby Mietek roześmiał się.

- To atleta, Leon. Jakby chciał, toby zrobił karierę jako ciężarowiec. Takiego mocnego chłopca jeszcze nie widział. Chyba że Czesiek Mańkut, którego Niemcy przed samym powstaniem wykończyli.

- To dobrze — powiedział Leon. — Bo widzisz, jest taka sprawa...

- Zaczekaj — przerwał mu Mietek. — Ja wytłumaczę. Kapujesz, Wojtusi, jest dobry interes do zrobienia.

Chodzi tylko o szybki załadunek z magazynu na wóz, a potem trzeba wóz rozładować. Będzie z pięć ton. Może trochę więcej. Worki. Pewna robota. Twoja dola jakie dziesięć patyków.

- Niech będzie piętnaście — wtrącił się Leon.

- Niech będzie piętnaście — powtórzył Gruby Mietek. — To kawał grosza. Przyda ci się na początek. Jak znalazł Za jedną noc zarobisz. Żadnego ryzyka. Magazynier obrobiony, strażnicy toż. Wszystko gra na sto dwa. Powtarzam ci, żadnego ryzyka. Brakowało nam właśnie tylko kogoś do załadunku. Spadłeś nam jak z nieba. Co to dla ciebie znaczy tych kilka worków wrzucić na wóz. Gdybym był młodszy, to sam bym się wziął za tę robotę. Ale teraz już nie mogę. Zadyszka. I tej siły w nogach nie ma co kiedyś. Brzuch mi, kurwa, urósł. Nie mogę dźwigać. Ty to co innego. Dla ciebie to zabawa. No więc jak? Zgadzasz się?

Wojtek czuł, że jakoś niezręcznie będzie tak wprost

odmówić. — Bo ja wiem... — mruknął

- Piętnaście tysięcy to dla ciebie mało?! — wykrzyknął Gruby Mietek. — Bój się Boga, chłopie, ile czasu musiałbyś w fabryce pracować, żeby taką forszę zarobić.

- Nikt cię nie zmusza — Leon był wyraźnie urażony — Nie to nie. Znajdź się inny, który i za piątkę odwali tę robotę

- Zastanów się — próbował łagodzić Mietek, widząc ponurą minę swojego towarzysza z więziennej celi. — Piętnaście patyków to ładny kawał grosza. Więcej dać ci nie możemy Pomyśl. Nie musisz od razu decydować. Dasz mi znać jutro.

- Pomyślę — mruknął Wojtek.

Wrócili do towarzystwa. Bez trudu można się było zorientować, że pod nieobecność gospodarza goście skwapliwie opróżniali stojące na stole butelki. Gruby Mietek wygłosił parę umoralniających sentencji i schował napitki do szafy. — Nie będziecie się tu schlewać jak świnie — powiedział, informując w ten sposób biesiadników, że uważa libację za skończoną.

Posiedzieli jeszcze czas pewien, pogadali i zaczęli szykować się do odejścia. Mietek odciągnął na bok Wojtka i szepnął:

- Zastanów się dobrze i jutro daj mi znać. Czekać na ciebie tutaj wieczorem. Wpadnij koło ósmej.

Wyszli. Wieczór był pogodny, choć niezbyt ciepły.

Karaluch wziął Wojtka pod rękę. Mocno zalatywała od niego wódka, ale nie był pijany.

- Czego chcieli od ciebie? — spytał zaciekawiony.

- Raili mi robotę — mruknął niechętnie Wojtek. Nie miał ochoty mówić na ten temat.

- Jak ci Gruby Mietek rai robotę, to się nie zastanawiaj i bierz. To równy kumpel. Na byle co cię nie napuści. Z nim pracujesz bez ryzyka. Doświadczenie ma jak mało kto.

- A jednak siedział — zauważył Wojtek.

- Każdemu może się noga pośliznąć. Zresztą, podobno go wrobił jeden facet, do którego miał zaufanie. Mietek za bardzo ufa ludziom. Teraz spiknął się z tym Leonem. Nie

podoba mi się ten gość. Ja w ogóle nie lubię łysych, ale nie o to się rozchodzi. Morda mi się nie podoba. Ze mną to jest tak, że albo mi się facet z miejsca podoba, albo nie. Ja mam nosa. Ale Mietkowi nie przetłumaczysz. No i jak będzie, Wojtuś? Pojedziesz do mnie?

— Może ci zrobić kłopot? — spytał niepewnie Wojtek, który nie wiedział, gdzie szukać noclegu.

- Żaden kłopot! — wykrzyknął z zapalem Karaluch. — Pokój duży. Tapczan szeroki, kanapa, jak za dawnych czasów. Trzech może nocować, nie tylko dwóch. Zabieram cię do siebie. Nie ma gadania. Zaraz złapiemy taksówkę.

- Co ty się tak taksówkami rozbijasz?

- A co to mnie nie stać? Nie wyobrażaj sobie, że nie mam forsy. Mam, mam. Jeszcze umiem sobie poradzić.

Pojechali na Bielany. Pokój Karalucha był rzeczywiście duży i wygodny. W każdym szczególe widać było dbałość gospodyni o lokatora.

- Ma się to powodzenie u kobiet — zaśmiał się Karaluch i znacząco przymrużył lewe oko. — Baba za mną szaleje. Mogę płacić albo nie. Wsio równo.

Rozdział III

Wojtek niedługo popasał w przytulnym pokoju na Bie-lanach. Już po tygodniu podziękował kumpłowi za gościnę. A stało się to z dwóch powodów. Po pierwsze, bez trudu zorientował się, że Karaluch nie zmienił trybu życia i w dalszym ciągu uprawia swój złodziejski proceder. To w końcu mogło doprowadzić do wizyty milicji, a wtedy dla każdego byłoby rzeczą oczywistą, że dwaj towarzysze z więziennej celi działają do spółki. Po drugie zaś, wdowa po listonoszu zaczęła darzyć specjalną sympatią swojego nowego lokatora, a że była z natury osobą bardzo przedsiębiorczą, Wojtek z trudem opędywał się zalotom podstarzałej amantki. Nie miał najmniejszej ochoty na ten romans, a poza tym nie chciał wchodzić w parady Karaluchowi, który był dla niego taki serdeczny. Pewnego więc popołudnia oznajmił mu o swojej wyprowadzce. Karaluch aż podskoczył z wrażenia.

- Wyprowadzasz się? Dlaczego? Źle ci tu?

- Bardzo mi dobrze i jestem ci wdzięczny, ale mam swoje plany.

- Przecież zawsze możesz tu sobie sprowadzić jakąś dziwkę. Ja ci nie bronię. Powiedz tylko kiedy, to ja pójdę gdzie na wódkę albo do kina. Można się ułożyć.

- Nie o to chodzi — uśmiechnął się Wojtek.

- A o co? Powiedz. Nie bądź taki tajemniczy.

- Tak mi się układa, że muszę zmienić klimat.

- Szykuje ci się jakaś robota?

- Może.

- Az Grubym Mietkiem nic nie wyszło?

- Nie.

- Może to i lepiej. Ten łysy wcale mi się nie spodobał. No cóż... żałuję, że się chcesz ode mnie wyprowadzić, ale jak tak postanowiłeś, to mówi się trudno. Myślę, że się będziemy widywali.

- Oczywiście. Wpadnę kiedyś do ciebie.

I tak Wojtek opuścił gościnne progi mieszkania wdowy po listonoszu. Z natury nie był człowiekiem zapobiegliwym i nie poszukał sobie wcześniej nowej kwatery. Znalazłszy się więc na ulicy nie bardzo wiedział, co ma ze sobą zrobić, dokąd iść.

Wsiadł w tramwaj i pojechał do śródmieścia. Na dworcu Głównym oddał walizkę do przechowalni, sam zaś usiadł w poczekalni na ławce i zamyślił się. Co dalej? Jak żyć? Co robić? Te trochę pieniędzy, które miał w kieszeni, na długo mu nie starczy. Szukać pracy? Ale gdzie? Wszędzie będzie to samo. Bandyta, oprych, kryminalista. Na prawdziwą szczerłość, na życzliwe przyjęcie może liczyć tylko wśród złodziei i różnego rodzaju przestępców. Uśmiechnął się gorzko. Karaluch, Gruby Mietek, Leon to było teraz jego środowisko. To byli ludzie gotowi mu przyjść z pomocą, wyciągnąć do niego przyjacielską dłoń. Ale przecież do końca życia nie może obracać się między bandziorami. Musi znaleźć jakieś inne wyjście z tej sytuacji. Bo jeżeli pozostanie w tym środowisku... Tym razem odmówił Grubemu Mietkowi i zrezygnował z tego skoku. Przyjdzie jednak chwila, kiedy będzie zmuszony pójść na każdą robotę, żeby zdobyć trochę forsy na życie, na jedzenie, na mieszkanie. Ubrać także się trzeba. Co robić? Wrócić na wieś do domu? Potrząsnął głową. Wykluczone, Zbyt dobrze znał ojca. Stary nie przebaczy. Zabije, a nie przebaczy. Więc co? Szukać pracy? Wyjechać? Gdyby nie ten przeklęty kryminał, to po prostu kupiłby „Życie Warszawy” i przewertowałby rubrykę „praca”. Ale co z tego? Nawet jeżeli coś znajdzie, to kto go zechce przyjąć do pracy? Kto będzie miał do niego zaufanie? Każdy się będzie bał. A jeżeli nawet gdzieś by go przyjęli, to koledzy... Znowu będzie to samo, co w fabryce. Straci wreszcie cierpliwość i co...? Strzeli w mordę. Pokaleczy albo nawet i zabije. Wtedy już do końca życia nie wyjdzie z kryminału. Czy rzeczywiście nie ma dla niego miejsca między uczciwymi ludźmi? Czy kolegów ma szukać tylko między oprychami? I nagle porwała go straszliwa wściekłość na tych, którzy byli

przyczyną jego nieszczęść, przez których siedział, którzy go wrobili. Dranie, skurwysyny, łajdaki. To przez nich. To wszystko przez nich. Przez dłuższą chwilę miotał w myśli najgorsze przekleństwa pod adresem swoich dawnych kumpli, aż pojawiła się refleksja. Sam sobie, idioto, jesteś winien. Nikt ci nie kazał. Sam chciałeś. Nie musiałeś latać za tą kurwą jak pies za suką. Nie musiałeś skumplować się z Zenonom i razem z nim... Zenon. On na pewno nie siedział. Taki to się zawsze sianem wykręci. Ma pieniądze, ma adwokatów, ma ustosunkowanych przyjaciół. Znaleźli sobie kozła ofiarnego, dranie. Trafił im się głupi wiejski chłopak, na którego wszystko można było zwalić. Cwaniaki.

Tak podnieciły go te myśli, że wstał z ławki i zaczął przechadzać się po poczekalni. „Czy Zenon jeszcze mieszka na Mokotowie? — zastanawiał się. — Ciekawe, co się stało z tą dziwką? A może by odwiedzić Zenona? Nie spodziewa się. Jaką zrobi minę, jak go zobaczy? Bandyta. Za to wszystko powinien by przynajmniej trochę forsy odpalić. Należy się chyba, nie?”

Postanowił pojechać na Mokotów. Nie chciał się przyznać sam przed sobą, ale głównym motywem tej decyzji była chęć zobaczenia Beaty. Miotał pod jej adresem najgorsze wyrazy, ale jednocześnie pragnął ją zobaczyć, pragnął choć dotknąć jej dłoni. Tam, w celi więziennej dużo o niej myślał, śniła mu się po nocach, pragnął jej z taką siłą, że omal głośno nie skowyczał. Nie mógł jej zapomnieć, w żaden sposób nie mógł. Nieraz myślał, że mu czegoś zadała, że rzuciła na niego jakieś uroki i że na zawsze będzie z nią związany.

Wyszedł z dworca i Alejami Jerozolimskimi ruszył energicznym krokiem w kierunku Marszałkowskiej. Po drodze przejrzał się w szybie wystawowej. Stwierdził z zadowoleniem, że prezentował się nie najgorzej. Garnitur, który sobie kupił na parę dni przed aresztowaniem, jakoś się dobrze przechował w magazynie więziennym. Odświeżony i odprasowany wyglądał jak nowy.

„Dobrze, że nie przyjdę do Zenona jak ostatni obierwaniec” — pomyślał Wojtek, wsiadając do osiemnastki.

Mieszkanie było duże, wygodne. Trzy pokoje, ogromna kuchnia, służbówka, balkon pełen kwiatów. W pokojach antyki, cenne obrazy, portrety, stylowa serwantka z za-
bytkową porcelaną, dywany. Wszystko w znakomitym stanie, świetnie utrzymane. Powierzchnia imponująca — przeszło sto dwadzieścia metrów kwadratowych. I tylko jedna osoba.

Zenon Mierzycki był człowiekiem, który lubił elegancko mieszkać, dobrze zjeść, wytwornie się ubierać, używać życia, nie lubił natomiast pracować. Już od wczesnej młodości czuł niebywałą awersję do jakiejkolwiek systematycznej pracy. Ponieważ zaś tryb jego życia wymagał znacznych środków finansowych, musiał tak się organizować, aby w jakiś inny sposób zdobywać niezbędne fundusze. Trzeba przyznać, że inwencji pod tym względem nigdy mu nie brakowało. W swej bogatej karierze był już szulerem, łowcą posagów, szantażystą, stręczycielem do nierządu, pośrednikiem w najbardziej podejrzanym transakcjach. Trudnił się nawet przez jakiś czas handlem walutą i narkotykami, organizował zwykłe bandyckie napady. Ostatnio zaś występował w roli reżysera filmowego, który po sukcesach w Ameryce Południowej pragnął obdarzyć swym talentem rodzinny kraj.

„Znakomity filmowiec” siedział w wygodnym fotelu i przeglądał czasopisma, gdy do pokoju weszła gospoia.

- Jakiś pan do pana dyrektora — powiedziała. Mierzycki kazał się tytułować dyrektorem.

- Czego chce?

- Nie powiedział. Mówi, że osobisty interes.

W drzwiach stanął Wojtek. Mierzycki cofnął się, jakby zobaczył upiora. Błyskawicznie spojrzał na biurko, ale szuflada, w której leżał pistolet, była za daleko.

- Jak się masz! Cieszę się, że cię widzę. Siadaj.

Wojtek spojrzał na gospoie, która nie ruszyła się z miejsca, obserwując z zaciekawieniem obu mężczyzn.

Mierzycki zawahał się. Niezbyt było bezpiecznie zostawać sam na sam z tym osiłkiem. Nie mógł jednak dać poznać po sobie, że się boi.

- Niech pani idzie po sprawunki.

Kiedy zostali sami, Wojtek chwycił swojego dawnego szefa za kłapy marynarki, podniósł do góry i przybliżył twarz do jego twarzy:

- Ty gnoju!

Mierzycki blady, przerażony zaczął się szamotać.

- Wojtek! Co ci jest? Wojtek! Czego ty chcesz ode mnie? Zaczekaj. Pogadamy. Pozwól.

Wojtek postawił swą ofiarę na podłodze.

- Powiniennem cię zgnieść jak pluskwę, ty skurwysynu.

- Wojtusi! Ale dlaczego? Wojteczku!

- Dlaczego? Ty się pytasz, dlaczego? A kto mnie zrobił w to wszystko? Przez kogo dostałem trzy lata? Kto na mnie wszystko zwałił? Ty, draniu! Ty, łachmyto! Ty, sukinsynu!

Mierzycki, poczuwszy podłogę pod nogami, odetchnął z ulgą. Wiedział, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, ale zaczynał być dobrej myśli. Jeżeli do tej pory ten drab go nie zabił, to można było mieć nadzieję, że jakoś to się ułoży. Postanowił podjąć dyplomatyczne pertraktacje.

- Jesteś zdenerwowany, Wojtusi. Masz zupełnie mylne wyobrażenie o całej tej sprawie. Ktoś cię źle poinformował. Uspokój się i siadaj. Porozmawiamy. Napijesz się koniaku?

- W dupie mam twój koniak — warknął Wojtek, ale usiadł. — Nie wyobrażaj sobie, że się wykpisz kieliszkiem koniaku. Mamy ze sobą chyba jakieś rachunki do uregulowania.

Mierzyckiego znowu ogarnął gwałtowny niepokój.

Nie mógł odżałować, że biurko stoi tak daleko i że w żaden sposób nie zdoła dopaść pistoletu.

- Słowo ci daję, Wojtek, że jesteś źle poinformowany.

- Jestem bardzo dobrze poinformowany. Nie zwracaj mi głowy. Znaleźliście sobie kozła ofiarnego. Zabezpieczyliście się, że w razie wpadki... No i była wpadka. Tyś nie siedział w pudle, tylko ja.

- Tak się złożyło. Po prostu miałeś pecha.

- Miałem pecha? — Wojtek roześmiał się — No pewnie, że miałem. Miałem pecha, że się z wami spiknąłem, że dałem się wrobić, że byłem na tyle głupi, że wam uwierzyłem. A wyście potem wszystko na mnie zwalili. Ja siedziałem.

- Kto ci powiedział, że ja na ciebie zwailem?

- Kto? Śledczy. Podczas przesłuchania pokazał mi protokół podpisany przez ciebie.

- Skąd wiesz, że przeze mnie?

- Poznałem twój podpis. Taki głupi to ja znowu nie jestem.

- Głupi może nie jesteś, ale nie masz doświadczenia w tych sprawach. Nie wiesz, jak to z milicją. Wystukają coś na maszynie, podsuną ci do podpisu i podpisujesz. Co masz robić? Może i coś tam wtedy podpisywałem, ale nie wiem co. Nie czytałem.

Wojtek spojrział podejrzliwie na mówiącego.

— Łesz.

- Słowo honoru — zaperzył się Mierzycki. Poczul, że agresywna postawa przeciwnika zaczyna słabnąć i z wolna nabierał coraz większej pewności siebie. Poprawił krawat, założył nogę na nogę i zapalił papierosa. — Jeżeli chcesz wiedzieć prawdę, to bronilem cię wtedy, jak mogłem. Mówiłem, że to przypadek, że niedawno przyjechałeś ze wsi, że się w pewnych sprawach nie orientujesz, że trzeba się do ciebie odnieść z dużą wyrozumiałością. Jesteś bardzo niesprawiedliwy, Wojtek. Przed chwilą chciałeś mnie tutaj bić, może zabić. I za co? Za to, że stawałem w twojej obronie? Za to, że ci paczki do więzienia posyłałem.

- Paczki? Jakie paczki?

- Żywność, papierosy, ciepłą bieliznę. Nie otrzymałeś?

Wojtek potrząsnął głową.

- Nic nie otrzymałem.

— Widzisz, jacy to złodzieje ci strażnicy więzienni. To oni musieli wszystko ukraść.

- Alboś ty żadnych paczek nie wysłał.

- Jak Boga kocham, że wysyłałem. Feliks świadkiem.

- Feliks? Jaki Feliks?

- Taki jeden mój kumpel. Bardzo fajny gość. Poznasz go. A co ty właściwie teraz robisz?

- Nic.

- Zaczepiłeś się gdzieś? Pracujesz?

- Na razie nie. Szukam czegoś odpowiedniego, ale z moimi kwalifikacjami kryminalisty to nie takie proste.

- Z czego żyjesz?

— Mam jeszcze trochę oszczędności. Właśnie mi się kończą.

- Gdzie mieszkasz?

- Nigdzie.

Mierzycki zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym nozdrzami.

- Hm... — mruknął. — Trzeba będzie pomyśleć o tym, żeby cię jakoś urządzić.

Wojtek milczał. Powoli ostygł z niedawnego podniecenia. Nie wierzył wprawdzie w to wszystko, co mówił Zenon, ale nie miał także stuprocentowej pewności, że posłyszał same kłamstwa. Poza tym to był człowiek, który mógł mu naprawdę pomóc. Mierzycki miał szerokie znajomości w kraju i za granicą, najrozmaitsze kontakty, obracał się w najlepszych towarzystwach. Jeżeli będzie chciał, to na pewno coś mu wykombinuje, albo w Warszawie, albo gdzieś na prowincji. Nie było mowy, oczywiście, o żadnej przestępczej działalności. Co to, to nic. Raz na zawsze miał dosyć przesłuchań milicyjnych, sądu, kryminału. Na żadne podejrzane numery już nie da się namówić. Chodziło mu tylko o to, żeby dostać pracę w miejscu, gdzie nie będą mu bez przerwy wytykać jego kryminalnej przeszłości, gdzie będzie traktowany jak zwyczajny, normalny człowiek.

- Musimy cię jakoś urządzić — podjął po chwili Mierzycki, który czuł, że sytuacja jest już zupełnie opanowana i że nie grozi mu, przynajmniej na razie, żadne niebezpieczeństwo. — Czy umiesz się boksować?

Wojtek był zaskoczony tym pytaniem.

- Czy umiem się boksować? Próbowałem kiedyś, ale rzuciłem. Nie było dla mnie partnerów. Za ciężki jestem.

Chłopaki wszyscy mieli mniejszą wagę. Żaden nie chciał ze mną szparować.

— A judo?

- Tego nie ćwiczyłem. Ciężary kiedyś podnosiłem. Nawet mi nieźle szło. Ale nie podoba mi się ten sport. Wolę boks. Dlaczego pytasz?

- Tak sobie — odparł wymijająco Zenon. — Myślę, jak by cię urządzić.

- Chcesz ze mnie zrobić boksera?

- Niezupełnie, ale warto, żebyś trochę potrenował.

Może ci się w przyszłości przydać. Pogadam o tobie z jednym gościem. Jutro dam ci znać. Masz gdzie nocować?

- Nie.

- Zaczekaj. Zaraz ci to zorganizuję.

Mierzycki wstał i podszedł do biurka. Nie wyjmował jednak z szuflady pistoletu, tylko podniósł słuchawkę i nakręcił numer. Przez chwilę rozmawiał poufałym tonem z jakąś znajomą, której donośny sopran dźwięczał w całym pokoju. Mierzycki musiał nawet trzymać słuchawkę w pewnej odległości od ucha. Pośpiesznie skończył tę uciążliwą nieco konwersację i zwrócił się do Wojtka:

- Cholerna baba. Jak zacznie mówić, to można oszaleć. Kiedyś była śpiewaczką koloraturową, przynajmniej tak opowiada. Nie spotkałem co prawda człowieka, który by słyszał jej śpiew, ale głos ma pieroński. Można by ją zatrudnić w charakterze syreny alarmowej. Zresztą, to nieważne. Grunt, że załatwiłem ci nocleg na dzisiaj. Radzę ci nie wdawać się z nią w żadne rozmowy, bo cię zakrzyczy i będzie pół nocy trajlowała. Powiedz, że jesteś zmęczony i zaraz chcesz iść spać. Dam ci do niej kartkę. Mieszka na Wilczej, w starym domu. Potrzebujesz forsy?

- Mam jeszcze parę złotych.

- Dam ci na wszelki wypadek pięć stów. Później się policzymy.

Wielkopańskim gestem wyjął portfel z kieszeni i odliczył pięć nowiutkich stułotowych banknotów.

- Zabierz tę forszę — mruknął Wojtek. — Zdaje mi się, że

należy mi się trochę więcej. Dobrze mówisz: później się policzymy.

Mierzycki ruszył lekko ramionami.

- Jak chcesz — wyjął długopis, wyrwał z notesu kartkę i napisał parę słów. — Tutaj masz adres i nazwisko tej baby. Wyśpij się, a jutro rano czekaj na mnie. Wpadnę tak między dziesiątą a jedenastą.

Wojtek nie poruszył się.

— Chciałeś coś jeszcze wiedzieć? — spytał Mierzycki.

— Co z Beatą? — Wojtek być może tak szybko zrezygnował ze swej zaczepnej postawy, żeby móc zadać to pytanie i otrzymać na nie odpowiedź.

Mierzycki uśmiechnął się.

- A tu cię boli. Nie mam pojęcia, co się z nią stało zniknęła. Nie spotkałem jej od tamtej pory. Myślę, że chyba wyjechała, może za granicę. Nie wiem.

— Miała mieszkanie na Noakowskiego.

- Już tam mieszka kto inny. Nasze чудо rozplynęło się.

- I naprawdę nie wiesz, co się z nią dzieje?

- A po cóż miałbym cię oszukiwać? Nie wiem. Zresztą, ja się nigdy tak nią nie interesowałem. Była, poszła... Szczęśliwej drogi.

Wojtek poczuł się bardzo zawiedziony. Był pewien, że od Zenona dowie się czegoś o Beacie. Po to tu właściwie przyszedł. Ta cała początkowa awantura nie była zaplanowana. Po prostu porwała go dzika pasja na wspomnienie lat spędzonych w celi więziennej. Był przekonany, że sprawcą wszystkich jego nieszczęść był właśnie Zenon. Wprawdzie gdzieś na dnie podświadomości odzywał się nieśmiały głos, że najbardziej w tym wszystkim zawiniła ona, Beata, ale nie chciał dopuścić do tego, żeby te myśli nabrały konkretnych kształtów. Ciągle jeszcze ją kochał i czuł, że gdyby teraz pojawiła się w jego życiu, w jednej chwili zapomnieliby o wszystkich urazach i byłby gotów pójść za nią i zrobić to, czego by od niego zażądała. Podniósł się chmurny, ponury.

Mierzycki odprowadził go do przedpokoju. Na pożegna-

nie poklepał dawnego kumpla po ramieniu.

- Trzymaj się, Wojtek. Bądź dobrej myśli. Jakoś się to ułoży. Czekaj na mnie jutro. Cześć.

Pani Adela Rozmaryńska zajmowała duże, piękne mieszkanie. Trudno wprost było uwierzyć, że jedna osoba może dysponować tak potężnym metrażem. Eks-śpiewaczka nie była kobietą ani pierwszej, ani nawet drugiej już młodości. Ciągle jednak nie rezygnowała z kokieterii i nie wątpiła, że jeszcze może się podobać mężczyznom. Dbała też z niezwykłą starannością o jaskrawy maquillage oraz ubierała się według najnowszej mody, skłaniając się może nazbyt chętnie w kierunku stylu młodzieżowego. Nie przestawała grać roli zawsze pełnej życia, rozkosznej trzpiotki i uwielbiała towarzyskie pogawędki, które zamieniały się momentalnie w nie kończący się monolog.

Zobaczywszy barczystego młodziana, podstarzała dziewczeczka poczęstowała gościa smaczną i obfitą kolacją, mając niewątpliwie nadzieję, że jej nowy lokator będzie być może skłonny do nawiązania przelotnego flirtu, a jeżeli nie, to przynajmniej zechce cierpliwie wysłuchać opowieści o nieboszczyku mężu, oficerze kawalerii, oraz o jej sukcesach wokalnych.

Wojtek kolację zjadł z apetytem, ale do rozmowy wciągnąć się nie dał. Pomny przestroég Zenona, powiedział, że jest ogromnie zmęczony po podróży i że chciałby się zaraz położyć.

- Może będzie panu trochę samotnie w takim dużym pokoju?-uśmiechnęła się zalotnie wdowa po kawalerzyście.

- Nie będzie mi samotnie — stwierdził z całą stanowczością Wojtek. — Dobranoc pani.

Nazajutrz parę minut po dziesiątej pojawił się Zenon. Był jak zwykle bardzo elegancko ubrany i pachniał zagraniczną wodą kolońską.

Wojtek, przywykły do wczesnego wstawania, czekał już na niego od dawna.

- Jak ci się spało? — spytał Mierzycki. Nie czekając na odpowiedź, usiadł i zapalił papierosa. — Zdaje mi się, że

coś dla ciebie wykombinowałem — powiedział wesoło. — Znasz się trochę na ogrodnictwie?

- Przecież ze wsi.

- Właśnie. To doskonale. Będiesz trochę ogrodnikiem, trochę dozorcą... Umiesz prowadzić wóz?

- Umiem. Nie mam prawa jazdy, ale prowadzić umiem. Nawet i na motorze trochę się znam.

- Wybornie. Taki właśnie człowiek jest potrzebny.

Wojtek podejrzliwie przyjrzał się Zenonowi.

- Ale na żadne „skoki” to ja już nie idę. Mam dosyć.

- Kto mówi o skokach? — zaśmiał się Mierzycki. — Ani mi to w głowie. Chcę ci zaproponować solidną, uczciwą pracę. Tylko jeden warunek.

- Jaki?

- Będziesz trenował boks i judo.

- Na cholerę mi to?

- Nie dopytuj się, tylko powiedz, czy zgadzasz się trenować.

Wojtek wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie. Mogę potrenować. Co mi zależy?

- To dobrze. Zbieraj się. Jedziemy.

- Dokąd?

- Zobaczysz.

Przed domem stał lśniący, czarny „Humbr”. Zenon usiadł przy kierownicy. Wojtek koło niego. Ruszyli.

Marszałkowska, Aleje Jerozolimskie, most Poniatowskiego. Na wale Miedzeszyńskim zwiększyli szybkość.

- Podoba ci się tu? — spytał Mierzycki.

Wojtek skinął głową.

- Fajnie. Wisła niedaleko. I las widać. Dokąd mnie wiesz?

- Do twojego nowego miejsca pracy. Jestem pewien, że ci się spodoba.

Jechali tak ze trzydzieści kilometrów, może więcej. Wreszcie Zenon nacisnął hamulec.

- Wsiadaj.

Duży piętrowy dom stał w głębi starego, zapuszczonego

parku. Potężne drzewa z rozłożystymi konarami osłaniały go przed oczyma ciekawych. Wszystko to otoczone było wysokim murem, na którym umieszczono jeszcze potrójną porcję kolczastego drutu. Brama solidna, żelazna, osadzona w imponujących zawiasach.

„Zupełnie jak w kryminale” — pomyślał Wojtek i zrobiło mu się nieswojo.

Furtkę otworzył im wysoki, szczupły mężczyzna o nieprzyjemnym, przenikliwym spojrzeniu. Miał na sobie czarny, dopasowany garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Wyglądał tak, jakby się wybierał na pogrzeb.

Mierzycki podał mu rękę i powiedział, wskazując swego towarzysza:

- Poznajcie się. To jest Wojtek, a to Ksawery.

Zapoznawczy uścisk dłoni odbył się w całkowitym milczeniu. W chwilę potem czarno odziany Ksawery zniknął jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zaś Zenon z Wojtkiem ruszyli w kierunku domu.

— To bardzo porządny facet — wyjaśnił Mierzycki. — Trochę mruk, dziwak, ale solidny gość. Można na nim polegać. Taktowny, dyskretny. Nie wtrąca się do nie swoich spraw. To bardzo cenna zaleta. No, i jak ci się tu podoba?

- Tak sobie... średnio — mruknął Wojtek. Przystanął i przez chwilę przyglądał się budynkowi.

Prawdę mówiąc, nie było się czym zachwycać. Domisko stare, zaniedbane, ponure. Sfatygowany tynk poodlatywał w wielu miejscach i brudne, smutne lizsaje pokrywały ściany, po których gdzieniegdzie pełzał powój oraz dzikie wino. Stopnie, prowadzące na duży ganek, podparty wyszczerbionymi kolumnami, pokrywał mech. Być może, kiedyś był to piękny, wielkopański pałacyk, ale teraz... Pierwsze piętro robiło takie wrażenie, jakby dużo później zostało dobudowane. Zupełnie nie pasowało do architektury całości.

„Jakaś cholerna rudera” — pomyślał Wojtek i zwrócił się do Zenona:

- Co ty chcesz, żebym ja tu robił?
- Może wejdziemy do środka? — zaproponował Mierzycki.
- Możemy — zgodził się bez entuzjazmu Wojtek.

Weszli na ganek i Mierzycki nacisnął ciężką, rzeźbioną w mosiądzu kławkę.

I wtedy Wojtek zbaraniał. Przez chwilę stał bez ruchu, z otwartą gębą i wybałuszonymi oczami. Nie wiedział, czy mu się to śni, czy może zwariował.

Hall były ogromny, luksusowo urządzone. Lśniące posadzka, marmury, rzeźby, wspaniałe dywan, a na ścianach stare portrety, zabytkowa broń i kosztowne makaty. Istne muzeum.

Mierzycki przekręcił kontakt i w jednej chwili z pięknego kryształowego żyrandola wytrysnął snop jaskrawego światła. Wszystko wokół wydało się jeszcze bogatsze, jeszcze bardziej imponujące.

- No, i jak ci się tu podoba? — powtórzył pytanie Mierzycki i uśmiechnął się.

Wojtek nie zdołał jeszcze ochłonąć z wrażenia. Wyjąkał tylko:

- O, cholera.

Mierzycki pociągnął go za rękaw.

- Chodź, pokażę ci pokoje.

Były to iście książęce apartamenty, salony, sypialnie, gabinety, biblioteki, a wszystko to umeblowane z przepychem, bogato, może nawet za bogato. Wojtek oczywiście nie potrafił tego zauważyć, ale bardziej wyrobiony obserwator mógłby tu bez trudu dostrzec brak dobrego smaku. Za dużo było tego wszystkiego. Meble nie zawsze pasowały do siebie. Ściany przeładowane obrazami, niezbyt szczęśliwie ze sobą zestawionymi. Ogólne wrażenie było jednak imponujące. No i ten zaskakujący kontrast z zewnętrznym wyglądem budynku...

- Cholera... Cholera... — powtarzał Wojtek, rozglądając się wokół osłupiały. — Kto tu mieszka? Czyje to wszystko? Państwowe?

- Ale gdzie tam państwowe — roześmiał się Mierzycki. —

Prywatna posiadłość.

- Prywatna? Co też ty mi opowiadasz? Toć to istne muzeum albo jaki hrabiowski pałac. Całkiem jak w kinie. Byłem kiedyś na takim filmie. Nie pamiętam tytułu. Takie same sale pokazywali. Luksus.

- Podoba ci się?

- No chyba.

- Chciałbyś tu mieszkać?

- Nie żartuj.

- Wcale nie żartuję. Będziesz tu pracował.

- Pracował? Jako kto?

- Już ci powiedziałem. Jako ogrodnik. Będziesz pilnował chałupy. Uporządkujesz trochę ogród. Widziałeś, jak to tu wszystko wygląda.

- Faktycznie — przytaknął Wojtek. — Chcieć to doprowadzić do jakiego takiego ładu, to roboty nie zabraknie. Ale wytłumacz mi, kto tu się tak umeblował, kto to wszystko tak urządza?

- Zabytkom na odsiecz — uśmiechnął się Mierzycki.

- Nie rozumiem.

- Zaraz ci wytłumaczę. Posłuchaj. Siadajmy tu sobie.

Usiedli w głębokich, wolterowskich fotelach i Mierzycki zapalił papierosa.

- Widzisz, Wojtuś, sprawa jest zupełnie prosta. Stała tu ta rudera nikomu niepotrzebna i tak się po trochu waliło to wszystko. Bardzo dużo jest teraz u nas takich opuszczonych, nie wykorzystanych przez nikogo pałaców, dworców. Nikt tego nie chce brać, bo trzeba w to wsadzić kupę forsy. A tu się trafił gość, który przyjechał z grubymi dolarami. Wziął to w dzierżawy, urządził, jak widzisz, luksusowo, odremontował...

- Z zewnątrz tego remontu nie widać — zauważył Wojtek.

- Poczekaj. Nie od razu Kraków zbudowano. Zrobi się i z zewnątrz na wysoki połysk. Powoli. Na razie budynek jest wewnątrz doprowadzony do porządku.

- I ten facet będzie tu mieszkał?

- Nie wiem. Może jaki pensjonat chce założyć?

- A ty skąd go znasz?

- Poznałem go przypadkowo na brydżu u znajomych. Równy gość. Może trochę mało komunikatywny, ale jak co powie, to dotrzyma. Można z nim, jak to się mówi, konie kraść. Prosił mnie, żebym mu się wystarał o jakiego ogrodnika, więc jak cię wczoraj zobaczyłem... Wiejski chłopak jesteś, chyba się trochę znasz na tych różnych badyłach.

— Ale to uczciwa robota? — spytał niedowierzająco Wojtek. — Bo ja na żadne kanty nie idę. Mam dosyć.

- Dajże spokój — roześmiał się Mierzycki. — Gdzież ja bym ci nieuczciwą robotę rail. Będziesz pilnował chałupy, zajmiesz się parkiem, na wiosnę posadzisz tu trochę kwiatów, przydałyby się jakieś klomby. Musi wyglądać elegancko. Rozumiesz chyba.

Wojtek poskrobał się za uchem.

- Nie wszystko rozumiem. Po jakiego czorta mam się boksować. To ogrodnikowi niepotrzebne.

- A cóż ci szkodzi trochę poćwiczyć? To takie dziwactwo nowego właściciela tego domu. Chce mieć tu człowieka silnego, wysportowanego, który by sobie w razie potrzeby dał radę.

- Z kim?

- Nie wiem, z kim. Ze złodziejami, z bandytami. Te podwarszawskie okolice, to wiesz... Różny tu element się kręci. No więc jak? Decydujesz się na tę posadę?

- Bo ja wiem... — Wojtek z zafrasowaną miną pokręcił głową. Wyczuwał instynktownie, że Zenon nie mówi mu wszystkiego. Luksusowe wnętrze tego domu w zestawieniu z obdrapanymi, brudnymi murami robiło na nim dziwne, trochę niesamowite wrażenie. Wyglądało to tak, jakby ktoś chciał zamaskować te wspaniałe urządzone salony. Zenon wprawdzie twierdził, że remont jeszcze nie skończony i że fronton domu także zostanie odnowiony, ale czy można wierzyć w to, co mówi Zenon...?

- Musisz się zdecydować, i to zaraz — nastawał Mierzycki. — Jak nie, to nie. Znajdę kogoś innego. Za pięć tysięcy

miesięcznie pensji to nie będzie takie trudne.

- Pięć tysięcy...?

- A cóżeś ty myślał? Pięć patyków, nie licząc ubrania służbowego i dodatkowych premii.

- Zgadza się — powiedział Wojtek.

Rozdział IV

Zaczął się dla Wojtka nowe życie. Dziwne to było życie, jakieś całkiem inne, nie takie, do jakiego przywykł.

Zamieszkał w przybudówce, którą szumnie nazywano „pałacowym skrzydłem”. Pokój miał duży, widny, wygodnie urządzone. Roboty nie było za wiele. Bo i co tu robić w parku na jesieni? Trochę tych suchych liści zagrabić, krzaki róż słomą zabezpieczyć przed zimą, doły pozasypywać, alejki wyrównać. Dopiero na wiosnę można naprawdę ruszyć z robotą, jak śnieg spłynie.

Na razie oprócz niego w „pałacu” było dwóch ludzi: ten szczupły w czarnym garniturze, który im pierwszego dnia otworzył furtkę i którego Zenon nazwał Ksawerym, oraz kucharz Mario, Włoch z pochodzenia, ogromne, muskularne chłopisko, jak się później okazało, były champion w wadze ciężkiej. Z nim to właśnie po paru dniach Wojtek rozpoczął treningi.

Początkowo nie szło mu najlepiej, bo Mario był rutynowanym bokserem i miał dobrą technikę. Obijał też swojego nowego ucznia bezlitośnie. Wojtek był jednak chłop mocny, wytrzymały i chociaż po takim treningu czuł się jak zdjęty z krzyża, postanowił wytrwać. Z każdym dniem robił coraz większe postępy. Stopniowo stał się odporny na ciosy, opanował uniki, wyrobił sobie szybkie, skuteczne uderzenia z obu rąk. Oprócz sparingów musiał odbywać codzienną gimnastykę, skakanka, ćwiczenia na worku, na piłce itd.

Trzy razy w tygodniu przyjeżdżał instruktor judo, autentyczny Japończyk. Ten znowu ciskał Wojtkiem o matę, aż ziemia jęczała. Było to chyba jeszcze bardziej męczące niż treningi bokserskie.

Wszystkie te sportowe ćwiczenia odbywały się w drewnianym baraku stojącym za „pałacem” i wyposażonym w najrozmaitsze przyrządy gimnastyczne. Tam też Ksawery, który na co dzień pełnił obowiązki lokaja, uczył Wojtka

strzelania z pistoletu. Sam świetnie władał bronią palną, a oprócz tego umiał rzucać nożem.

„Co oni chcą ze mnie zrobić — rozmyślał wieczorami Wojtek, leżąc poobijany i ledwie żywy w swoim wygodnym, szerokim łóżku. — Na cholerę mi te sporty? Zawodowym bokserem ani mistrzem judo i tak nigdy nie będę.” Nie zachwycalo go to wszystko, ale na razie nie buntował się. Mieszkał wygodnie, jadł dobrze, forszę dostawał właściwie za nic. Postanowił jeszcze wytrwać i zobaczyć, co z tego wyniknie. Z biegiem czasu stracił zbędną nadwagę, nabral natomiast dużej sprawności fizycznej, stał się odporny, wytrzymały, znakomicie umięśniony. Jego przyrodzone warunki fizyczne w połączeniu z intensywnym treningiem dawały doskonałe rezultaty. „Mistrz” Mario coraz bardziej musiał się liczyć z ciosami swego ucznia, z którym walka stawała się ryzykowna.

Pewnego dnia pojawił się Zenon. Poklepał Wojtka po potężnych ramionach i powiedział z wesołym uśmiechem:

- No... widzę, że ci dobrze robi trening. Zmężniałeś.

- Na co to wszystko? — spytał Wojtek.

Zenon nie odpowiedział. Badawczym spojrzeniem obrzucił swojego pupila cd stóp do głów.

- Trzeba cię ubrać — zdecydował. — Z tych ciuchów już wyrosłeś. Chodź, pojedziemy do krawca.

I tak Wojtek został zupełnie niespodziewanie obspra-wiony. Cztery piękne garnitury, uszyte na miarę, kilka par butów od prywatnego szewca, bielizna, pidżamy, skarpetki, krawaty, płaszcz, jesionka, kapelusze, rękawiczki, parasol. Jednym słowem, wszystko, czego potrzeba eleganckiemu mężczyźnie.

Wojtek był zupełnie oszołomiony. Sam siebie nie mógł poznać w lustrze. Wiele razy zaglądał do szafy, żeby się upewnić, czy ubrania wiszą tam jeszcze, czy to nie sen, jakieś przywidzenie? „Kto, u diabła, sprawia ogrodnikowi takie garnitury? — myślał osłupiały. — Fartuch, roboczy kombinezon, gumiaki, ale nie takie luksusowe ciuchy. Przecież to wszystko kosztuje z kilkadziesiąt tysięcy.

Dlaczego? Po co? Komu na tym zależy, żebym tak elegancko wyglądał?”

- Dlaczego mi to wszystko kupujesz? — spytał kiedyś Zenona.

- Żebyś się dobrze prezentował.

- Przecież jestem tylko ogrodnikiem.

- Nigdy nic nie wiadomo. Możesz awansować. Nie wykluczone, że będziesz także i szoferem. A propos.

Od jutra zapisuję cię na kursy samochodowa. Musisz mieć prawo jazdy.

W ten sposób Wojtek zdobywał coraz to nowe kwalifikacje. Był już zupełnie niezłym bokserem, poznał i opłynał niezawodne chwyt judo i uderzenia karate, a oprócz tego zdał egzamin i otrzymał prawo jazdy. Jeszcze się rozrósł, zmężniał, nabrał pewności siebie. To już nie był ten zagubiony, wiejski chłopak, który wyszedł z kryminału. „Niechby mnie teraz dawni kumple zobaczyli — myślał. — Karaluch, Gruby Mietek... Oko by im zbieleło. »Wielmożny Panie« by do mnie mówili. A te pętaki z fabryki? Szkoda gadać.”

W psychice Wojtka zaczął się niezbyt korzystny proces, który był właściwie nieuniknioną konsekwencją tego, co się z nim działo. Mieszkanie w pałacu, eleganckie garnitury, kosztowne koszule, barwne krawaty, angielska woda lawendowa... wszystko to przewróciło mu w głowie. „Kiedy tak tu o mnie dbają, to znaczy, że im na mnie zależy, że jestem kimś — myślał. — Liczą się ze mną. Chcą pozyskać moje względy.”

Takie życie bardzo mu się podobało z wyjątkiem owej twardej dyscypliny. Ani kropli wódki, ani jednego papierosa, żadnych dziewczyn. Nic tylko treningi i treningi. „Dosyć mam tego więzienia tutaj — myślał. — Co to ja niewolnik jaki czy jak? Ani nigdzie wyjść, ani się zabawić. To na co mi te wszystkie garnitury, ten cały elegancki przyodziewek? Trzeba by gdzie między ludzi pójść, pokazać się, poderwać jaką dziewczuchę.”

Kiedy więc któregoś popołudnia odwiedził go Zenon, cd

razu przystąpił do sprawy.

- Już mi to, Zenek, nadojadło.

- Niby co?

- No, siedzenie tu, w tej chałupie.

- Źle ci?

- Nie mówię, że mi źle, tylko tak się czuję, jak w jakim kryminale. Ani gdzie wyjść, ani się trochę rozerwać. Pilnują mnie tu tak, że kroku nie mogę zrobić poza ten cholerny ogród. Boks — dobrze, judo — dobrze, ale człowiek ma jeszcze jakieś inne potrzeby.

Mierzycki roześmiał się.

- A gdzież byś ty chciał pójść?

- Wszystko jedno gdzie. Choćby nawet i do kina. Pozwolisz mi wziąć wóz?

- No... dobrze — zgodził się Mierzycki po chwili wahania. — Dam ci w niedzielę wychodne. Weź „Fiata” i pojedź sobie do Warszawy, do kina. Tylko jeden warunek: żadnego picia. Jeżeli się dowiem, żeś wrócił na bani, wylecisz na zbitą mordę. Rozumiesz?

- Co nie mam rozumieć. Ja tam zresztą tak bardzo za wódką nie tego... Owszem, nie powiem, kiedyś lubiłem wypić sobie setę, ale nie więcej. Nigdy nie chlał tak jak inne chłopaki. Nie widziało mi się to.

Mierzycki pokiwał głową z uznaniem.

- To dobrze. I jeszcze jedno. Musisz wrócić przed dziesiątą. Po nocy nikt tu się nie może kręcić.

- Dobra. Wrócę przed dziesiątą.

Od tej pory Wojtek co niedziela miał „wychodne”. Brał wóz i jechał do Warszawy. Szedł do kina albo do kawiarni. Wolał kino. Czasem, jak trafił się jakiś film kowbojski czy kryminalny, kupował nawet bilety na dwa kolejne seanse. Lubił mordobicie i strzelaninę. Kawiarnia pociągała go jedynie dlatego, że mógł się pokazać między ludźmi i zaprezentować swoje nowe garnitury i krawaty. Rad był też niezmiernie, kiedy czuł na sobie pełne uznania spojrzenia kobiet. Wysoki, barczysty, świetnie zbudowany młody człowiek wzbudzał zrozumiałe zainteresowanie płci

pięknej.

Wszystkie te eskapady kinowo-kawiarniane odbywał samotnie. Brak mu było towarzystwa. Chętnie nawiązałby znajomość z jakąś elegancką panią, ale zupełnie nie wiedział, jak to zrobić. Był zbyt nieśmiały na to, żeby zaczepić którąś w kawiarni czy na ulicy. Wprawdzie kilkakrotnie zaczepiały go usługowe dziewczęta, ale Wojtek bał się ich i uciekał. Zbyt dużo nasłuchał się w więzieniu o najrozmaitszych chorobach, a poza tym Zenon surowo mu zabronił zadawać się z takimi kobietami. Tak więc w dalszym ciągu samotnie wałęsał się po Warszawie, prezentując swój wytworny przyodziewek i zadając szyku nowiutkim „Fiatem”. Parokrotnie przyszło mu na myśl, aby odwiedzić Karalucha, ale bardzo prędko zrezygnował z tego pomysłu. Trudno było przewidzieć, jak potoczyły się dalsze losy jego dawnego kumpla i czy takie odwiedziny nie skończyłyby się w komisariacie. Zaczęliby go wypytywać, skąd zna tego człowieka, co go z nim łączy, czym się teraz zajmuje, gdzie mieszka itd., itd. Wprawdzie dotychczas nic nie wskazywało na to, że praca ogrodnika może w jakikolwiek sposób kolidować z kodeksem karnym, ale wyczuwał instynktownie, że Zenon nie byłby zachwycony, gdyby milicja zainteresowała się „pałacem” i starym parkiem. Jakby na potwierdzenie jego wątpliwości, Mierzycki któregoś dnia powiedział:

- Siadaj, Wojtek, muszę z tobą pogadać.

Usiedli w tych samych fotelach, w których siedzieli podczas ich pierwszej rozmowy. Mierzycki zapalił papierosa. Wojtek wyciągnął rękę w kierunku paczki „Winstonów”, ale cofnął ją w połowie drogi.

- Przepraszam — usprawiedliwił się. — Czasami zapominał.

Mierzycki z uśmiechem pogroził mu palcem.

- Ani wódki, ani fajek. Surowo wzbronione. Straciłbyś kondycję.

- I tak ze mnie bokser nie będzie — mruknął Wojtek. — Za starym.

- Byli tacy, co dobrze po czterdziestce wychodzili jeszcze na ring i zwyciężali.

- To trzeba bez przerwy trenować od młodego chłopaka, a nie siedzieć w kryminale.

- Przestań myśleć o kryminale — zachnął się Mierzycki. — Było, przeszło, nie ma o czym gadać. Mówił mi Mario, że masz szybkie i bardzo mocne ciosy z obu rąk.

Wojtek uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Daję sobie radę. Jeszcze trochę, a zobaczysz, że ci rozkwaszę tego twojego Włocha. Już jestem od niego szybszy.

— Jak Mario nie będzie mógł sobie z tobą dać rady, to ci damy innego sparing partnera. Na razie ćwicz z nim. To dobry technik i cios także jeszcze ma niczego sobie. Ale nie o tym chciałem z tobą pogadać.

- A o czym?'

Mierzycki zgasił papierosa i odchrząknął.

- Widzisz, Wojtusi, chodzi o te twoje wolne dni...

- Przecież wracam trzeźwiuteńki i zawsze jestem przed dziesiątą w domu.

- Wiem. Pod tym względem jesteś w zupełnym porządku i nie mam do ciebie żadnych pretensji.

- Więc o co chodzi?

- Trochę się boję, żebyś nie nawiązał jakichś nieodpowiednich znajomości.

- Z kurwami się nie zadaję — burknął Wojtek.

- To bardzo ładnie z twojej strony. Ale ja mam na myśli nie dziewczyny, tylko twoich dawnych kumpli.

- Nie spotykam się z nimi.

- Ale możesz się spotkać. Będiesz się chciał popisać wozem, nowym garniturkiem.

Wojtek wzruszył ramionami. Był trochę speszony, że Zenon tak trafnie odgadł jego niedawne myśli.

- To. zupełnie zrozumiałe — ciągnął dalej Mierzycki — że człowiek chce się pochwalić przed znajomymi. Otóż... bardzo cię proszę, żebyś nikomu nie wspominał, ale to nikomu, gdzie pracujesz i gdzie mieszkasz. W razie czego

mów, że dostałeś pracę w Gdańsku czy w Szczecinie i że jesteś kierowcą w państwowej instytucji.

- Po co len sekret?

- Nie żaden sekret, ale zależy mi na dyskrecji. Ten facet, który finansuje to wszystko, prosił, żeby mu nie robić specjalnej reklamy.

Wojtek spojrzał podejrzliwie.

- A mówiłeś, że to uczciwa robota.

- A kto ci mówi, że nieuczciwa? — zaperzył się Mierzycki. — Oczywiście, że uczciwa. A że facet nie chce, żeby trąbić o tym, że on remontuje ten pałac, to zupełnie zrozumiałe. Nie chce robić szumu kolo tego interesu. Na co mu to? Zaraz zainteresuje się nim Wydział Finansowy, podatki i takie różne przyjemności. Przypałęta się jakiś dziennikarz. Narozrabia w prasie, w telewizji. Nie rozumiesz?

- Rozumiem — pokiwał głową Wojtek. — Ale jak ktoś uczciwą robotę robi, to się nie potrzebuje z tym kryć.

Mierzycki niecierpliwie machnął ręką.

- Nie bądź dzieckiem. A zresztą, co ja ci będę tłumaczył. Szef nie życzy sobie rozgłosu. Jego forsa, jego wola.

- No, dobra — powiedział z rezygnacją Wojtek. — Pary z gęby nie puszcze.

- Przyrzekasz?

- Przyrzekam. Gęba w kubel i nie ma o czym gadać.

A kiedyż ja wreszcie tego szefuńcia zobaczę? Jeszcze nie miałem przyjemności.

- Być może, niedługo — uśmiechnął się Mierzycki.

I rzeczywiście, w dwa dni po tej rozmowie przyjechał.

Z „Humbera” wysiadł mężczyzna średniego wzrostu, w ciemnych okularach. Miał krótko przystryżoną, spiczastą bródkę i wąskie, podgolone wąsiki. Ubrany był w luźną, raglanową jesionkę w brązową kratę. Na głowie miękki, filcowy kapelusz, także brązowy, tylko w nieco ciemniejszej tonacji. W zębach trzymał nie zapaloną fajkę. „Szefowi” towarzyszył Zenon oraz barczysty, ponury drab, który wyglądał jak wyjęty z gangsterskiego filmu. Wszystko typowe, i potężna budowa, i złamany nos, i niskie czoło,

nie zdradzające nadmiernie rozwiniętej inteligencji. Szedł ciężkim, kołyszącym się krokiem, spoglądając spode łba. „SzeF” natomiast poruszał się lekko, zwinnie, z dużą pewnością siebie. Szofer pozostał przy kierownicy. Miał nasuniętą na czoło czapkę i podniesiony kołnierz płaszcza. Nie można było dojrzeć jego twarzy.

Wojtek z dużym zainteresowaniem obserwował przybyłych. „Więc to tak wygląda ten zagraniczny milioner” — myślał. Był trochę zawiedziony. Prawdę mówiąc inaczej wyobrażał sobie „szefa”. Ten facet w ciemnych okularach nie zrobił na nim zbyt imponującego wrażenia. Nie miał jednak czasu dłużej się nad tym zastanawiać, ponieważ od razu zaprzęgnięto go do roboty. Trening bokserski.

Postanowił się popisać. Zebrał się w sobie i natarł z takim impetem, że Mario dwa razy znalazł się na deskach. Nie był to wprawdzie nokaut, ale sukces ogromny. Rozległy się oklaski. Wojtek obejrzał się. „SzeF” bił brawo. Miał drobne, wypielęgowane dłonie.

Judo wypadło trochę gorzej. Japończyk był ciągle o wiele lepszy, ale Wojtek starał się, jak mógł, i pokazał, że zrobił znaczne postępy w tym sporcie. Nie walił się już tak na matę bezwładnie jak worek kartofli.

Po występach sportowych „szef” razem z Zenonem obszedł cały dom, wszystko dokładnie obejrzał, coś pokazywał, o coś pytał. Przez cały czas rozmawiali po angielsku. Wojtek nie rozumiał oczywiście ani słowa.

Inspekcja najwyraźniej wypadła pomyślnie, ponieważ szef miał minę zadowoloną i z uznaniem poklepywał Zenona po plecach. Na od jezdny zwrócił się do Wojtka i powiedział coś po angielsku.

- SzeF pyta, czy jesteś zadowolony z pracy? — przetłumaczył skwapliwie Zenon.

Wojtek przytaknął i z szacunkiem uściśnął wyciągniętą ku sobie delikatną dłoń. „Ten by się nie nadawał do boksu” — pomyślał.

W parę dni po wizycie „szefa” w pałacu zaczął się niebывały ruch. Po pierwsze, powiększyła się znacznie

służba. Oprócz Ksawerego było teraz pięciu lokai, wszyscy doskonale ubrani, elegancy, dobrze znający swój zawód. Mario otrzymał w kuchni fachową pomoc, a Wojtkowi przydzielono do dyspozycji dwóch młodych chłopaków na posyłki. Obaj wyposażeni zostali w motorowery.

Jednocześnie z powiększeniem personelu pojawili się robotnicy, którzy ustawili wokół pałacu rusztowania, wypili pół litra wódki, popalili papieroski i poszli.

„Będą tynkować chałupę — pomyślał z zadowoleniem Wojtek. — Najwyższy czas. Do czego to podobne, żeby wewnątrz taki luksus, a z zewnątrz dziadostwo, istna ruina.”

Urządzenie pałacu także uległo pewnym zmianom.

Niektóre meble zabrano, a na ich miejsce pojawiły się bary, wypełnione napojami alkoholowymi, stoliki do gry w karty, a któregoś dnia przywieziono nawet ruletę. Wszystkie sypialnie przeniesiono na pierwsze piętro. Ruch był ogromny, ale robotnicy, którzy ustawili rusztowania, nie pojawiali się.

Wojtek z pewnym niepokojem przyglądał się temu wszystkiemu. „Dom gry tu szykują. Ani chybi — myślał zafrasowany. — Diabli wiedzą, co to jeszcze z tego będzie?” Teraz już rozumiał, co znaczyły te bokerskie treningi i lekcje judo. Po prostu chcieli z niego zrobić wykwalifikowanego wykidajkę. Nie bardzo mu się to widziało, ale zbyt już przywykł do dobrego jedzenia, do wygodnego mieszkania, do pałacowych pokoi i eleganckiego ubrania, żeby mógł się zdecydować na rzucenie tej dziwnej i, co tu kryć, trochę podejrzaną posady. Jak dawniej więc spełniał sumiennie swoje obowiązki, nie zaniedbywał treningów, nabierał coraz lepszej kondycji, a w niedzielę jechał do Warszawy, żeby się trochę rozerwać.

Jakoś pod koniec marca zaczęli przyjeżdżać pierwsi goście. Początkowo dwa, trzy samochody, potem coraz więcej. Wszystkie wozy nowiutkie, błyszczące, wysokiej klasy. Niektóre z nich miały rejestrację zagraniczną, a trafiały się też i ze znakami CD. Wysiadali z nich wytworni

panowie i eleganckie panie, rozmawiający różnymi językami, których Wojtek ani w ząb nie rozumiał. Orientował się tylko, czy ktoś mówił po angielsku czy po niemiecku, ale o co chodziło, wymiarkować w żaden sposób nie mógł. „Yes, yes” to byli Anglicy albo Amerykanie, a „Ja, ja” to byli Niemcy. Na tyle się wycwanił. „A może to nasi rodacy tak zadają szyku” — myślał czasami, nie mogąc zrozumieć, skąd nagle pojawiło się tylu cudzoziemców.

Goście grali w karty, niektórzy szli do przytulnego salonu, w którym stała ruleta, obsługiwana przez mizernego krupiera. Inni rozmawiali, tańczyli, pili zagraniczne trunki. Byli też i tacy, którzy w towarzystwie kobiet wędrowali na pierwsze piętro i znikali w luksusowo urządzonej sypialniach.

„Albo ja jestem skończony baran, albo urządzili tu regularny burdel” — medytował coraz bardziej zafrasowany Wojtek. Nie omieszkał też podzielić się z Zenonem swoimi wątpliwościami.

- Pilnuj swego nosa — ofuknął go Mierzycki. — Czy wiesz, że szef kazał ci podnieść pensję na osiem tysięcy?

Wojtek otworzył szeroko gębę.

- O rany...’ Osiem tysięcy...?! Dla mnie?

- No chyba, że dla ciebie. Głupi. Żle ci?

- Pewnie, że dobrze. Osiem patyków jak za psa. Przecie ja nic nie mam do roboty.

- Nie bój się. Znajdzie się robota — pocieszył go Mierzycki. — Na razie boksuj, trenuj judo, inkasuj forszę i siedź cicho. Gdzie ty taką posadę, chłopie, dostaniesz? Mieszkanie, wikt, opierunek, wóz do dyspozycji w niedzielę i osiem tysięcy miesięcznej pensji.

- Faktycznie, żyć nie umierać — przyznał Wojtek, który bardzo prędko stłumił w sobie wszystkie wątpliwości i niepokoje.

„Co ja się będę przejmował? — rozmyślał. — Burdel, to burdel. Co mnie to obchodzi? Nie muszę o tym wiedzieć, co się dzieje w pałacu. Ogrodnikiem jestem, i kwita. Do mnie park należy, a nie pałac. Niech się inni martwią.

Płacą kupę forsy. Byłbym skończonym idiotą, żebym z tego nie skorzystał. Popracuję tu rok albo dwa, odłożę trochę grosza i chodu. Nie muszę tu przecież całe życie siedzieć. Słubu z nikim nie brałem.”

Niebawem jednak przekonał się, że nie tylko sprawy związane z parkiem należą do obowiązków „ogrodnika”.

Któregoś wieczoru wraz z innymi wozami zajechał przed pałac szary „Opel”, z którego wysiedli trzej krzepko wyglądający mężczyźni.

- Chcieliśmy porozmawiać z Zenkiem - powiedział zdecydowanym tonem jeden z nich.

Ksawery pogardliwym spojrzeniem obrzucił nowo przybyłych.

- Z jakim Zenkiem? — spytał chłodno.

- Z Mierzyckim.

- Aha... Panowie życzą sobie rozmawiać z panem dyrektorem Mierzyckim. Chwileczkę. Proszę tu zaczekać.

Po chwili do hallu wszedł Zenon, a za nim Wojtek.

Wtedy jeden z „interesantów” zbliżył się i bez słowa wymierzył Zenonowi potężny cios pięścią uzbrojoną w kastet. Na szczęście Zenon był przygotowany na atak, wykonał błyskawiczny unik i krzyknął:

- Wojtek!!

To była znakomita okazja, ażeby wykazać, że sparingi z Włochem i treningi na macie z Japończykiem nie poszły na marne. Wojtek błyskawicznie wszedł do akcji i nim ktokolwiek zdołał się zorientować, co się dzieje, trzej nieproszeni goście leżeli nieprzytomni na starannie wyfroterowanej posadzce.

Pospiesznie przeniesiono nieruchome ciała do służbowego pokoju. To wszystko stało się tak szybko, że nikt nie zauważył zajścia. Teraz jednak wyłoniła się poważna komplikacja. W żaden sposób nie można było docucić znokautowanych.

- Za mocno uderzyłeś — powiedział zaniepokojony Zenon. — Ledwie zipią. Tak nie można. Mogłeś ich pozabijać.

- Wyprowadziłem prawidłowo ciosy — tłumaczył się Wojtek.

- Ale na cholerę z taką siłą. Jak nam tu wykitują, to dopiero będzie klops.

- Nie wykitują. Chłopy jak byki. Nic im nie będzie.

Rada w radę postanowiono odwieźć ofiary Wojtkowych pięści do Warszawy. Wojtek wiozł ich ich własnym wozem, zaś Ksawery jechał za nimi „Fiatem”, żeby z powrotem zabrać Wojtka. Tak zajechali na Hożą, gdzie zostawili szarego „Opia” z nieprzytomnymi drabami, którzy powoli zaczynali dawać znaki życia.

Po powrocie do pałacu Wojtek natychmiast odnalazł Zenona.

- Czego od ciebie chcieli te bandziory? — spytał.

- Takie tam głupie pretensje — odparł niechętnie Mierzycki. — Żyją?

- Chyba żyją. Już się zaczynali ruszać, jakem ich pod pogotowiem zostawił. Nie myślisz, że nam milicję na kark ściągną?

Mierzycki pokręcił głową.

- Wykluczone. To nie są typy, które by miały ochotę rozmawiać z milicją. O to jestem zupełnie spokojny. Najwyżej zechcą mnie poszukać w moim prywatnym mieszkaniu.

- Nie boisz się?

- Jakbym się tak wszystkiego bał, to daleko bym nie zajechał — uśmiechnął się Zenon. — Zresztą, mam broń. Nie sądzę, żeby chcieli jeszcze raz ze mną zadzierać. Przekonali się, że mam niezłą obstawę. Dziękuję ci, Wojtuś. Ładnieś to załatwił, tylko trochę za mocno Na drugi raz wal nie tak gorliwie. Z trupem byłby większy kłopot.

- Dobra. Będę delikatniej bił.

W gruncie rzeczy jednak Wojtek był dumny ze swojego pierwszego występu. To był sukces. Trzech drabów, i to nie ułomków, załatwił bez trudu. Ani się żaden nie zdążył nawet zastawić. To była dobra robota. Szef na pewno byłby

z niego zadowolony. Odpaliłby może jaką dodatkową premię. Ale szef od dłuższego czasu nie pokazywał się w pałacu. To było nawet zastanawiające, dlaczego właściciel tego wszystkiego nie dogląda interesu, dlaczego nigdy nie przyjmuje swoich gości?

„Honory domu” czynił zawsze Mierzycki, wspomagany przez bardzo eleganckiego szpakowatego pana, którego Zenon nazywał poufale „kochanym Wiktorem”. Obaj mówili biegle paroma językami i doskonale radzili sobie zarówno z rodakami, jak i z zagranicznymi gośćmi. „Kochany Wiktor” był wysokim, dystygowanym mężczyzną, o rasowej twarzy i znakomicie wyreżyserowanych, dyskretnych ruchach. Robił wrażenie aktora, grającego w filmie z „wyższych sfer towarzyskich”. Do Wojtka odnosił się uprzejmie, ale z pewnym protekcyjnym dystansem. Robił to zresztą w sposób bardzo delikatny, znamionujący człowieka dobrze wychowanego.

Szef przyjeżdżał rzadko i tylko w godzinach przedpołudniowych albo zaraz po obiedzie. Rozmawiał z Zenonem i Wiktorem, wydawał im jakieś dyspozycje, oglądał teren nocnych zabaw i znikał. Nigdy nie zostawał na wieczór.

Gości zjeżdżało do pałacu coraz więcej. Po owym nie przyjemnym incydencie zaostrożono jednak kontrolą i wpuszczano na teren tylko po jednym wozie, za okazaniem specjalnego zaproszenia albo stałej karty członka „Night Club Feniks”. Wojtek pilnował przy bramie, aby nikt niepowołany nie dostał się do środka. Pomagał mu w tym ów ponury drab, który za pierwszą bytnością towarzyszył szefowi, a którego pieszczotliwie nazywano Lulu. Lulu także był chłop krzepki. Znał boks, judo i nie rozstawał się ze stalowym prętem, który nosił w wewnętrznej, długiej kieszeni jesionki.

Wojtek miał teraz „wychodne” nie w niedziele, a w poniedziałki, kiedy „Night Club” był nieczynny i kiedy odbywały się generalne porządki. Pojawiały się wtedy całe zastępy sprzętaczek, cykliniarzy, ludzi froterujących posadzki na tak zwany „wysoki połysk”. W przeciągu

jednego dnia pałac doprowadzony był do pierwotnego stanu. Ciągłe jednak nie pojawiali się robotnicy i w dalszym ciągu budynek otaczały rusztowania, co wyglądało tak, jakby ktoś niezbyt skwapliwie zabierał się do remontowania starej rudery.

Podczas jednej ze swych poniedziałkowych wypraw Wojtek — wcześniej niż zwykle znalazłszy się w Warszawie — wybrał się do kina. Film nie wzbudził jego zachwytu. Ani jednego porządnego mordobicia, ani szaleńczej pogoni za czarnym charakterem, ani nawet najmarniejszego trupa. Dwoje ludzi włączyło się ospale po ekranie, mówiąc od czasu do czasu niezbyt zrozumiałe rzeczy. Wojtka tak to znudziło, że wyszedł nie dosiedziawszy do końca filmu.

Było wcześnie. Co robić z czasem? Nie miał ochoty iść do drugiego kina. W zadymionej kawiarni także nie bardzo chciało mu się siedzieć. „Co będę się stale gapił na te same dziwki” — myślał z niesmakiem. Postanowił pojeździć trochę po mieście. Wsiadł w „Fiata” i włączył motor.

Pogoda była nieszczególna. Północny wiatr zaczął drobnym śniegiem zmieszany z deszczem. Ulice pokrywała gruba warstwa rozmazanego błota.

Jeździł bez celu mokrymi ulicami, obserwując skurczonych, spieszących się ludzi. „Mnie to dobrze — myślał z satysfakcją. — Siedzę sobie jak ten król w ogrzonym wozie, a te bidaki muszą moknąć na takiej cholernej plusze. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Jednym zawsze jest lepiej, a innym gorzej. Tak to już jest.”

Pogrążony w takich rozważaniach, skręcił we Wspólną, chcąc dostać się do Kruczej, a potem do Alej i na most Poniatowskiego. Postanowił wracać do domu. Nie było sensu tak kręcić się po mieście.

Przed Kruczą na postoju taksówek stała ogromna kolejka, chyba dwadzieścia osób. A na końcu tej kolejki.

Wojtek drgnął i poczuł, że zrobiło mu się gorąco. Beata... Ależ tak... Nie ma najmniejszej wątpliwości. To ona. Ona!

Zahamował gwałtownie i spytał: — Pani dokąd?

- Na Mokotów. Na Bokserską.

- Pani siada.

Wsiadła pospiesznie i zatrzasnęła drzwiczki. Nie poznała go. Nie patrzyła nawet na niego. Zajęta była parasolką, kołnierzem płaszcza, szalikiem.

Jechali w milczeniu. Wojtek czuł się bardzo dziwnie. Oto siedzi tuż koło niego ta ukochana, wyśniona, jedyna, ta, o której przez tyle długich dni i jeszcze dłuższych nocy marzył w celi więziennej. Nie pamiętał już, że to ona właśnie wrobiła go w całą tę aferę, że to przez nią.~ Dawno już jej to przebaczył, nie chciał o tym myśleć. Gdyby mu ktoś przed godziną powiedział, że będą tak siedzieć koło siebie w samochodzie, to oszalałby ze szczęścia. A tymczasem... To dziwne, ale jakoś wcale nie szalał ze szczęścia. Doznawał tylko uczucia pewnego skrępowania. Nie mógł tego zrozumieć, ale może wolałby, żeby go wcale nie poznała, żeby ją odwiózł na Bokserską i cześć. Nie miał pojęcia, o czym mógłby z nią mówić, od czego zacząć rozmowę? Było mu jakoś głupio, niezręcznie. Właściwie, nie był zadowolony z tego spotkania. Mocniej nasunął kapelusz na czoło.

W dalszym ciągu nie zwracała na niego uwagi. Odwrócona, wyglądała przez szybę na smutne, wypełnione szarugą ulice. Nie odzywała się ani słowem, pogrążona widocznie w rozmyślaniach. Dopiero kiedy zajechali na Bokserską, powiedziała:

- Niech pan się tu zatrzyma. — I zaraz spytała: — Ile jestem panu dłużna?

- Nic. Po starej znajomości panią podwiozłem.

Dopiero wtedy przyjrzała mu się uważniej.

- Wojtek! To ty?

- A ja. Nie poznaje mnie pani?

- Ależ, oczywiście... Tylko... tylko tak się zmieniłeś... zmężniałeś... wydoroślałeś. Jesteś taki elegancki... — Była bardzo speszona. — Co porabiasz? Jak ci się powodzi?

- Dużo by gadać — odparł Wojtek.

- To twój wóz?

- Mój.

- To chyba dobrze ci się powodzi.
- Nie narzekam.
- Musimy kiedyś porozmawiać. Nie było mnie w kraju. Teraz bardzo się spieszę, jestem umówiona, ale...
- Nie mam zamiaru zabierać pani czasu — powiedział Wojtek.
- Dlaczego mi mówisz „pani”? Przecież byliśmy chyba po imieniu.

- To było tak dawno.
- Odwiedź mnie któregoś dnia tutaj.
- Mam wolne tylko poniedziałki. Pracuję.
- Dobrze. To w przyszły poniedziałek, o piątej. Zaraz dam ci mój adres. — Wyjęła z torebki notes, wyrwała kartkę i zapisała na nim długopisem adres i telefon. — Na wszelki wypadek zadzwoń do mnie, ale umawiamy się na przyszły poniedziałek, o piątej. Bardzo ci dziękuję, żeś mnie podwiózł. Fatalna pogoda. Pa. Do widzenia.

Nie wysiadał z wozu, żeby się z nią pożegnać. Tkwił nieruchomo za kierownicą i patrzył, jak znikwała w bramie domu. Petem zawrócił.

„Zawsze ładna, cholera — myślał, jadąc w kierunku śródmieścia. — Nic się, ścierwo, nie zmieniała. Ładna, szykowna, z biglem. Po zagranicach sobie jeździła, podczas gdy ja... Głupi byłem, oj, głupi. Alem teraz już nie taki. Już się tak łatwo nie dam zabajtlować. Teraz już zmadrzałem.”

Wycieraczka stukała monotonnie: tak... tak... tak... tak... Mokry śnieg uparcie kleił się do szyb. Prowadził wóz automatycznie, myśląc zupełnie o czym innym. Właściwie nie wiedział, czy ma się cieszyć z tego, że Beata jest w dalszym ciągu bardzo ładna, elegancka, że wygląda młodo i świeżo. A może wolałby, żeby była w nędzy, obdarta, zniszczona, postarzała, głodna i żeby on mógł ją nakarmić, pomóc jej, dać parę złotych? „Oj, durny ty, durny — myślał zaniepokojony stanem swojego ducha. — Niechby tylko kiwnęła na ciebie... Zaraz byś poleciał. A właśnie że nie! — zbuntował się nagle. — Nigdzie bym nie poleciał. W dupie mam to wszystko. Niech sobie robi, co chce. Kurwa. Nie

zadzwońię do niej ani nie pójdę. Niech ją jasny szlag trafi. Drugi raz już się nie dam nabrać. Nie zadzwonię. Niedoczekanie. Nie zadzwonię.”

A jednak zadzwonił. Prawdę mówiąc, nie mógł doczekać się poniedziałku. Sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać, ale ten tydzień włókł mu się w nieskończoność.

Zatelefonował z samego rana. W słuchawce posłyszał jej głos, który brzmiał dziwnie obco, bezosobowo, jak głos w zegarynce.

- Dobrze. Przyjedź — powiedziała jakby z pewnym wahaniem.

- O piątej?

- O piątej.

Wziął najlepsze ubranie, ogolił się bardzo starannie, oblał obficie twarz wodą kolońską, wybrał barwny, jak mu się zdawało, niezwykle elegancki krawat, wyczyścił dokładnie buty i pojechał.

Przyjęła go grzecznie, ale dosyć oficjalnie. Na stole stał elektryczny samowar, talerz z ciastkami, butelka koniaku i kieliszki.

- Napijesz się herbaty? — spytała i nie czekając na odpowiedź napełniła dwie filiżanki.

- Za koniak dziękuję — powiedział, widząc, że Beata sięga po butelkę.

- Ani kieliszka?

- Ani kieliszka. Nie używam alkoholu.

- O! — zdziwiła się. — Co się stało? Jesteś chory?

- Jestem zupełnie zdrowy, ale nie piję.

Nalała sobie koniaku i przyjrzała mu się uważnie.

- Może dlatego tak doskonale wyglądasz. Czy może i nie palisz?

- Nie palę.

- Brawo. Widzę, że się zrobiłeś strasznie cnotliwym młodzianem.

— Bo ja wiem — wzruszył ramionami i posłodził herbatę. Czuł się bardzo skrepowany. Nie wiedział, o czym mówić, jak się zachować. Beata onieśmiała go i drażniła zarazem.

Ten jej leciutko drwiący, żartobliwy ton, ten uśmiech jakby nieco protekcyjnalny. Siedział chmurny, nadęty i pił herbatę.

Patrzyła na niego z wesołym błyskiem w oczach.

- Nie jesteś zbyt rozmowny.

- Właściwie nie wiem...

- Opowiedz mi coś o sobie — poprosiła.

- Czy panią to interesuje?

- Przede wszystkim przestań mi mówić „pani”. Jesteśmy przecież starymi przyjaciółmi.

Nie zareagował. Dosypał jeszcze trochę cukru do herbaty.

- Masz do mnie żal? — spytała po chwili.

- Żal? O co miałbym mieć żal?

- No... o to wszystko. O to, co wycierpiałeś tam...

Odstawił filiżankę i spojrzał jej w oczy. Miał szaloną ochotę rzucić jej w twarz najgorsze, najordynarniejsze słowa. Miał ochotę bić ją, skopać, sponiewierać. W tej chwili nienawidził jej, nienawidził do głębi serca. Chciałby ją widzieć upokorzoną, zmaltretowaną, cierpiącą. Dużym wysiłkiem woli opanował się. Zdobył się nawet na niezbyt szczery uśmiech.

Wyczuła jego nastrój. W jej spojrzeniu nie było już frywolnej wesołości.

- Ty pewnie myślisz, że to wszystko przeze mnie.

Milczał. Spuścił wzrok i przyglądał się swym ogromnym, muskularnym dłoniom.

- Posłuchaj mnie, Wojtusi — głos jej zabrzmiał trochę nerwowo. Najwidoczniej obawiała się wybuchu tego atlety. — Posłuchaj mnie, Wojtusi. Chciałabym, żebyśmy sobie pewne sprawy wyjaśnili. Nie powinno być między nami niedopowiedzeń. Nie sądzisz? — Zrobiła krótką pauzę, a ponieważ nie doczekała się z jego strony żadnej reakcji, mówiła dalej: — Przede wszystkim chciałabym, żebyś sobie należycie uświadomił fakt, że ja cię do niczego nie namawiałam, absolutnie do niczego. Wprost przeciwnie, próbowałam ci wytłumaczyć, że powinienes zostać na wsi, w domu i prowadzić razem z ojcem gospodarkę. To

przecież ty sam, z własnej, nieprzymuszonej woli przyjechałeś za mną do Warszawy. Przypomnij sobie. Przypomnij sobie, ile razy usiłowałam pozbyć się ciebie, odesłać cię z powrotem na wieś. Nie chciałeś o tym słyszeć, byłeś uparty, straszliwie uparty. To nie moja wina. Ja tego nie chciałam. Ja cię przecież nie namawiałam, żebyś się mieszał w to wszystko, żebyś kombinował z Zenonem. Sam tego chciałeś. Sam. Zastanów się, uświadom to sobie, nie miej do mnie pretensji, nie miej żalu.

Wojtek słuchał w milczeniu i ogarniało go coraz większe zdumienie. Bo przecież mówiła prawdę. Tak było. Tak rzeczywiście było. Odradzała mu wyjazd ze wsi. Nie chciała, żeby był z nią. Więc o co mu właściwie chodzi? Czego od niej chce? O co ma pretensję? Dlaczego przez cały ten czas uważał, że to wszystko przez nią, że to jej wina? Zakochał się i pognął za nią jak głupi, na nic nie zważając. To prawda, że oganiała się od niego, jak tylko mogła, że ciągle kładła mu do głowy, żeby wracał na wieś, do domu, do rodziców. Ma kobita rację, ma świętą rację.

Teraz już nie pamiętał o tym, jak go wtedy, tam na wsi, kokietowała, jak go uwodziła, jakie mu prawiała miłe słówka. A nawet jeżeli mu coś z tych wspomnień pozostało, to co z tego? Ot, baba, jak to baba. Niech no tylko krzepkiego chłopaka zobaczy, to zaraz zaczyna do niego oczami przewracać, choćby tylko tak sobie, dla zabawy. A chłopak powinien swój rozum mieć i nie dać się wziąć na te babskie podchody. Że jej się może trochę i spodobał, że się do niego raz i drugi uśmiechnęła, że takie oczy rozmazane zrobiła, no to co? O to ma mieć do niej żal? Co to on, dziecko małe, czy jak? Swojego rozumu nie miał, żeby pomiarkować, że to tylko takie żarty że przecie się w nim ta elegancka miastowa pani nie zakochała, że jej nudno było na wsi i dlatego... A kto mu kazał jechać za nią aż do Warszawy? Nikt. To czego, do cholery jasnej, chce? Czego się czepia? Idiota, kretyn, półgłówek.

- O czym tak, Wojtusi, rozmyślasz? — spytała słodziutkim głosem Beata.

Poruszył szczękami, jak koń, który żuje wędzidło.

- Masz rację. Samem sobie tego piwa nawarzył. Nie powinienem mieć do nikogo pretensji.

- Cieszę się, że tak myślisz. Bardzo bym chciała, żebyśmy nadal zostali dobrymi przyjaciółmi. Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

Potrząsnął głową.

- Dziękuję ci za dobre chęci, ale żadnej pomocy nie potrzebuję. Mam wszystko, czego mi trzeba.

- A czy możesz mi zdradzić tajemnicę, czym się zajmujesz?

- Jestem wykidajką w burdelu.

- Żartujesz?

- Nie wierzysz?

Wzruszyła ramionami.

- Jeżeli nie chcesz powiedzieć, co robisz, to nie nalegam. Nie mam zamiaru wtrącać się w twoje prywatne sprawy. W każdym razie, masz zawsze we mnie oddanego przyjaciela i gdyby ci coś było potrzeba...

- Dziękuję.

Spojrzała na zegarek.

- Wybacz, ale umówiłam się i muszę wyjechać na miasto.

- Podwiozę cię.

- Nie, nie, dziękuję ci bardzo, ale mój wóz już w porządku. Wtedy był w remoncie.

- Czy będę cię mógł jeszcze kiedy zobaczyć? — spytał.

- Ależ oczywiście. Zawsze będziesz miłym gościem.

- Ale ja tylko w poniedziałek.

- Niech będzie w poniedziałek. Zadzwoń.

— Nie wyjeżdżasz nigdzie za granicę?

- Niewykluczone, ale nie tak zaraz.

- Dawno wróciłaś z tych zagranicznych podróży?

- Niedawno. Jakies dziesięć dni temu.

Wstał i uklonił się.

- Do widzenia.

Odprowadziła go do przedpokoju.

- Zadzwoń do mnie — rzuciła na pożegnanie.

Wojtek wracał w nie najlepszym nastroju. Był niezadowolony z siebie. Wizyta u Beaty wypadła jakoś głupawo i to go drażniło. „Trzeba sobie zawczasu dobrze przygotować taką rozmowę — myślał chmurnie. — A tak, diabli wiedzą, co gadać. Siedzi człowiek z rozdziawioną gębą i gapi się jak wół na malowane wrota. Cholera jasna.” Stanowczo inaczej wyobrażał sobie spotkanie z Beatą.

Wszystko to było jakieś sztuczne, sztywne. Skończyło się na tym, że go właściwie obsztorcowała i powiedziała „do widzenia”. A on co? A on nic. Prawie w ogóle gęby nie otworzył. Przyznał jej rację, przeprosił, podziękował i poszedł.

Wściekły wrócił do pałacu.

- Wcześniej coś dzisiaj — przywitał go Zenon. — Nie udała się randka?

Wojtek miał ogromną ochotę porozmawiać z nim o Beacie, ale pohamował się. Życie nauczyło go już, że lepiej powiedzieć za mało aniżeli za dużo. Podczas pierwszej rozmowy Zenon oświadczył mu, że nic nie wie o Beacie. Może więc ona nie życzy sobie odnawiać tej znajomości. Nic wprawdzie na ten temat nie mówiła, ale na wszelki wypadek lepiej się z tym nie wyrywać. Nie wdawał się z Zenonem w żadne pogawędki, zjadł kolację i poszedł spać.

Pomimo zmęczenia dość długo nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok, sapiąc i wzdychając. Nie potrafił sobie poradzić z własnymi myślami i uczuciami. Dawniej to było proste, jasne, nie budzące wątpliwości. Ona była winna. Z jej przyczyny spadły na niego wszystkie te nieszczęścia. Wiedział, do kogo mieć żal, pretensję, kogo obarczać odpowiedzialnością. Teraz to się zasadniczo zmieniło. Słowa Beaty wywarły na nim duże wrażenie, zburzyły całą koncepcję jego niedoli. Miała rację. Mówiła prawdę. Nic nie powiedział, bo nie miał nic do powiedzenia. Nie mógł zaprzeczyć. Tak rzeczywiście było. Sam sobie tego piwa nawarzył. Sam chciał. Nie ma co obwiniać kogoś o to, co się stało. Mógł nie jechać do Warszawy. Mógł nie brać udziału w „skoku” zorganizowanym sprytnie przez

Zenona. Pewnie by się wówczas udało, ale gdzie tam głupiemu wiejskiemu chłopakowi do takich rzeczy. A zresztą, jak się kapnęli, że nieklawo, to wrobili go. Tak wszystko zagmatwali, że milicja była przekonana, iż nie miał współników, że sam poszedł na robotę. A on nic nie powiedział, nie sypnął nikogo. Zachował się jak dobry kumpel. I Zenon to na pewno ocenił i dał mu tę posadę, na której będzie można odłożyć kupę forsy.

Beata. Ciągle stała mu przed oczami. Ciągle widział ten jej uśmiech na poły drwiący, na poły pobłażliwy, protekcyjny. Czy ona przestanie go kiedyś traktować jak głupiego chłopaka ze wsi? Czy wreszcie będzie z nim mówiła jak równy z równym? „Ładna, bestia, ładna — mrucał, ciskając się na łóżku. — Nic się nie zmieniła. Chyba jeszcze wypiękniała. Co za czort w niej siedzi, że coraz ładniejsza?”

Usnął. Męczyły go koszmarne sny. Spał krótko. Obudził się wczesnym rankiem zły i zmęczony. Tego dnia trening bokserski wcale mu nie szedł.

Rozdział V

Od pewnego czasu Mierzycki zaczął tracić na fantazji. Miał zbyt duże doświadczenie, by nie zdawać sobie sprawy, że impreza, w którą się zaangażował, może przynieść przykre niespodzianki. Wprawdzie interes szedł znakomicie i dochody były ogromne, ale właśnie ta fantastyczna prosperity napawała go niepokojem. Niepokój ten znacznie się powiększył, kiedy Mierzycki zorientował się, że „pałac” służy nie tylko do gier hazardowych, pijatyk i uciech miłosnych. Przeprowadzano w nim również jakieś tajemnicze transakcje, do których „pan dyrektor” nie był dopuszczony, a które spędzały mu spokojny sen z powiek.

Przez całe swoje bujne, pełne ryzykownych przedsięwzięć życie Mierzycki umiał tak zręcznie lawirować, że nigdy nie siedział. Odsiadywali swoje wyroki jego najbliżsi współpracownicy, jego zaufani kumple. On nigdy. Zawsze był kryty, zawsze miał znakomite alibi, zawsze tak potrafił pokierować sprawami, że z gabinetu prokuratora wychodził oczyszczony z wszelkich podejrzeń. Nierzadko się zdarzało, że nawet go przepaszano. Oficerowie prowadzący śledztwo zapewne nieraz byli przekonani o jego winie, żaden z nich jednak nigdy nie zdołał zdobyć wystarczających dowodów.

Tym razem sprytnego kombinatora dręczyły złe przeczucia. Poważnie się obawiał, że trafiła przysłowiowa kosa na kamień i że w razie ewentualnej wpadki jego posadzą, a nie szefa. Ta myśl nie dawała mu spokoju. Coraz częściej oczami wyobraźni widział siebie i Wiktora w ponurej celi więziennej. To były bardzo przykre wizje.

Szef coraz rzadziej pojawiał się w pałacu. Dyspozycje przeważnie wydawał telefonicznie, a osobiście przyjeżdżał tylko po to, żeby sprawdzić kasę, załatwić sprawy finansowe, omówić najważniejsze sprawy organizacyjne. Znikał bardzo szybko, zabierając ze sobą teczki pełne złotych, dolarów i innej obcej waluty.

Mierzycki w wolnych chwilach snuł swoje niewesołe

rozmyślania: „Cały ten burdel długo nie pociągnie. Za dużo szumu, za dużo wozów CD, za dużo podejrzanych kombinacji. Trudno sobie wyobrazić, żeby wcześniej czy później nie weszła do »pałacu« milicja. A wtedy...? Wtedy mister King Meysnel ulotni się jak kamfora, a pan dyrektor Zenon Mierzycki pójdzie do pudła na długie lata.” Jediną pociechą mogło być to, że towarzyszyć mu będzie „kochany Wiktor”. Słaba to była pociecha.

Podczas jednej z wizyt szefa, kiedy siedzieli we trzech w zacisznym gabinecie i popijali kawę, Zenon zaproponował, żeby zlikwidować ruletę.

- Zlikwidować ruletę? — zdumiał się szef. — Ależ to olbrzymi dochód.

- Ale interes niebezpieczny. Gdyby władze...

Szef przerwał mu machnięciem ręki.

- Niech się pan nie przejmuje władzami. Moja w tym głowa, żeby nikt się tu nam do niczego nie wtrącał. Zresztą, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Obiekt oficjalnie wydzierżawiłem, odremontowałem, podatki płacę. Nikt nie może mieć do mnie żadnych pretensji. Mam prawo zapraszać do siebie znajomych i przyjaciół.

- Trochę dużo tych „znajomych” i „przyjaciół” — zauważył Zenon.

Szef niechętnie spojrział na niego zza ciemnych okularów.

- O ile mi wiadomo, to nie istnieje w Polsce ustawa, regulująca ilość gości na prywatnym przyjęciu.

- Ale gra w ruletę jest zabroniona tak samo jak wszystkie gry hazardowe — upierał się Mierzycki.

- Boi się pan?

- Ja się nie boję, ale ostrożność nie zawadzi.

Szef zapalił fajkę i zamyślił się.

- Może pan ma i rację — powiedział po chwili swym bezbarwnym, matowym głosem, przypominającym stukanie o siebie dwóch drewniek. — Trzeba będzie o tym pomyśleć. Może zapadnia?

- Jak to, zapadnia?

- Specjalnie skonstruowana część podłogi. Na wypadek

alarmu krupier naciska nogą sprężynę i stół z ruletą zjeżdża do piwnicy, a na to miejsce zasuwają się zwykła posadzka. Bardzo pomysłowe i praktyczne urządzenie.

- Ja raczej proponowałbym „bilard” — odezwał się Wiktor, który do tej pory siedział w milczącej zadumie.

— To znaczy...? — zainteresował się szef.

- Także mechanizm, tylko prostszy. Po bokach stołu zwisają klapy pokryte zielonym sukniem i zaopatrzone, oczywiście, w odpowiednie otwory. W razie niebezpieczeństwa klapy się podnoszą, zakrywają stół i zamiast rulety mamy przepisowy stół bilardowy.

Szef z uznaniem pokiwał głową.

- To mi się podoba. Gdzie pan to widział?

- W Chicago. W pewnym nieoficjalnym domu gry.

- Zgoda. Zrobimy „bilard”. Czy jest pan już zadowolony, mister Mierzycki?

Zenon w milczeniu skinął głową.

- To dobre, to bardzo dobre. Nie chciałbym rezygnować z rulety. Daje duże zyski.

Rozmawiali po angielsku. Od czasu do czasu szef chętnie wtrącał jakieś włoskie zdanie. Krążyła nawet plotka, że jest Włochem z pochodzenia i że wcale nie nazywa się King Meysnel.

Pod koniec rozmowy Zenon zapytał:

- Dlaczego pan nigdy nie bierze udziału w wieczornej zabawie?

Szef uśmiechnął się, co zdarzało mu się niesłychanie rzadko.

- Takie rzeczy już dawno przestały mnie bawić, mister Mierzycki.

- Pańska obecność zrobiłaby miłe wrażenie na zaproszonych gościach.

- I beze mnie bawią się doskonale.

Wsunął wygasłą fajkę do kieszeni, pożegnał swoich współpracowników skinieniem głowy i poszedł do samochodu. Odprowadzili go Wojtek i Ksawery.

Zenon nalał sobie sporą porcję koniaku, wypił jednym

haustem i spojrzął na Wiktora.

- Co ty o tym wszystkim mydlisz?

- O czym?

- No, o tym całym bajzlu.

Monsieur Wiktor wydał wargi, przesunął wypielegnowaną dłonią po szpakowatych włosach i powiedział:

- Wyrażasz się trywialnie, mój drogi. Wiesz, że tego nie lubię.

- Trywialnie, nie trywialnie — zniecierpliwiał się Zenon, którego często drażniły arcywytworne maniery Wiktora — chodzi o to, żeby się nie dostać do pudła, czyli na państwowy wikt.

Wiktor leciutko poruszył ramionami.

- Zupełnie nie rozumiem twoich obaw, mój drogi.

Zenon nalał sobie jeszcze koniaku.

- Albo udajesz głupiego, albo jesteś rzeczywiście skończonym frajerem. Co tu jest do rozumienia? Czy rzeczywiście uważasz te pałacowe zabawy za takie niewinne igraszki? Burdel jest? Jest. Ruleta jest? Jest. Poker jest? Jest, i to bardzo wysoka gra. Ale ostatecznie niechby to wszystko było. Bardziej mnie niepokoją te tajemnicze transakcyjki, te tak zwane międzynarodowe wymiany handlowe...

Wiktor przysunął się trochę bliżej ze swoim fotelem.

- Słuchaj, Zenon — powiedział cicho. — Dam ci dobrą radę. Jeżeli nawet coś takiego zauważyłeś, to gęba w kubel i ani słowa. Chyba że ci życie niemiłe.

- O, nawet ty zapominasz o swoim wytwornym sposobie wysławiania się — uśmiechnął się Mierzycki. — To znaczy, że moje obawy nie są takie zupełnie bezpodstawne.

Wiktor wrócił wraz z fotelem na dawne miejsce.

- Nie mówmy już na ten temat. Dałem ci dobrą radę, a ty rób, jak uważasz.

Rozmowy te bynajmniej nie wpłynęły na Zenona uspokajająco. Przeciwnie, z każdym dniem nabierał coraz mocniejszego przekonania, że bierze udział w bardzo niebezpiecznej grze, która prędzej czy później musi skończyć

się katastrofą. Do tych kłopotów dołączył się jeszcze niepokój spowodowany niespodziewaną wizytą Gabriela i jego kumpli. Wprawdzie po nauczce otrzymanej od Wojtka całkowicie zniknęli z horyzontu, ale trudno było przewidzieć, jakie są ich zamiary i co przedsięwzją w najbliższej przyszłości. „Co to za idiotyczny teraz zwyczaj, żeby bandziorów wypuszczać z więzienia przed czasem — myślał, bardzo niezadowolony z niekorzystnej dla niego polityki penitencjarnej. — Chyba jeszcze z rok mieli siedzieć, a już są na wolności. Nigdy człowiek nie może mieć spokoju. Ciągłe niespodzianki.”

Z Wojtkiem także zaczęły się kłopoty. Stracił swą zwykłą pogodę ducha. Chodził zły, chmurny, zaniedbywał treningi, stał się trudny w pożyciu, agresywny, o byle co wszczynał awantury. Wreszcie Zenon postanowił z nim pomówić.

- Co się z tobą dzieje, Wojtuś?

- Nic. A bo co?

- Przecież widzę, że jesteś jakiś przegrany. Co się stało?

- Nic się nie stało.

- Dziewczyna?

- Daj mi spokój.

- Posłuchaj — Zenon przybrał energiczny, ostry ton. — Nic mi do tego, czy się zakochałeś nieszczęśliwie, czy się nie zakochałeś. To są twoje prywatne sprawy. Możesz sobie wzdychać i robić karawaniarskie miny skolko ugodno, ale tylko w wolne dni. Tutaj, na służbie, nie masz prawa obnosić się z tą ponurą gębą, rozrabiać, wszczynać kłótni i awantur. Nikt tu nie będzie tego tolerował. Jeżeli chcesz utrzymać się na tej posadzie, to weź się, chłopie, w garść i bądź taki jak dawniej, wesoły, uśmiechnięty grzeczny. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem — odburknął ponuro Wojtek i poszedł do swojego pokoju.

Rozmowa z Wojtkiem do reszty popsowała Zenonowi humor. Straszyl wprawdzie chłopaka, że go wyleje z posady, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nie tak łatwo znajdzie odpowiedniego człowieka na jego miejsce. Wojtek

był niezwykle sprawny fizycznie, w miarę głupi, a przede wszystkim najzupełniej lojalny i przyzwoity. Można było na nim polegać, i to było bezcenną zaletą. Z kimś nowym, z jakimś nie mającym żadnych skrupułów cwaniakiem mogło być bardzo dużo najrozmaitszych kłopotów, nie mówiąc już o tym, że w treningi Wojtka włożono niemało trudu, czasu i pieniędzy. Teraz był on pełnowartościową „obstawą”. Doskonale boksował, znał podstawowe chwytty judo i uderzenia karate, był zwinny, szybki, znakomicie umięśniony. Zwolnienie go z posady nie byłoby najkorzystniejszą decyzją.

Wszystkie te niepokoje, zgrzyoty i duszne udręki skłoniły Mierzyckiego do odwiedzenia niezawodnej przyjaciółki, pani Hortensji. Ktoregoś rana wsiadł w samochód i pojechał do Konstancina, a właściwie poza Konstancin.

Pani Hortensja Landbergowa była właścicielką pięknej willi, otoczonej dużym ogrodem, pełnym kwiatów i owocowych drzew. Postawna, dobrze zbudowana, przystojna, mimo iż minęła już pięćdziesiątkę, mogła się bardzo podobać i błyszczeć w najelegantszych salonach. Wycofała się jednak całkowicie z życia towarzyskiego, poświęcając się hodowli kwiatów. Najbardziej lubiła róże, dalie i peonie. W ogrodzie jej nie brak było jednak także wspaniałych tulipanów, w najrozmaitszych odcieniach i gatunkach, goździków, narcyzów, irysów, stokrotek, bratków, fiołków... Wiosną puszyste bzy napełniały powietrze mocnym zapachem, a tuż koło domu usadowił się ogromny krzak klematisu, zadziwiająco intensywnym fioletem swych kielichowatych kwiatów.

Pani Hortensja miała do pomocy ogrodnika Tomasza, który przychodził trzy razy w tygodniu opiekować się kwiatami i drzewami owocowymi. Wydawało się, że jest to kobieta zadowolona z życia, mimo swej samotności. Ogród przynosił jej spory dochód, ale nie dla pieniędzy zajmowała się nim. Otrzymała w obcej walucie rentę po mężu, który przez długie lata był urzędnikiem w jednej z dużych firm londyńskich. Te funty najzupełniej wystarczały na skromne

utrzymanie, a kwiaty to było tylko jej hobby. Kiedyś dużo podróżowała, zwiedziła kawał świata i nieomal na całej kuli ziemskiej miała przyjaciół i dobrych znajomych. Przed rokiem wróciła ze słonecznej Italii, gdzie parę miesięcy spędziła nad jeziorem Como. Po powrocie oświadczyła przyjaciołom, że dosyć ma tych wszystkich zagranicznych wojaży, że ją to już znudziło i że teraz pragnie się poświęcić jedynie różom i daliom.

Przez pewien czas zapraszano ją na przeróżne zebrania towarzyskie i przyjęcia, na które przeważnie nie przychodziła. Powoli przestały przychodzić zaproszenia. Dano jej spokój, pozostawiając wśród kwiatów.

Zenona poznała przed laty na jakimś bankiecie. Lubiała go. Nigdy nie było między nimi ani cienia flirtu, ale miała dziwną słabość do tego sprytnego i inteligentnego hochsztaplera. Z biegiem lat stała się dla niego kimś w rodzaju dobrej cioci. Nieraz wspomagała go dobrą radą albo nawet jakąś drobną pożyczką, którą, trzeba to przyznać, Zenon bardzo skrupulatnie zwracał w ustalonym terminie.

Zastał ją przy drugim śniadaniu. Stół był nakryty barwnym obrusem. Najrozmaitsze smakołyki nęciły wzrok. Pani Hortensja ogromnie dbała o kolorystyczne efekty, szczególnie jeśli chodziło o stół. Bardzo się ucieszyła z niespodziewanej wizyty.

- Niech pan siada, panie Zenonie, bardzo proszę. Zaraz dostanie pan doskonałej kawy ze śmietanką. Spécialité de la maison. Ogromnie to miło, że mnie pan odwiedził. Bardzo dawno nie widzieliśmy się. Co słyhać u pana? Jak się panu powodzi?

Mierzycki nie zdradzał ochoty, by zbyt szeroko rozwodzić się nad swoimi sprawami. Wypił filiżankę kawy, która rzeczywiście okazała się wyjątkowo dobra, zjadł dwa kruche rogaliki z dżemem i spytał, czy może zapalić papierosa.

- Na papieroska może przejdziemy do biblioteki — zaproponowała pani Hortensja.

Nazwa ta była chyba zbyt szumna, ponieważ w pokoju, w

którym się znaleźli, stało bardzo niewiele książek, znajdował się w nim natomiast okazałych rozmiarów bar, dobrze zaopatrzony we wszelakie trunki.

- Napije się pan kropelkę czegoś mocniejszego?

Zenon potrząsnął głową.

- Bardzo dziękuję, ale ostatnio trochę za wiele tych „kropelek”. Ciągle okazje.

Usiedli w fotelach, stojących koło owalnego stolika, i zapalili papierosy. Pani Hortensja obserwowała spod oka swojego pupilka.

- Coś mi pan nieszczególnie wygląda. Kłopoty?

Zenon westchnął.

- Któż nie ma kłopotów. Prawdę mówiąc, przyjechałem, żeby zasięgnąć pani światłej rady.

Roześmiała się.

- Stanowczo mnie pan przecenia, kochany panie Zenonie. Ale jeżeli tylko będę mogła w czymś panu pomóc, to oczywiście... Niech pan mówi. Jakież kłopoty z Kingiem?

Zenon opowiedział o swoich niepokojach, obawach, złych przeczuciach. Mówił długo, obszernie, dowodził, argumentował, roztaczał posępne obrazy najbliższej przyszłości. Słowem, wyrzucił z siebie to wszystko, co mu leżało od dawna na sercu. Kiedy skończył, pani Hortensja pieszczotliwie dotknęła jego dłoni.

- Dzieciaku. Jest pan przemęczony.

- Nie sądzi pani, że mam rację?

Potrząsnęła głową.

- Nie sądzę. A nawet jestem przekonana, że pan nie ma racji. Niech pan nie zapomina o tym, że to przecież ja skontaktowałam pana z Kingiem.

- Właśnie dlatego tak szczerze rozmawiam z panią na ten temat.

Uśmiechnęła się. Miała niezwykle miły, ujmujący uśmiech.

- Zbyt mało zna pan jeszcze Meysnela. Gdyby pan go znał tak, jak ja go znam, to w jednej chwili pozbyłby się pan wszystkich tych nedorzecznych obaw. To człowiek

niesłychanie ostrożny, przewidujący i doświadczony. Jeżeli prowadzi ten interes tak, jak go prowadzi, to znaczy, że może to robić zupełnie spokojnie. On ma ogromne, międzynarodowe kontakty, powiązania. A wreszcie, nie robi nic złego. Że trochę pograją sobie w karty członkowie korpusu dyplomatycznego, to komu to właściwie szkodzi? King płaci dzierżawę za „pałac” dolarami, podatki także w dolarach. A że cudzoziemcy przegrają trochę waluty... Doprawdy, nie ma się czym przejmować. Zresztą, rozmawiałam ostatnio z Kingiem...

- Widziała go pani? — podchwycił z ożywieniem Zenon.

- Tak. Parę dni temu był tu u mnie. Rozmawialiśmy przeszło dwie godziny. Mówił, że jest z pana bardzo zadowolony, że doskonale pan pracuje.

- I co jeszcze mówił? Co jeszcze...? — dopytywał się Zenon.

- Ma zamiar przekształcić Night Club na regularny pensjonat. Myśli o kortach tenisowych, o koniach sportowych. Takie różne rzeczy. A partyjka brydża czy pokera tylko tak, przy okazji, wieczorem po kolacji.

Zenon z uznaniem pokiwał głową.

- To mi się podoba. To mi się bardzo podoba. To także doskonały interes, a dużo pewniejszy. Bo właściwie... — umilkł i zamyślił się. Nie wiedział, czy wspominać o tych podejrzanych transakcjach. Wiktor niedwuznacznie przestrzegwał go, żeby siedział cicho, jeśli mu życie miłe. Miał wprawdzie całkowite zaufanie do pani Hortensji, ale... strzeżonego Pan Bóg strzeże. Mowa jest srebrem, a milczenie złotem.

Wspomagany tymi cennymi maksymami, stłumił w sobie chęć do dalszych zwierzeń. Należał do ludzi ogromnie dbających o własną skórę, a Wiktor nie robił na nim wrażenia człowieka, który by rzucał słowa na wiatr.

- Czy pana trochę uspokoiłam, panie Zenonie? — wyrwała go z zadumy pani Hortensja.

- Nawet bardzo. Dziękuję pani. Nowy duch we mnie wstąpił.

- To się cieszę. Przekona się pan, że jeszcze długo będzie pan pracował w tym interesie.

Porozmawiali jeszcze chwilę na obojętne tematy i Zenon zaczął się żegnać.

Pani Hortensja odprowadziła go do ogrodu.

- Mam kłopot — powiedziała do stojącego już w furtce Zenona. — Moja gosposia odchodzi. Jakby pan wiedział o kimś godnym zaufania, proszę mi dać znać.

Rozdział VI

Wojtek prawie co tydzień widywał się z Beatą. Właściwie nie wiedział, po co do niej jeździ. Te wizyty rozdrażniały go i wprawiały w fatalny humor. Za każdym razem przyrzekał sobie solennie, że już nigdy, że ma tego dosyć, że po cholere traci czas i zawraca sobie głowę. Ale kiedy przychodził poniedziałek... Nie mógł sobie dać rady, nie mógł się przemóc, nie mógł zwalczyć pokusy. Od rana chodził jak pijany i zawsze kończyło się na tym, że telefonował i jechał.

Beata nie zachęcała go do tych odwiedzin, ale i nie zniechęcała. Była zdecydowana poświęcić mu raz w tygodniu godzinę czasu. Rozmawiali na tematy oderwane, trochę o pogodzie, trochę o motoryzacji, to znowu o konflikcie bliskowschodnim. Czasem pytała go o jego pracę, ale ponieważ dawał wymijające odpowiedzi, nie nalegała. Wszelkie próby przesunięcia ich znajomości na teren najdelikatniejszego nawet flirtu likwidowała natychmiast w sposób bardzo zdecydowany.

Wojtek wściekał się. Te pogawędki o niczym wcale mu nie odpowiadały. Absolutnie nic go nie obchodziły ani komunikaty meteorologiczne, ani starcia wojsk Izraela z Arabami. Pragnął wziąć Beatę w ramiona, pieścić ją, całować, być jej kochankiem. Ciągle jednak nie wiedział, jak się do tego zabrać. Onieśmielała go tak samo jak wtedy, kiedy ją zobaczył po raz pierwszy tam, na wsi, i kiedy zakochał się w niej bez pamięci. „Przecież nie może być tak wiecznie — myślał zły i rozgoryczony. — Nie mogę do końca życia siedzieć u niej i pić herbaty jak u cioci na imieninach. To się musi zmienić”. Ale jak doprowadzić do tej zmiany, tego nie wiedział. Chwilami przychodziło mu do głowy, że mógłby to osiągnąć siłą, że może powinien być gwałtowny, brutalny. „Wezmę ją siłą — myślał — a potem niech się dzieje, co chce”. I z mocnym postanowieniem użycia przemocy jechał do niej. Ale kiedy spotkał się z jej chłodnym, pewnym siebie spojrzeniem, kiedy posłyszał jej

spokojny, rzeczowy ton, tracił całą odwagę. Potem wymyślał sam sobie od ostatnich: „Jestem szmata, jestem gnój, jestem skończony kretyn. W ten sposób do niczego nie dojdę, nic nie zyskam. Nie potrafię sobie poradzić z kobitą. Nie potrafię. Chłop jestem przecież krzepki, zdrow, a nie daję rady. Niech tylko na mnie spojrzysz tymi swoimi szarymi ślepiami, już po mnie, już całą moją odwagę diabli biorą.”

A jednak przyjeżdżał. Chciał z tym zerwać, a nie mógł. Coś go tak do niej ciągnęło, że nie było sposobu. Nie mógł, i już. Przyjeżdżał. Chyba że mu wyraźnie powiedziała, że jest zajęta i że nie może się z nim zobaczyć. Wtedy cały poniedziałek chodził jak struty i nie daj Bóg, żeby mu się kto naraził.

Podczas jednej z wizyt zebrał się na odwagę i powiedział:

- Po co ja właściwie do ciebie przyjeżdżam?

Zrobiła zdziwioną minę.

- Po co przyjeżdżasz? Nie wiem. Pewnie sprawia ci to przyjemność.

Poczerwieniał.

- Przecież ja cię kocham... — bąknął, spuszczać oczy — ja... ja...

Popatrzyła na niego poważnie.

- Posłuchaj mnie, Wojtek, musisz zrozumieć, że między nami nic innego oprócz przyjaźni być nie może i nigdy nie będzie. Jeżeli ci to nie odpowiada, nie przyjeżdżaj. Bardzo cię lubię, chętnie z tobą sobie od czasu do czasu pogawędzę, ale to wszystko.

Jakby mu kto w pysk dał. Zerwał się i uciekł bez pożegnania.

Zbiegł po schodach, jakby go kto gonił, i wypadł na ulicę zasapany, rozdygotany, wściekły. Nie zaraz poszedł do wozu. Chodził tam i z powrotem długimi krokami, pragnąc się trochę uspokoić. „A więc wszystko skończone — myślał. — Nie chce mnie”. Pewnie ma innego, lepszego, jakiegoś elegancika, inteligenta. Co jej tam prosty chłop ze wsi. Z łaski pozwalała mu do siebie przyjeżdżać, a on, głupi,

wyobrażał sobie Bóg wie co.

Z wolna zaczynał się uspokajać. Co dalej? Co będzie teraz robił? Ano, nic. Wróci do pałacu i jak dawniej będzie wykidajął, jak dawniej od czasu do czasu da komuś po mordzie i koniec. Czy taka jest jego przyszłość? Czy przez całe życie nie będzie robił już nic innego, tylko lał w mordę? Począł narastać w nim bunt. Póki miał nadzieję, że Beata go zechce, póty istniał dla niego jakiś cel w życiu. A teraz? Obmierzło mu takie życie. Z obrzydzeniem myślał o pałacu, o Zenonie, o Wiktorze i o tych nadzianych dolarami facetach, którzy przyjeżdżali luksusowymi limuzynami grać w ruletę albo gzić się z dziwkami. A on? Co on robi w tym całym bajzlu? Wykidajął. Fachowiec od mordobicia. Stróż przy bramie. On, Wojciech Kalina, gospodarski syn, wysługuje się tym skurwysynom, tym kombinatorom, hochsztaplerom, błaznom z pełnymi portfelami. Tfuuu! Splunął z rozmachem, aż jakaś przechodząca kobieta uskoczyła w bok i krzyknęła: — Cham!

To go trochę otrzeźwiło. Przystanął i przeciągnął dłonią po czole. „Chyba zwariowałem mruknął. — Całkiem mi się we łbie poprzewracało. No to co, że jakaś tam dziwka mnie nie chce? Znajdę sobie inną. Tego towaru nie brakuje.” Czuł, że usiłuje oszukać samego siebie, ale chciał się oszukać, chciał nabrać przekonania, że to nic takiego, że właściwie nic się nie stało. Spojrzał na zegarek. Późno. Trzeba wracać do pałacu. W tej chwili cholernie mierzył go ten pałac i ta robota. Uciec! Uciec! Rzucić to wszystko! Zarobi jeszcze trochę forsy, odłoży kupę dolarów⁷, które dostaje jako napiwki, i pryśnie za granicę. Zapisze się na wycieczkę z „Orbisem” i zostanie, we Francji albo we Włoszech. A potem do Ameryki. I on nie gorszy. Silny jest, młody, roboty się żadnej nie boi. Da sobie radę. Polecą do Ameryki. Od dawna marzył o tym, żeby podróżować samolotami. I nagle ogarnęła go taka chęć, żeby zobaczyć samoloty, że postanowił pojechać na lotnisko. Chociaż popatrzeć, przyjrzeć się ludziom, którzy przylatują, odlatują, odetchnąć przez chwilę atmosferą szerokiego

świata.

Nie namyślając się długo, wsiadł do wozu i pojechał na Okęcie.

Gwar, szum, kontrola bagaży, kontrola paszportów, krzyki, nawoływania. Ludzie spieszą się, przepychają, dźwigają walizy. Urzędowy głos, płynący z megafonu, ciągle o czymś zawiadamia, przestrzega, przynagla. A gdzieś tam, z oddali, dolatuje basowy, wibrujący warkot motorów... Przez chwilę uległ złudzeniu, że on także odlatuje, że za chwilę posłyszysz głos zapraszający go do samolotu. Polecieć... Polecieć... w daleki, szeroki świat. Zerwać z przeszłością, zerwać z terażniejszością, zacząć nowe, ciekawe, fascynujące życie. Jeszcze nigdy nie latał samolotem. To musi być wspaniałe.

Czas mijał. Zrobiło się późno. Zenon będzie wściekły. A niech go wszyscy diabli! Pojawiła się jednak trzeźwa refleksja. Doskonale mu płacą i jeszcze ma „boki” w walucie. To świetna posada. Nie trzeba jej lekceważyć, nie trzeba z niej rezygnować. Jeszcze nie. Jeszcze trochę się pomęczy. Odłoży jeszcze trochę forsy, a potem...

Nie bez uczucia pewnego żalu wyszedł z dworca lotniczego i niechętnie powłókł się do wozu.

Jechał aleją Żwirki i Wigury, a potem skręcił w Wawelską. Po lewej stronie park.

Nagle zahamował gwałtownie. Spoza drzew, pokrytych świeżą zielenią, dolatywało rozpaczliwe wołanie o pomoc. Bez chwili namysłu wyskoczył z wozu i pędem pobiegł w tamtym kierunku.

Młoda dziewczyna szamotała się z trzema podpitymi drabami, którzy bynajmniej nie zrażeni jej oporem, postanowili się wesoło zabawić. Zdarli już z niej bluzkę i spódnicę.

- Puście ją! — krzyknął Wojtek.

Nie zwrócili na niego żadnej uwagi.

- Puście ją, do cholery! — powtórzył podbiegając bliżej.

Wtedy najwyższy z nich spojrział na natręta przekrwionymi oczami i warknął schrypniętym głosem:

- A bo co? Nie podoba ci się? A może chciałbyś się z nami

zabawić? — I nagle ogarnęła go dzika wściekłość. —

Zjeżdżaj stąd, pętaku! — wrzasnęła. — Bo bebechy z ciebie wypruję! — Błysnął nóż.

Wtedy Wojtek ruszył do ataku. Mimo że wszyscy trzej byli uzbrojeni w noże, walka nie trwała długo. W parę sekund chuligani z połamanymi rękami i porozbijanymi szczękami leżeli bez przytomności na trawie. Intensywne treningi z japońskim mistrzem judo nie poszły na marne. Wojtek był nawet trochę zdziwiony, że to takie łatwe.

Poprawił krawat, przyczesał włosy i dopiero wtedy spojrział na dziewczynę. Ubierała się pospiesznie. Była zdyszana i przerażona.

- Dziękuję panu — powiedziała cicho.

Uśmiechnął się nie bez pewnej pyszałkowatości.

- Głupstwo, nie ma za co.

- Ale że pan aż trzem dał radę. Anim się obejrzała. Ino migło.

- Toś ty ze wsi? — spytał Wojtek.

- A ze wsi.

- A cóż ty robisz o tej porze w tych krzakach:

Obciągnęła na sobie spódnicę i poprawiła włosy.

- Spocząć se chciałam trochę. Caluśki dzień biegałam po Warszawie.

- A za czym tak biegałaś?

- Za robotą. Obiecali mi jedni państwo, ale gdziesik wyjechali, i tyle. Nie wiem, co teraz począć. Ani mi na wieś wracać, ani we Warszawie zostawać. Chyba żebym do jakiejś roboty poszła. Szukałam, ale nie znalazłam.

Wojtek zauważył, że dziewczyna drży. Okrył ją swoją marynarką i posadził na ławce.

- Zimno ci?

- Trochę i zimno, ale zęby to mi jeszcze z tego strachu szczękają. Matko jedyna! Co by to ze mną było, gdyby się pan nie wtrącił. Anim się spodziała, jak te oprychy na mnie skoczyły. Nijak nie dałabym se rady.

- Niebezpiecznie jest późnym wieczorem po parkach łązić.

- Ani mi do głowy nie przyszło, że w Warszawie takie

rzeczy... To gorzej jak u nas na wsi.

- Skąd jesteś?

- Spod Jędrzejowa.

Wojtek pomyślał, że on także jest spod Jędrzejowa, ale nie zdradził się z tym. W^T oczach tej dziewczyny wolał uchodzić za miastowego pana.

- Jak ci na imię?

- Marcysia.

- Ile masz lat?

- Już na dwudziesty rok mi idzie.

- Gdzie mieszkasz?

- Nigdzie.

- Jakże to nigdzie? — zdziwił się Wojtek. — Musisz przecie gdzieś spać.

- Na dworcu spałam. I dzisiaj pójdę na noc na dworzec. Prześpię się na ławce. Chyba że mnie znowu wygonią. To pójdę na drugi. Jakoś ta noc minie, a jutro, jak Bóg da, może robotę znajdę. Nie może być, żebym w takim ogromnym mieście roboty nie znalazła.

Wojtek zafrasował się. Nic wiedział, co ma zrobić z tą dziewczyną. Jakoś nijak mu było zostawić ją tak na ławce bez opieki. Obronił ją i teraz czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za jej losy. Bo i jakże tak, wsiądzie do wozu i odjedzie, a ona pójdzie na dworzec? A czy to wiadomo, czy ją znowu jacy chuligani nie napadną po drodze. Był zły, zniecierpliwiony, bo zrobiło się już bardzo późno i trzeba było wracać do pałacu.

- Czegożeś, głupia, że wsi wyjeżdżała? — spytał.

- Nie mogłam już dłużej ścierpieć.

- Bo co?

Zaczęła mówić szybko, nerwowo, jakby się bała, że jej przerwie, że nie będzie chciał słuchać. Z tego dosyć chaotycznego opowiadania dowiedział się, że ojciec jej umarł, matka wyszła po raz drugi za męża i niedługo także umarła. Że została z ojczymem, któremu matka przed śmiercią wszystkie morgi przepisała, bo tak ją omotał. Rodzina ojczyma do domu się wprowadziła i tak jej każdą chwilę

zatruli, tak ją prześladowali, że nijakiego życia dla niej nie było, że albo się do rzeki rzucić, albo uciec. No, to uciekła. A że jedni państwo, co na letniakach u nich mieszkali, mówili, że jej dadzą pracę, jak będzie tylko chciała, to przyjechała do nich do Warszawy, a tu jej dozorczyńni powiedziała, że ci państwo wyjechali za granicę i że pewnie prędko nie wrócą. A teraz to ona nie wie, co ma robić, gdzie się obrócić, kogo prosić o pomoc...?

Wojtek powziął decyzję. Wstał i pociągnął Marcysię za rękę.

- Chodź.

- Dokąd, proszę pana?

- Nie pytaj się, tylko chodź.

Dopiero kiedy wyszli z mrocznego parku na ulicę, mógł ją trochę lepiej obejrzeć. Wysoka, bardzo zgrabna, mocno, ale foremnie zbudowana. Tryskała zdrowiem i ochotą do życia. „Dziewucha jak trza — pomyślał z zadowoleniem Wojtek. — Nie jakiś tam zakopcony papierosami miastowy zdechlak. Taka to i w mordę potrafi strzelić. Żeby tam był jeden, a nie trzech, toby sobie z nim poradziła, że ho, ho...” — Zajrzał jej w oczy, ot, tak niby sobie, niechęć. Były duże i niebieskie. Takie prawdziwie wiejskie oczy. Aż go coś w dołku ścisnęło.

Zaprowadził ją do wozu.

- To pana taksówka?. — spytała oszołomiona błyszczącym „Fiatem”.

Otworzył drzwiczki.

- Siadaj.

- Dokąd mnie pan wiezie?

- Do pałacu.

- To pan w pałacu mieszka?

- A coś ty myślała.

- To chyba pan jaki hrabia albo minister.

- Ani hrabia, ani minister.

- To kto...?

Wojtek nie wiedział, to ma odpowiedzieć. Nie mógł się przecież przedstawić jako wykidajło.

- Jestem reżyserem filmowym — powiedział.

- O Jezusie!

Tyle było w tym okrzyku zachwytu połączonego z podziwem, że aż się roześmiał.

- Czego się pan śmieje?

- Bo mi wesoło.

Spochmurniała. Raz i drugi spojrziała na niego spode łba.

Nie zauważył tego, zajęty był prowadzeniem wozu.

O tej porze ruch na ulicach był dużo mniejszy i mógł śmieiej naciskać gaz.

- Proszę pana...

- Słucham?

- A w tym pałacu to niby co...?

- Jak to co? Nie rozumiem.

- Co ja tam będę robiła?

- Nic. Porządnie się wyśpisz.

Stawała się coraz bardziej podejrzliwa.

- Proszę pana...

- Czego chcesz?

- Bo to, widzi pan, pałac, nie pałac, a ja sobie na nic takiego nie pozwolę.

- O czym ty mówisz?

- O tym, co pan wie. Śmieli się ze mnie we wsi, że mi już lata idą, a ja jeszcze żadnego chłopaka do siebie nie dopuściła. Niechta się śmieją. A ja bez ślubu nie dopuszczę, i tyla. Żeby pan wiedział. Hrabia, nie hrabia. Reżyser, nie reżyser. Nijakiej rady na to nie ma.

Zaśmiał się.

- Coś ty, głupia, sobie do głowy nabiła? Że ja na twoją cnotę będę nastawał, czy jak?

- Mama mi zawsze powtarzała, że z chłopem to nigdy nic nie wiadomo.

- Ale ze mną wiadomo — obruszył się. — U mnie możesz być taka spokojna, jak u rodzonej matki. Już nie pamiętasz, jakem cię od tych bandziorów ratował?

- Przecie, że pamiętam. Do końca życia panu tego nie zapomnę.

- No, to nie gadaj byle czego i siedź cicho, bo mi prze-

szkadasz wóz prowadzić.

- Już będę cicho.

Wpadli na wał Miedzeszyński i Wojtek jeszcze zwiększył szybkość. Był sporo spóźniony. Bał się awantury z Zenonem.

- Ale jedziemy — powiedziała z niepokojem w głosie Marcysia. — Żebyśmy sobie tu gdzie łbów nie porozbijali.

- Nie bój się i siedź cicho.

Wreszcie zajechali przed pałac. Wojtek otworzył bramę i z zachowaniem wszelkich ostrożności wprowadził wóz. Był to dzień wolny od gości. Wszędzie pusto i cicho. Tylko w pokoju Zenona paliło się światło.

- Zaczekaj — powiedział Wojtek, wysiadając z wozu. — Zaraz wrócę.

Zenon był w fatalnym humorze.

- O której ty wracasz, do jasnej cholery, co?

Wojtek od razu zrozumiał, że tylko zdecydowaną postawą może coś wskórać. Energicznym krokiem podszedł do Zenona.

- Zamknij mordę — podsunął mu pod nos swą potężną pięść. — Przywiozłem dziewczynę i muszę ją przenocować.

- Wiesz, że to zabronione — Zenon wyraźnie spuścił z tonu.

- Muszę ją przenocować. Rozumiesz?

- Jak koniecznie musisz, no to bierz ją do swojego pokoju — zwycięstwo przyszło nadspodziewanie łatwo.

- Nie mogę jej wziąć do swojego pokoju.

- No to czego chcesz, do jasnej cholery?

- Chcę, żebyś mi dał dla niej jeden z pokoiów gościnnych.

- Oszalałeś?

- Jak nie dasz, to ci łeb rozwalę. Rozumiesz?

Argument był przekonujący. Zenon uległ żądaniu, widząc, że jego pupil jest rzeczywiście gotowy do bójki.

Wojtek rozpromienił się. W jednej chwili zmienił taktykę. Zrezygnował ze swej agresywnej postawy. Stał się przyjacielski, serdeczny. Chwycił Zenona za ręce.

- Proszę cię, bardzo cię proszę, jak przyjaciela. Zrób to dla mnie. Zenuś...

- Daję ci pokój. Czego jeszcze chcesz?

- Chciałbym... chciałbym... — Wojtek zająknął się. — Chciałbym dostać porządną kolację na dwie osoby, tak elegancko, z szykiem. Rozumiesz?

Zenon miał ochotę wybuchnąć, ale opanował się. Wyczuł, że jest to stosowna okazja do ostatecznego podporządkowania sobie Wojtka. Tamten dostrzegł jego wahanie.

- Słuchaj, Zenek. Potem wszystko ci dokładnie opowiem, ale teraz... Błagam cię. Zrób to dla mnie. Ja chcę... choć raz... choć raz odstawić wielkiego pana. Pałac, służba, kolacja. Rozumiesz? Rozumiesz?! Zenek. Jak pragnę Boga!

— Służba już śpi — rzucił chłodno Zenon.

- To się obudzą. Powiedz im, że dam pięćset złotych, że dam tysiąc, że dam półtora tysiąca. Zależy mi. Rozumiesz? Zależy mi jak jasna cholera.

Zenon skinął głową.

— Dobra. Sprowadź tę dziewczynę. Zaraz dam ci klacz i załatwię kolację. Zjecie w złotym saloniku.

- Dziękuję, Zenek. Jesteś fantastyczny facet.

Marcysia czekała cierpliwie. Wojtek wyciągnął ją z wozu i zaprowadził na pierwsze piętro do eleganckiego apartamentu z łazienką. Wszystko tu było urządzone ku wygodzie dolarowych gości.

- O Jezuniu... — westchnęła dziewczyna. — To ja tu będę spała?

- A tutaj — odparł chełpliwie Wojtek.

- W takiej czyściuchnej pościeli?

- A cóżeś ty myślała? Chyba że nie w brudnej. Umyj się trochę, ochajtnij. Zaraz zjemy kolację.

- A ja nie mam...

- Czego nie masz?

— Niczego. Ani koszuli, ani mydła, ani ręcznika, ani szczotki do zębów. Wszystko we walizce, a walizka na dworcu w przechowalni.

- Nic się nie martw — pocieszył ją Wojtek. — Znajdzie się, co trzeba. Mydło i ręcznik jest w łazience. Umyj się tymczasem, a ja się rozejrzę. Z pewnością znajdzie się tu szlafrok albo i pidżama jakiejś kur... — w ostatnim momencie ugryzł się w język. — Znajdzie się jakaś gościnna pidżama — poprawił się błyskawicznie. Na szczęście Marcysia tak była zaabsorbowana oglądaniem pokoju, że nie zwróciła uwagi na nieco ryzykowny lapsus językowy.

Rzeczywiście, znalazły się wszystkie przybory toaletowe, a oprócz tego świeżo wyprasowana pidżama i ranne pantofle.

Marcysia migiem umyła się i „ochajtnęła”, jak to doradzał Wojtek, przeczesała włosy i w kilka minut była gotowa.

Zaprowadził ją do „złotego” saloniku, gdzie stał już nakryty stół i czekał lokaj w białych rękawiczkach. Po chwili podano kolację.

Jadła niewiele, z trudem przełykając rybę w galarecie i pieczonego kurczaka. Zbyt była przejęta i onieśmielona. Nalał jej wina. Początkowo wzbraniała się, chichocząc i mówiąc, że „niezwyczajna”, ale wreszcie dała się namówić i wypila dwa kieliszki. Wojtek w roli królewicza z bajki czuł się znakomicie.

„To nic, że jutro wszystko się wyda — myślał. — Niechże choć ten jeden wieczór...”

Przy deserze Marcysia pochyliła się ku niemu i powiedziała cicho:

- Ale pan to musi być ogromnie bogaty. O, Jezu.

- Drobiazg — rzuci! z nonszalancką miną.

Po chwili spostrzegł, że dziewczyna jest straszliwie zmęczona i że walczy z opanowującą ją sennością.

- Czas spać. Pogadamy sobie z rana.

Wstali od stołu i odprowadził ją na górę do jej pokoju. Powiedział: — Dobranoc — i poszedł do siebie. Był bardzo zadowolony.

Nazajutrz wstał wczesnie. Odbył swój obowiązkowy trening bokserski, a następnie zaniósł Marcysi śniadanie. Została już umyta, ubrana i uczesana. Wyglądała ładnie i świeżo. Po wczorajszym zmęczeniu nie pozostało ani śladu.

- Jak ci się spało? — spytał wesoło.

- A jak mi się miało spać? W takim łóżku. Jak w niebie.

- Masz tu śniadanie. Jedz.

- A pan?

- Ja już jadłem. Chciałem cię prosić, żebyś mi przestała „panować”. Ja nie żaden pan. Mów do mnie Wojtek, i tyle.

- Jakże to? Nie starczy mi śmiałości.

Roześmiał się.

- Starczy, starczy. Posłuchaj, Marcysiu. Muszę ci się przyznać, że cię wczoraj obełgał. Nie żaden ja filmowy reżyser ani bogacz, tylko chłopak ze wsi tak jak i ty. Ze wsi. Rozumiesz? Spod Jędrzejowa.

Klasnęła w⁷ dłonie.

- O Jezuniu! Także spod Jędrzejowa, tak jak i ja.

- A tak. I nie żaden bogacz. To nie mój pałac. Ja tu pracuję. Za ogrodnika jestem.

- To i lepiej — powiedziała poważnie.

- Co lepiej?

- A że nie jesteś taki bogaty, że to nie twój ten pałac.

- Dlaczego?

- Bo z takim bogatym panem to nijak nie potrafię gadać. Na tę kolację to ledwie co mogła przełknąć. Całkiem mi nie szło. A do zwyczajnego chłopaka ze wsi to większą mam śmiałość. Czegożeś mnie wczoraj obełgał?

- Tak mi coś do łba strzeliło. Chciałem przed tobą takiego fasonu zadać. Jedz, bo ci kawa wystygnie.

Po tej rozmowie Wojtek odetchnął z prawdziwą ulgą. Rano, jak się obudził, poczuł się jakoś niewyraźnie, że się tak wygłupił z tym reżyserem filmowym. „Na cholerę mi to było? — myślał. — Przecież i tak nie mogłem dłużej udawać.” Poszedł do Zenona.

- No i jak tam twoja „księżniczka”? — spytał Zenon.

- Daj spokój. Muszę z tobą pogadać.

- No, to gadaj. Co masz na wątrobie?

- Nie wiem, co robić z Marcysią.

Zenon parsknął śmiechem.

- Nie wiesz, co się robi z dziewczyną?

- Nie wygłupiaj się. Siądź spokojnie i posłuchaj. — 1
Wojtek powiedział to, co posłyszał od Marcysi.

- A cóż mnie to obchodzi? — powiedział Zenon wzruszając ramionami. — Mam swoje własne kłopoty.

- Muszę jej jakoś pomóc. Muszę ją urządzić w Warszawie.

- Czekaaj, czekaaj — strzelił Zenon palcami. — Wyrzuciliśmy Władkę, bo kradła. Może ta twoja protegowana nada się w kuchni.

Wojtek nie posiadał się z radości.

- Oczywiście, że się nada. Dziękuję ci, Zenek. Zaraz z nią pogadam.

Marcysia zaczęła pracować w kuchni. Zmywała, szorowała, wycierała, obierała kartofle, starała się, jak mogła. Była robotna, chętna, zawsze wesoła, zawsze uśmiechnięta. Nigdy nie narzekała, nigdy nie było jej za ciężko. Mario od pierwszego dnia polubił sympatyczną, zwinną dziewczynę i postanowił nauczyć ją sztuki kulinarnej. — Nauczysz się dobrze gotować, to i posadę jaką lepszą znajdziesz — mawiał, popatrując na nią życzliwie. — Dobra kucharka teraz na całym świecie w cenie.

Cieszyła się, była dobrej myśli, robiła plany na przyszłość. Wojtka widywała dosyć często, ale od tamtej pory nigdy z nim dłużej nie rozmawiała. Wydawał jej się bardzo zajęty i czegoś markotny. Parę razy miała nawet chęć spytać go, czy ma jakieś kłopoty, ale jakoś nie starczało jej śmiałości. „Nie moja sprawa — myślała — jeszcze będzie zły, że się do niego wtrącam. Niech ta.”

Wszystko właściwie układałoby się najlepiej, gdyby... Marcysia była ładna, bardzo apetyczna dziewczucha i to jej przeszkadzało w pracy. Ciągłe ją ktoś zaczepiał. Jak nie pomocnik kucharza, to portier, jak nie portier, to szofer, jak nie szofer, to lokaj. Oganiała się od chłopów jak cd uprzykrzonych much. Sama dawała sobie jakoś radę i nie

skarżyła się ani Wojtkowi, ani „panu dyrektorowi”. Aż pewnego razu...

Najbardziej prześladował ją jeden ze służących, chłopak młody, rosły, bardzo pewny siebie, mający ogromne wyobrażenie o swojej urodzie. W żaden sposób nie mógł zrozumieć, że ta pomywaczka z kuchni go nie chce. Dotychczas żadna jeszcze nie odmówiła swych względów pięknemu Dariuszowi. A Marcysia ciągle odmawiała, pędziła go od siebie, a kiedy stawał się nazbyt natrętny, brała się do bicia. Nie i nie. Nie pomagały ani prośby, ani groźby.

Taka zdecydowana postawa dziewczyny doprowadzała chłopaka do wściekłości. Z każdym dniem rosła jego złość i podniecenie. Wreszcie któregoś wieczoru wdarł się do pokoju Marcysi, postanawiając załatwić sprawę „po męsku”. Był wysoki i silny. Początkowo broniła się w milczeniu, ale wreszcie zaczęła krzyczeć.

I tym razem z pomocą przyszedł Wojtek. Na nic się nie zdały przestrogi Zenona, żeby nie walił z nadmierną siłą. Sprął Dariusza tak dokumentnie, że trzeba było wezwać pogotowie. — Wcale nie biłem tak mocno — tłumaczył się potem zafrasowany. — Zwyczajnie parę razy go uderzyłem. Ale co miałem robić? Musiałem. Kawał drania. Musiałem.

Awantura ta nie pozostała oczywiście bez konsekwencji. Nazajutrz Zenon wezwał do siebie Wojtka i powiedział:

- Słuchaj. Ta twoja protegowana jest za ładna dziewczyna. Wszyscy tu się do niej kleją. Musimy ją zwolnić.

- To ja także odejdę — zaperzył się Wojtek. — Dziewucha jak złoto. Pracuje na medal, a że ładna, to przecież nie jej wina. Jak ją wyrzucisz, odejdę i koniec.

Zenon czuł, że musi jakoś załagodzić sprawę.

- Zaczekaj. Pomyślimy coś. Nie denerwuj się. Tutaj ona zostać nie może, bo ciągle będą awantury. Ale przypomniałem sobie, że jedna moja znajoma poszukuje gosposi. Spróbujemy. Może jej się nada Marcysia.

- Może — mruknął Wojtek.

Rozdział VII

Pani Hortensja była zadowolona ze swej nowej pomocy domowej. Spodobała jej się ta ładna, żwawa dziewczyna, taka wesoła i chętna do roboty.

A Marcysia rzeczywiście starała się, jak tylko mogła, żeby się przypodobać swej chlebobawczyni i żeby nie stracić pracy. U tej pani bardziej jej się podobało niż w pałacu. Cisza, spokój. Nie taki rwetes, nie taka bieranina jak tam. Roboty także tu było sporo, bo to i duże mieszkanie porządnie wysprzątać, i obiad ugotować, i po zakupy na rowerze pojechać. A jak jeszcze czasu trochę zostawało, to pomagała w ogrodzie. Dawała sobie jednak z tym wszystkim radę, zwijała się jak w ukropie, a że dziewczyna była obrotna i umiała sobie dobrze zorganizować pracę, to jakoś szło.

Z biegiem czasu jednak zaczęło jej się trochę cnić. Tam było za gwarno, tutaj znowu cicho jak w grobie. Tylko pani i stary ogrodnik, który przychodził trzy razy w tygodniu i który miał usposobienie mrukliwe. Nie lubił rozmawiać. Jedynie z największym wysiłkiem można było wyciągnąć z niego parę słów. A Marcysia lubiła sobie pogadać. Nie miała z kim. Na domiar złego pani zaczęła coraz częściej wyjeżdżać z domu. Nierzadko się zdarzało, że nie było jej dwa, a nawet, trzy dni. Dziewczyna zostawała zupełnie sama i nawet się trochę bała. Dom wydawał jej się wtedy znacznie większy i bardziej pusty, a ogród bardziej rozległy i ciemny. Robiło jej się straszno. Prawda, że były dwa psy, ogromne wilczury, specjalnie uczone, które każdego złodzieja rozszarpałyby na strzępy, ale zawsze co pies, to nie człowiek, z którym można sobie pogawędzić, spytać o co, poradzić się.

Wieczorami starannie zamykała drzwi i okiennice i siadała przed telewizorem. To była jej jedyna rozrywka. Podczas takich samotnych dni i wieczorów często myślała o Wojtku. Chciała, żeby był z nią, żeby pogadał, posiedział.

Byłoby jej raźniej. Przy nim nie bała się niczego ani nikogo. Nie miała wątpliwości co do tego, że zawsze, w każdej sytuacji potrafi ją obronić.

A Wojtek pojawiał się rzadko. Robił wrażenie zakłopotanego i jakby trochę speszonego. Przywoził zawsze jakieś prezenty, słodycze, ale nigdy nie chciał dłużej zostać. Wymawiał się brakiem czasu. Posiedział chwilę, zapytał: „Co tam słyszać?”, wsiadał do samochodu i odjeżdżał.

Jechał do Beaty, z którą widywał się w dalszym ciągu i z którą nie potrafił definitywnie zerwać. Ciągłe go fascynowała. Ciągłe była dla niego tą najpiękniejszą, najwspanialszą kobietą. Do tamtej rozmowy nie wracali: w tydzień po niej zatelefonował jak zawsze w poniedziałek i przyjechał. Przyjęła go zupełnie zwyczajnie, naturalnie, tak jakby nic między nimi nie zaszło.

Podczas jednej z ich dziwnych rozmów o niczym Beata powiedziała:

- Wiesz co, Wojtek, jeżeli chcesz, żeby między nami zapanowała atmosfera przyjaźni, to musisz mi trochę więcej opowiadać o sobie. Chciałabym coś wiedzieć o twojej pracy, o twoim życiu, o twoich kłopotach.

Podrapał się w głowę i spojrzął na nią z wahaniem.

- Nieciekawe to moje życie.

- Jeżeli nie chcesz mówić, to nie. Ja cię przecież do niczego nie zmuszam. Sądziłam, że pragniesz we mnie mieć prawdziwego przyjaciela, a prawdziwa przyjaźń wymaga zwierzeń.

Dopiero po tygodniu zdecydował się. Opowiedział jej o wszystkim, co się z nim działo od czasu wyjścia z więzienia, i o fabryce, i o spotkaniu z Zenonem, i o pracy w pałacu.

Słuchała bardzo uważnie. Kiedy skończył mówić, zapaliła papierosa i przez chwilę siedziała milcząca i zamyślona.

- Uważaj, Wojtek, żebyś znowu nie wpadł — powiedziała wreszcie.

Wzruszył ramionami.

- A dlaczego miałbym wpaść? Nie robię nic złego, jestem dozorcą, ogrodnikiem, pilnuję swojej roboty, a reszta mnie

nie obchodzi.

- Ile tam zarabiasz?

- Osiem patyków miesięcznie i jeszcze zawsze dojdą jakieś boki.

- I uważasz, że zwykłemu dozorczy czy ogrodnikowi płaciłby ktoś tyle forsy, gdyby to była uczciwa praca.

Trochę się zmieszał.

- Faktycznie, że to sporo. Ale jak chcą płacić, to ja się przecież nie będę wzbraniał.

- A te treningi bokserskie?

- Chcą mieć mocnego chłopca, który w razie czego potrafi nakłść po mordzie.

Pokręciła głową.

- Nie podoba mi się to wszystko, Wojtek. Może przyjdzie taki moment, że zażądają od ciebie jeszcze i innych usług. Nie tylko każą ci kwiatki sadzić.

- Ja się tam do żadnych podejrzanych kombinacji mieszać nie będę.

- W każdym razie, ja ci radzę, żebyś uważał. Wiesz, co to jest recydywa?

- Wiem.

- Pamiętaj o tym, że recydywista otrzymuje zawsze większy wyrok.

- Nie strasz mnie.

- Ja cię nie straszę. Ja ci tylko dobrze radzę.

Zły i zdenerwowany wracał Wojtek do pałacu. A ten zły humor potęgował jeszcze fakt, że wszystko, co mówiła Beata, pokrywało się z tym, co instynktownie sam wyczuwał i co niepokoiło go od dłuższego czasu. Ciągłe jednak nie mógł się zdobyć, żeby wyrzec się takiej forsy. Zasadniczo był zdecydowany zerwać z tym wszystkim i poszukać sobie innej pracy. Z miesiąca na miesiąc odkładał jednak wprowadzenie w czyn tej decyzji. „Jeszcze osiem patyków” — myślał, pocieszając się, że jeżeli do tej pory milicja nie zainteresowała się pałacem, to może wszystko jest w porządku, może nie trzeba się niepokoić.

Marcysia powiększała jego rozterkę. Polubił tę dziewczynę i chciał ją widywać. Działała na niego uspokajająco. Jej obecność wracała mu radość życia i bez troskę. Była taka bezpośrednia, taka szczerą. Przy niej nie potrzebował nic udawać, mógł być sobą, zwyczajnym wiejskim chłopakiem. Żałował, że tak rzadko mógł ją odwiedzać i na tak krótko. W dalszym ciągu jednak miał tylko jeden wolny dzień w tygodniu, a nie chciał rezygnować z wizyt u Beaty. To wszystko było dla niego zbyt skomplikowane.

Nie umiał sobie poradzić z tymi nagromadzonymi, trudnymi do rozwiązania problemami.

Któregoś poniedziałku Beata powiedziała mu, że jest zajęta i że nie może się z nim spotkać. Nie zmartwił się tym zbyt i postanowił odwiedzić Marcysię. Nie zastał jej jednak w domu. Pani Landbergowa powiadomiła go, że Marcysia pojechała po sprawunki i że powinna niedługo wrócić. Chciał poczekać w ogrodzie, ale zaprosiła go do mieszkania i poczęstowała herbatą.

- Dużo o panu słyszałam — powiedziała, podsuwając mu paterę z kruchymi ciasteczkami. — Nie mieliśmy jednak okazji ze sobą porozmawiać. Podobno jest pan okropnym siłaczem.

Wojtek zrobił skromną minę.

- Trochę krzepy w kościach mam. Nie mogę narzekać.

- Niebezpieczny z pana człowiek.

- Eee... Jaki tam niebezpieczny. Nie trzeba mi w drogę wchodzić, i tyle.

- Dawno pan zna Mierzyckiego?

- Kawalek czasu — odparł wymijająco. Nie miał ochoty rozgadywać się na temat znajomości z Zenonem.

- Wspomniał mi pan Mierzycki, że miał pan do niego jakiś żal.

- Dawne czasy — uśmiechnął się Wojtek. — Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, jak to mówią. Teraz to my ze sobą jak bracia.

- I bracia czasem się pokłóca.

- Wiadomo. Ale podobno kto się lubi, ten się czubi.

Pani Hortensja uśmiechnęła się dyskretnie. Bez trudu odgadła, że jej rozmówca pragnie się wydać człowiekiem bywałym i dlatego popisuje się znajomością aforyzmów.

- Więc teraz dobrze się panu pracuje z panem dyrektorem Mierzyckim?

- Nie narzekam.

- A widuje pan czasami pana Meysnela?

- Naszego szefa? Tego z bródką? Ma się rozumieć. Widziałem go parę razy, ale z nim nie rozmawiałem, bo on tylko po angielsku szwargocze, a ja ani be, ani me.

- Jak on się panu podoba?

Wojtek wzruszył ramionami.

- Co ma mi się podobać? Taki sobie facet. Wygląda na mruka, ale bo ja wiem. Trzeba z człowiekiem pogadać, trochę się zżyć, żeby móc powiedzieć, jaki on. Zresztą szef bardzo rzadko do nas zagląda, a ostatnio prawie wcale go nie widać. Czasem zatelefonuje, pan Wiktor forszę mu odwozi, i koniec. Słyszałem, że ma jakieś zmiany w pałacu przeprowadzić, że będzie to tylko taki dom wczasowy dla cudzoziemców za dolary, że skasuje karciecia i ten burdel... O, przepraszam panią najmocniej... Tak mi się wyrwało.

- Nic nie szkodzi — roześmiała się pani Hortensja.

- Mają stajnię budować — mówił dalej Wojtek. — I korty tenisowe szykować. Może basen zrobią. Ładnie będzie.

Wróciła Marcysia. Przywiozła dwa kosze pełne sprawków. Była zaróżowiona od jazdy na rowerze i bardzo wesola. Ucieszyła się z odwiedzin Wojtka.

- Jak to dobrze, żeś przyjechał. Dawno cię nie widziałam.

- Może pójdziecie sobie porozmawiać do altanki — proponowała pani Hortensja. — Marcysiu, poczęstuj gościa naszymi truskawkami.

Dziewczyna wzięła Wojtka za rękę i pociągnęła go za sobą do ogrodu. Pobiegli do dużej altany obrośniętej dzikim winem.

- Siadaj. Zaraz przyniosę truskawki. Zobaczysz, jakie dobre. Żadnym paskudztwem nie spryskiwane.

Po chwili wróciła z pełną kobiałką wspaniałych, pach-

nących truskawek. — Masz. Jedz, ile tylko chcesz. Truskawek mamy a truskawek. Pięknie w tym roku obrodziły.

Wojtek jadł i chwalił.

- Faktycznie, dobre. Nawet u mojej mamy takie nie rosną.

- Dużą mają gospodarkę twoi rodzice?

- Spora. Będzie około dwudziestu hektarów.

- O, to kawał ziemi. Ojciec chyba sam nie da rady obrobić.

- Ma pewnie jakiegoś parobka.

- A czego ty nie pójdziesz gospodarzyć z ojcem?

Odwrócił głowę i sięgnął po truskawkę. — Tak jakoś — mruknął.

Wyczuła, że nie chce o tym gadać, i dała spokój. Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

Było słoneczne lipcowe popołudnie. Ogród pachniał ziemią i nagrzaną zielenią. Przez ażurowe ściany altany wsączały się złotawymi pasmami promienie słońca. Muchy brzęczały sennie. Pojawiła się duża kosmata pszczoła i usiadła na truskawkach.

Pierwsza odezwała się Marcysia.

- Wojtek...

- Co?

- Cni mi się.

- Za czym?

- Za wsią. Za łąkami zbóż, za łąkami, za lasem, za drzewami...

- Przecież tu także masz drzewa — powiedział bez przekonania.

Potrząsnęła głową.

- To nie to samo. Pewnie, że ogród, że drzewa, że kwiaty, ale to nie to samo, oj nie. Pamiętasz, jak pola pachną? Jak świeżo zorana ziemia pachnie? U nas już niedługo żniwa. Jak słoneczko przygrzeje, to za tydzień można będzie żyto żąć. Lubiłam snopki na wóz podawać, a potem na snopkach jechać. Ale wysoko. Dziwuję ci się, że do rodziców nie jedziesz gospodarzyć, ino się tutaj tym cudakom wysługujesz.

- Daj spokój — zachnął się Wojtek.

- Nie gniewaj się, Wojtuś, ale ja, jakbym mogła, to w jednej minucie wszystko bym rzuciła i na wieś pojechała. Tak mi się za wsią przykrzy, że rady sobie dać nie mogę. Widać to dlatego, że na wsi urodzona i na wsi wychowana.

- Żle ci u tej pani?

- Żle mi nie jest, ale i dobrze także nie. Smutno. Sama ciągle siedzę, że aż mi straszno. Ino się w ten telewizor gapię jak głupia. Czasem to i usnę, jak takie byle co zaczną gadać. Trudno wyrozumieć, o co im chodzi.

- Pani często zostawia cię samą?

- Różnie. Ostatnio dwa dni jej nie było. Wczoraj wróciła. Ale nawet jak nie wyjeżdża, to także ze mną wiele nie gada. Powie, co trza zrobić, chwilę porozmawia i koniec, i znowu jestem sama, ino z psami. Tego starego ogrodnika to nawet nie ma co i rachować. Nijak gęby nie chce otworzyć. Możesz do niego gadać jak do słupa. Burknie ino coś tak, że wyrozumieć nie można, i idzie. Cni mi się, Wojtuś, oj cni. Czasem to aż mi się na płacz zbiera.

Wojtek miał wielce zafrasowaną minę.

- A gdzie byś ty chciała pracować? — spytał. — W fabryce?

- Na wsi. Przy gospodarstwie, przy krowach albo i przy świniach. Byle na wsi.

- A skądże ja ci wieś wezmę? Majątku ziemskiego ci nie kupię. Gospodarki także nie. Cóż byś robiła sama jedna na gospodarce?

- Au twoich rodziców nie mogłabym to pracować? Jak taki szmat ziemi mają, to im ręce do roboty potrzebne. A ja się na wiejskiej robocie znam. O to się nie bój.

Wojtek potrząsnął głową.

- Ja się nie boję. Tylko że z mojej poręki do rodziców nie możesz pójść.

- A to czego?

- Ojciec znać mnie nie chce.

- Powadziłeś się z ojcem?

- Daj mi spokój. Nie chcę o tym gadać. Jak ci tu źle, to

szukaj sobie roboty w jakim pegeerze.

Dotknęła jego dłoni.

- Przepraszam, Wojtuś. Nie gniewaj się.

- Nie gniewam się, tylko co ja ci' mogę poradzić? Załatwiłem ci pracę u tej pani. Jesteś niezadowolona. Chcesz na wieś. A ja na wsi nie mam nikogo, żeby cię do niego posłać na robotę. Chyba że sama sobie coś skombinujesz.

Był zły i rozdrażniony. Słowa Marcysi w całej pełni uświadomiły mu jego własną tęsknotę za wsią, za ogromnymi, otwartymi przestrzeniami pełnymi powietrza, słońca, śpiewu ptaków. Z dużym wysiłkiem tłumił w sobie to uczucie, nie chcąc się do niego przyznać przed samym sobą. I on także w jednej chwili rzuciłby wszystko i wrócił na wieś, żeby miał do czego wrócić. Pewnie, że mógłby pójść za zwyczajnego robotnika rolnego do jakiegoś pegeeru, ale to mu się nie widziało. Będzie go tam sztorcował byle ćwok, byle cham. Nie. To nie dla niego. Na własną gospodarkę to tak, ale nie do pegeeru. Przywykł już do czego innego, a przede wszystkim przywykł do dużych zarobków, do jazdy eleganckim wozem, do spania w wygodnych, miękkich betach.

Widząc nachmurzoną twarz Wojtka, Marcysia postanowiła zmienić temat rozmowy.

- Wiesz, kogo spotkałam w Jeziornie?

- Kogo?

- Pana dyrektora Mierzyckiego.

- Zenona?

- Aha.

— Rozmawiałaś z nim?

- Rozmawiałam. Podjechał wozem i zatrzymał się koło mnie.

- No i cóż ci powiedział?

- E, takie tam głupoty — zachichotała Marcysia. — Nawet nie warto gadać.

- Powiedz.

- Kiedy ty zaraz będziesz zły.

- Czego mam być zły? Nie będę.

- Na pewno?
- Jak mówię, że nie będę, to nie będę.
- Pan dyrektor Mierzycki chciał mnie zabrać ze sobą do Warszawy.
- Do Warszawy? A po co? Gdzie?
- Do swojego mieszkania. Powiedział, że mnie poczęstuje dobrym winem, że sobie porozmawiamy i że nawet będę mogła u niego zanoćować, jak się zrobi późno.
- Wojtek zerwał się ze swojego miejsca.
- A to Świnia! Ja mu...! — zacisnął pięści.
- A nie mówiłam, że się będziesz złościł? — zaśmiała się Marcysia. — Czego się ciepiesz? Przecie nie poszłam z nim, ino wróciłam do domu. Każdy chłop zbytnik, choćby nawet i dyrektor. Ja tam nie taka głupia, żeby do niego do mieszkania na wino iść.
- Wszystkie gnaty mu połamię, draniowi — warknął Wojtek.
- Marcysia pogładziła go po ręce.
- Daj spokój, Wojtuś, nie pomstuj tak. Nic się przecie nie stało.
- Ale że draniowi takie rzeczy w głowie, psia jego mać.
- Każdemu chłopu takie rzeczy w głowie. A coś ty myślał? A tyś to niby lepszy?
- Co ty też, Marcyśka, gadasz? — oburzył się Wojtek. — Albo ja cię tknął?
- A po co do mnie jeździsz? Jakbym ja była stara i garbata, tobyś tu przyjeżdżał? No, powiedz... Przyjeżdżałbyś?
- Daj mi spokój, głupia.
- A widzisz... a widzisz... — drażniła się z nim Marcysia. Miała wesołe błyski w oczach. Bawiła się doskonale jego zmieszaniem, a może było jej ono miłe.
- Wojtek do końca wizyty nie mógł się uspokoić. Ciągle wracał do propozycji Zenona. Wreszcie Marcysia straciła cierpliwość.
- Przestańże wreszcie o tym gadać, bo nie ma o czym. Zazdrośnik jesteś głupi i tyła.

- Zazdrośnik? Ja? Chybażeś do reszty rozum straciła. A cóż mnie to może obchodzić? Czyżeś ty mi żona, czy narzeczona?

- No, to czego się tak ciepiesz, jakby cię kto szydłem dźgał? A jak cię nic nie obchodzę, to wracaj do swojego pałacu i więcej tu nie przyjeżdżaj.

- A żebyś wiedziała, że nie przyjadę.

Zerwał się i szybkim krokiem ruszył w kierunku furtki.

Pobiegła za nim.

- Wojtek! Wojtuś!

Zatrzymał się.

- Czego chcesz?

- Pożegnaj się ze mną jak człowiek. Cóżem ci winna?

Podał jej rękę.

- Do widzenia, Marcysiu. Bądź zdrowa.

- A przyjedziesz jeszcze kiedy?

- Może. Nie wiem.

- Przyjedź, Wojtek. Bo tak po prawdzie, to ja cię polubiłam.

Mocniej uściśnęła jej dłoń.

- Do widzenia, Marcysiu. Do zobaczenia. A nie daj się nikomu zbałamucić.

- Gdzieżby zaś. Jam nie taka. Już niejeden ode mnie po pysku oberwał.

Wojtek zdenerwowany i rozjuszony wrócił do pałacu. Zaraz też poszedł do pokoju Zenona. Zastał go siedzącego w fotelu i przeglądającego zagraniczne czasopisma.

Wszedł bez pukania. Na jego widok Zenon zerwał się zaniepokojony. W twarzy Wojtka było coś tak groźnego, że Zenon poczuł nagły chłód w okolicach kręgosłupa.

- Co się stało?

Wojtek podszedł bliżej i zacisnął pięści.

- Spotkałeś w Jeziornie Marcysię — powiedział przez zaciśnięte zęby.

Zenon skoczył za biurko i wsunął rękę do kieszeni. Poczuwszy pod palcami kolbę pistoletu, odzyskał trochę pewność siebie. Wiedział, że z tym osiłkiem nie ma żartów.

- O co ci chodzi? — spytał.

- Spotkałeś w Jeziornie Marcysię — powtórzył Wojtek.

- No, to co z tego?

- Ty draniu! Ty bydlaku! — Wojtek podniósł głos. — Chciałeś ją zabrać do swojego mieszkania. Chciałeś ją spić winem. Jeżeli ją tkniesz, to cię zabiję, ty skurwysynu! Rozumiesz?! Zabiję jak wściekłego psa!

Zrobił jeszcze jeden krok, ale w tej chwili Zenon wyciągnął pistolet.

- Nie ruszaj się. Ani kroku dalej, bo ci w łeb strzelę.

— I ta pukawka ci nie pomoże — zaśmiał się Wojtek. — Skoczę ci do gardła, jak się nie będziesz spodziewał. Spróbuj ją tknąć, ty wywłoko.

- Oszalałeś, Wojtek? Uspokój się. Nie wiedziałem przecież, że to twoja dziewczyna — próbował łagodzić Zenon.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł zdyszany Ksawery.

- Czy pan dyrektor mnie wolał?

- Nie, nie wolałem — odparł Zenon, wsuwając pistolet do kieszeni marynarki.

- Bo usłyszałem taki krzyk, że myślałem, że się coś stało.

- Nic się nie stało. Tak sobie rozmawiamy.

Na drugi dzień po tej przykrej scenie Zenon wyjechał do Warszawy. Nie było go dwa dni i wszystko spoczywało na głowie pana Wiktora.

Wojtek, kiedy ochłonął z pierwszej złości, poczuł się głupio. „Alem narozrabiał — myślał niezadowolony z siebie. — I po cholere to?” Zdawał sobie sprawę z tego, że cała ta awantura nie miała najmniejszego sensu, że dał się ponieść chwilowej wściekłości i że zupełnie niepotrzebnie naskoczył tak na Zenona. Bo co właściwie Zenon zawinił? Nic. To, co powiedział Marcysi, mogło być zwyczajnym żartem, mógł nie brać tego na serio, a on od razu z mordą. Teraz Zenon wyjechał i czort wie, co będzie dalej. Pewnie go wyleją. No, to pies z nimi tańczył. Niech go wylewają. Ma to wszystko w nosie. Niech sobie poszukają innego wykidajły. Ciekawe, czy tak łatwo znajdą kogoś odpowiedniego. Bo to i chłopak

musi być krzepki, i niegłupi, i nie żaden gaduła. Oj, nie tak łatwo będzie im znaleźć innego, nie tak łatwo.

Mimo iż usiłował przekonać sam siebie, że mu nie zależy na pracy w pałacu, chodził zły i markotny. Musiał też bardzo uważać, żeby się znowu z kimś nie powadzić. Wszystko go denerwowało, każda drobnostka wyprowadzała go z równowagi. Najbardziej na tym ucierpiał Mario, którego Wojtek na codziennym treningu bokserskim poobijał niemiłosiernie.

Z samego rana Ksawery przyniósł list.

- Do mnie? — zdziwił się Wojtek.

- Do ciebie.

- Od kogo?

- A bo ja wiem. Jakiś chłopak przywiózł na motorze.

Wojtek przez chwilę z niedowierzaniem obracał w palcach zwykłą białą kopertę. Wreszcie rozerwał ją i wyjął kartkę papieru, na której było napisane kilka słów na maszynie.

„Mam do ciebie pilną sprawę. Przyjedź do mnie dzisiaj punktualnie o siedemnastej. Zenon.”

Zdumiony i zaskoczony pobiegł natychmiast do pana Wiktora. Ten przeczytał list, wzruszył ramionami i powiedział:

- No, cóż... Niech pan jedzie, panie Wojtku, ale niech pan możliwie szybko wraca. Wieczorem będzie mi pan potrzebny.

Wojtek pokiwał głową.

- Oczywiście, że wrócę. Nie wiem, czego Zenon chce ode mnie, ale nie przypuszczam, żebym 'u niego długo zabawił. Czy mogę wziąć „Fiata”?

- Niech pan bierze.

Wojtek nie mógł doczekać się popołudnia. Dręczyła go ciekawość. „Czego też Zenon może chcieć ode mnie? — rozmyślał zaintrygowany. — Dlaczego nie zatelefonował, tylko przysłał tę kartkę? Co to za pilna sprawa?”

Wreszcie czas było jechać. Wojtek przebrał się, wyprowadził wóz z garażu, napełnił bak benzyną, sprawdził motor i opony, wcisnął się za kierownicę i ruszył do

Warszawy.

W drodze ogarnął go dziwny niepokój. Sam nie wiedział dlaczego, ale czuł narastające zdenerwowanie. Wezwanie Zenona było tak zaskakujące, tak tajemnicze, że Wojtek w żaden sposób nie mógł się domyślić, co się za tym kryło. „A może to jakaś zasadzka?” — pomyślał i parsknął śmiechem. Co też mu do łba przychodzi? Jaka zasadzka? Czego miałyby się bać? Chyba do reszty zgłupiał.

W Warszawie musiał zwolnić, bo ruch był o tej porze duży. Ciągłe korki, światła, ciągle hamulec. Spojrzał na zegarek. Uspokoił się. Było dosyć czasu. Na pewno punkt piąta będzie u Zenona.

Na Mokotowie znowu mógł trochę zwiększyć szybkość. Puławską jechało się swobodniej.

Zajechał na miejsce. Zaparkował wóz i wbiegł na schody. U Zenona w mieszkaniu nie był od tamtej ich rozmowy. Zadzwoił. Nikt nie otwierał. Znowu nacisnął dzwonek. Milczenie. Spojrzał na zegarek. Była punkt piąta.

„Co, u licha? — pomyślał Wojtek. — Usnął czy co? A może się upił?” Wiedział jednak, że Zenon pił rzadko, bardzo mało i nigdy się nie upijał. Zaczął dzwonić coraz natarczywiej i walić pięścią w drzwi. Bez skutku. Wreszcie nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły.

- Zenon! — zawołał, wpadłszy do przedpokoju. — Zenek! Odezwij się!

Szarpnął drzwi. Stał w progu jak wryty. Pośrodku pokoju, zwrócony twarzą do dywanu leżał Zenon w kałuży krwi. Tuż przy nim pistolet z tłumikiem.

Wojtek przyklęknął i dotknął nieruchomego ciała. — Nie żyje — wyszeptał cicho, jakby bał się zbudzić zmarłego. — O rany! Nie żyje. Kto cię zastrzelił, Zenek? Kto cię zastrzelił? — Podniósł pistolet, obejrzał go i odłożył z powrotem na dywan, przypomniawszy sobie, że w takich wypadkach niczego nie należy ruszać.

Nagle posłyszał czyjeś kroki. Odwrócił się gwałtownie. W drzwiach stała gosposia Zenona.

- Jezus Maria! — A zaraz potem: — Pomocy! Ratunku!

Ludzie, ratujcie!

Wojtek odepchnął wrzeszczącą kobietę i w paru susach wypadł z mieszkania. Na ulicy zapomniał o wozie i biegł przed siebie jak oszalały. Wreszcie wskoczył do przejeżdżającego tramwaju.

Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że jedzie w kierunku śródmieścia. Był zadyszany, spocony, czerwony. Ludzie przyglądali mu się ciekawie. „Muszę się uspokoić... Muszę się uspokoić — powtarzał sobie w myśli. — Muszę się uspokoić, do jasnej cholery. Muszę!”

Powoli zaczął przychodzić do siebie. Otarł czoło i twarz chustką, przycesał włosy i poprawił krawat. Jednak ciągle jeszcze miał chaos w głowie i nie mógł zebrać myśli. To, co przed chwilą zobaczył, było takie przerażające, że trudno mu było uwierzyć w realność tego obrazu. Nie docierało do jego świadomości, że Zenon naprawdę nie żyje, że został zamordowany, zastrzelony...

Dojechał do Królewskiej. Wysiadł i poszedł do Ogrodu Saskiego. Znalazł nie zajętą przez nikogo ławkę, na której mógł spokojnie posiedzieć i zebrać myśli. Co dalej? Co zrobić?

Dopiero teraz przypomniał sobie o wozie. Nie miał jednak odwagi wracać. Nie było przecież wątpliwości, że ta baba go poznała i że milicja będzie go szukać po całym mieście jako mordercy. Skurczył się ogarnięty nagłym przerażeniem. Morderca! W jaki sposób mógłby przekonać milicję, prokuratora, sędziów, że to nie on zastrzelił Zenona? Nikt mu nie uwierzy, absolutnie nikt. Skażą go. Kara śmierci. Nie może być inaczej. Kara śmierci. Uciekać! Uciekać!

Zerwał się z ławki. Nie wolno mu tracić ani chwili czasu, ani chwili. Może już go szukają. Musi wyjechać 7. Warszawy, gdzieś daleko, bardzo daleko. Rozpiszą za nim listy gończe. Będą go ścigać po całym kraju. Więc co? Samemu, dobrowolnie zgłosić się na milicję i powiedzieć, że to nie on jest mordercą? Nonsens. Kto mu uwierzy? Zamkną go i cześć. Albo szubienica, albo dożywotnie więzienie. Musi uciekać, najlepiej za granicę. Ale jak? Bez

paszportu, bez pieniędzy...

Rany boskie...! Przecież wszystkie pieniądze i książeczki oszczędnościowe zostawił w pałacu. Przy sobie miał tylko dziewięć tysięcy złotych, które wziął, żeby sobie otworzyć książeczkę samochodową. Na długo mu to nie wystarczy, a do pałacu wracać nie może. Kto wie, czy tam już na niego nie czekają.

A może zwrócić się o pomoc do Karalucha albo do Grubego Mietka. Może oni go gdzieś zamelinują, wyrobią lewe dokumenty...?

Uczepił się tej myśli jak przysłowiowej ostatniej deski ratunku. Wyszedł z ogrodu, na Kredytowej zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i kazał się zawieźć na Radzymińską. Podał adres Grubego Mietka.

Długo dzwonił i stukał. Wreszcie drzwi uchyliły się i przez szparę, ograniczoną solidnym łańcuchem, zobaczył pomarszczoną twarz starej kobiety.

- A czego?

- Ja do pana Mięcia.

- Pan Miecio w kiciu — powiedziała lakonicznie i za-trzasnęła drzwi.

Wojtek znowu znalazł się na ulicy.

„Miecio w kiciu... Miecio w kiciu...” — powtarzał bezmyślnie. Nagle to, co miało być dla niego ratunkiem, rozplynęło się bez śladu. Jedyna szansa. A teraz co? Karaluch? Nie. To był za mały złodziejasek, żeby mógł mu coś pomóc. A zresztą prawdopodobnie i on siedzi. Nie ma co sobie nim głowy zawracać. Więc co? Wyjechać, jak najprędzej wyjechać. Tylko patrzeć, jak na miasto wyruszą poszukujące go patrole milicyjne. Jego fotografie mają w kartotekach. Fotografie i odciski palców.

Nagle stanął jak wryty i poczuł, że kroplisty pot występuje mu na czoło. Odciski palców...! Rany boskie! Przecież on wziął do ręki ten pistolet. Jezusie Nazareński! Na pistolecie, z którego został zastrzelony Zenon, zostawił odciski palców. No, teraz to już w żaden sposób nikomu nie wytłumaczy, że to nie on.

Nie wiedząc jak i kiedy, znalazł się na dworcu.

- Pociąg do Gdyni...?

- Dopiero wieczorem. Teraz może być z przesiadką.

- Niech będzie z przesiadką.

Kupił bilet. Najlepiej na Wybrzeże. Najlepiej. Może uda mu się zadekować na jakimś frachtowcu. Może uda mu się dostać do Południowej Ameryki, do Argentyny. Tam już sam diabeł go nie znajdzie. Byle nie do pudła, byle nie do pudła.

Rozdział VIII

Lekarz skończył obdukcję zwłok.

- Rana postrzałowa. Dwie kule weszły pod lewą łopatkę. Śmierć nastąpiła natychmiast.

- Ktoś strzelił do niego z tyłu.

- Tak. Ze stosunkowo małej odległości.

- Samobójstwo wykluczone.

- Oczywiście.

- Czas zgonu?

Lekarz spojrział na zegarek.

- Teraz mamy osiemnastą dziesięć. Można przypuszczać, że tego człowieka zabito pomiędzy szesnastą a siedemnastą. To zupełnie świeża sprawa. Nie nastąpiło nawet całkowite stężenie.

- Czy można zabrać zwłoki? — spytał sierżant.

- Jeszcze chwileczkę.

Kociuba stał nad nieruchomym ciałem i z natężoną uwagą wpatrywał się w pociągłą, śniadą twarz, na której osiadły już pierwsze cienie śmierci. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ta twarz nie jest mu obca, że już ją gdzieś widział. „Zenon Mierzycki... Zenon Mierzycki...” — brzęczało mu w uszach. Z tym nazwiskiem także się już gdzieś spotkał. Ale gdzie? Gdzie?

I nagle, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, ożyły w jego pamięci dawno zapomniane, niepotrzebne obrazy. To było chyba ze cztery lata temu. Zobaczył swój pokój w komendzie i tego człowieka siedzącego przed jego biurkiem. Nonszalancki sposób bycia. Ironiczny uśmiech. Całkowita pewność siebie. Ależ tak... Nie ma wątpliwości... wtedy przesłuchiwał Zenona Mierzyckiego. Oskarżonym był ten głupi wiejski chłopak. Jakżeż on się nazywał...?

Porucznik Olszewski trącił go w ramię.

- Coś się tak zadumał, Franek?

- Bo ja znałem tego faceta.

- Znałeś denata?

- Tak. Przesłuchiwałem go kiedyś. Co za traf.

- Rzeczywiście, dziwny zbieg okoliczności. Dawno to było?

- Kawał czasu. Chyba ze cztery lata temu.

- Posadziłeś go?

- Nie, nie siedział. Teraz zaczynam sobie dokładnie przypominać całą sprawę. Chodziło o dobrze zorganizowane włamania. Przez cały czas śledztwa byłem przekonany, że ten tutaj był głównym inspiratorem i szefem bandy, ale nie mogłem zdobyć przeciwko niemu żadnych dowodów. Parę lat dostał wtedy taki młody, wsiowy chłopak. Pamiętam, że nie chciał nic mówić, nie chciał sypać kumpi. Nawet było mi go żal. Przyjechał ze wsi i wdał się z bandziorami. W tej chwili otworzyła mi się klapka w mózgowicy. Wszystko zaczynam sobie przypominać. Mam nawet przed oczami twarz tego chłopaka. Tylko jeszcze nie mogę sobie przypomnieć jego nazwiska. Muszę zajrzeć do akt.

- Może porozmawiamy z gospożą — zaproponował Olszewski. — A tymczasem niech zabiorą zwłoki i niech załatwią daktyloskopię. Mam nadzieję, że nikt nie dotykał pistoletu.

W kuchni czekała na nich gospoia. Dosyć tęga, ale nie otyła, była kobietą w średnim wieku, żwawą, energiczną i robiącą wrażenie osoby realnie patrzącej na otaczający ją świat i na życie. Miała okrągłą, czerstwą twarz i wąskie, odrobinę skośne, błyszczące oczy. Na widok wchodzących oficerów podniosła się z drewnianego taboretu, na którym siedziała.

- Niech pani siedzi, niech pani siedzi — zwrócił się do niej Kociuba. Przysunęli sobie krzesła i także usiedli.

Kociuba odchrząknął.

- Może nam pani jeszcze raz opowie wszystko od początku.

- Chciałbym zapisać pani personalia — wtrącił się Olszewski. — Niech nam pani poda swoje imię i nazwisko.

- Sroczyńska Walentyna. Lat pięćdziesiąt sześć.

- Jak dawno pani pracuje u pana Mierzyckiego? — spytał Kociuba.

- O, już będzie przeszło dwa lata.

- Pani nie była tu stałą gospożą.

- Nie. Na przychodne. Przychodziłam dwa albo trzy razy w tygodniu. Sprzątnąć, przeprać, czasem coś ugotować.

- Czy pani miała klucze od mieszkania?

- Oczywiście. A jakżeby inaczej? Przecie musiałam się dostać do mieszkania. Pan Mierzycki nie zawsze był w domu, a raczej częściej go nie było, jak był.

- Wyjeżdżał?

- Chyba wyjeżdżał, a może gdzie nocował na mieście. Tego nie powiem, bo nie wiem.

- Czy pan Mierzycki pracował gdzieś?

- Chyba pracował, bo czasem mówił, że jedzie do pracy.

- A gdzie pracował?

- Dokładnie to nie wiem. Kiedyś mówił, że w pałacu. Spytałam, czy w Pałacu Kultury, to się tylko roześmiał i nic nie powiedział.

Kociuba i Olszewski wymienili szybkie spojrzenia.

- A niech nam pani opowie teraz, jak to było dzisiaj.

- Okropnie się przestraszyłam. O mało nie umarłam.

- Wierzymy pani — uśmiechnął się Kociuba — proszę opowiadać.

- No więc tak... Przyszłam... Już mnie to zdziwiło, że drzwi nie były zamknięte. Wchodzę do pokoju. Patrzę, a tu pan Mierzycki leży nieżywy, a nad nim stoi ten bandzior z rewolwerem w ręku.

- Czy pani jest pewna, że ten człowiek trzymał rewolwer w ręku?

Zawahała się.

Wydaję mi się, że miał rewolwer, ale nie przysięgnę. Taka byłam przestraszona... Ale chyba miał...

Kociuba machnął ręką.

Mniejsza z tym. Niech nam pani powie, czy widziała już pani kiedyś u pana Mierzyckiego tego człowieka?

- Oczywiście, że go widziałam. Był tu w zeszłym roku na

jesieni. Awanturował się. Krzyczał...

- O co się awanturował?

- Tego nie wiem. Słyszałam tylko, jak krzyczał, groził. Wreszcie pan dyrektor jakoś go uspokoił.

- Jak on wygląda?

- Duży chłop, tegi. Plecy to ma takie szerokie, że ledwie w drzwi się mieścił. Pasowałby na jakiego atletę.

- Młody, starszy?

- Młody. Nie będzie miał więcej jak dwadzieścia kilka lat.

- A wtedy, w zeszłym roku, to po raz pierwszy odwiedził pana Mierzyckiego?

- Ja go przedtem nigdy nie widziałam.

- Czy pani dokładnie pamięta tę jego wizytę?

- Tak dokładnie to chyba nie. To było prawie rok temu. Przyszedł i zaraz zaczął się awanturować. Okropnie nasobaczył panu dyrektorowi. Bałam się nawet, że mu co złego zrobi. I zrobił. Swego nie darował.

- Może pani pamięta, jak pan Mierzycki mówił do niego, po imieniu czy pan?

- Chyba po imieniu.

- Czy wymienił jakieś imię?

- Tego nie pamiętam.

- Czy pani zawsze przychodziła po południu do pana Mierzyckiego? — spytał Olszewski.

Gospośia energicznie potrząsnęła głową.

- Ale skąd... Zawsze przychodziłam rano, tak około dziewiątej. Dzisiaj to wyjątkowo. Pan Mierzycki mnie prosił, żebym przyszła o piątej, bo gdzieś miał wyjechać.

- Kiedy panią o to prosił?

- Przysłał mi wczoraj kartkę.

- Przez kogo?

- Przez chłopca dozorca.

- Ma pani przy sobie tę kartkę?

- Chyba mam.

Otworzyła dużą, czarną torbę i zaczęła w niej szukać. — O, jest — wykrzyknęła triumfalnie i podała Olszewskiemu arkusik zwykłego, białego papieru, wyrwany zapewne z

bloku, na którym pospiesznie było skreślonych parę słów: „Proszę przyjść do mnie jutro punktualnie o piątej po południu. Muszę wyjechać. Chcę pani zostawić pieniądze i dyspozycje. Z. Mierzycki.”

- Trzeba będzie sprawdzić pismo — szepnął Kociuba.

Olszewski skinął głową.

- Oczywiście. — A zwracając się do gosposi, spytał: — Czy pani jest osobą punktualną?

Zrobiła taką minę, jakby poczuła się dotknięta tym pytaniem.

- O, proszę pana, ja co do minuty. U mnie to nie istnieje, żebym się spóźniła. Mam dwa zegarki, budzik i jeszcze jeden zegar na ścianę. Wszystkie nastawiam według radia. A w ogóle, to nie rozumiem, jak się ludzie mogą spóźniać. Po mojemu to jest niechlujstwo. Człowiek inteligentny musi być punktualny.

- Więc pani była tutaj punktualnie o piątej?

- Patrzałam na zegarek, jak wchodziłam do bramy. Była piąta. Tylko tyle, co weszłam po schodach.

- Czyli że w mieszkaniu pana Mierzyckiego była pani jakieś dwie, trzy minuty po piątej.

- Tak wychodzi. Ja po piętrach nie mogę tak bardzo prędko latać. Zaraz się zadyszę. To już nie te lata, co to człowiek szast-prast i w jednej sekundzie był na górze.

Olszewski spojrział na Kociubę.

- Chcesz jeszcze o coś zapytać?

- Myślę, że zabierzemy panią do komendy.

- A to na co? — zaniepokoiła się gosposia. — Wszystko już panom powiedziałam. Nic więcej nie wiem.

- Nie będziemy pani długo trzymali — uśmiechnął się Kociuba. — Pokażemy pani tylko fotografie. Może pani rozpozna tego człowieka.

Olszewski został jeszcze na miejscu zbrodni. Kociuba zabrał ze sobą gosposię i pojechał do komendy.

Zabrało to jednak sporo czasu. Trzeba było sprowadzić pracownika archiwum, które o tej porze było już zamknięte. Wreszcie udało się odkopać akta tamtej sprawy.

Gospoia nie miała żadnych wątpliwości. Jak tylko zobaczyła zdjęcie Wojtka, krzyknęła: — To on! Proszę pana, to ten bandzior! To on zamordował pana Mierzyckiego!

- Jest pani pewna, że to on? — spytał spokojnie Kociuba.

- Jak najpewniejsza. Mogę w sądzie przysięgać. Przecie go poznaję. To ta gęba.

- I to na pewno ten sam człowiek, który w zeszłym roku na jesieni odwiedził pana Mierzyckiego?

- Jak Boga jedyne go Kocham, że to on.

- Nie myli się pani?

- Absolutnie się nie mylę. Na końcu świata poznałabym tego bandziora. Może mi pan wierzyć.

Kociuba zamyślony pokiwał głową.

- Wierzę pani. Dziękuję.

- Czy mogę już iść do domu?

- Tak, jest pani wolna. Proszę mi tylko na wszelki wypadek podać swój adres. Aha, jeszcze jedna sprawa. Musimy sporządzić protokół, który pani podpisze. To nie potrwa długo.

- Już się dosyć naczekałam — mruknęła niezadowolona. — Tyle człowiek czasu traci.

Po upływie piętnastu minut protokół był gotów, gospoia z namaszczeniem złożyła swój podpis i mogła wreszcie opuścić komendę. Prawie w tej samej chwili wrócił Olszewski.

- No i co? — spytał Kociuba. — Znalazłeś coś ciekawego?

- Nic specjalnego. Jutro z samego rana przeszukamy dokładnie mieszkanie. A teraz proponuję, żebyśmy nie tracąc czasu pojechali do tego sławnego „pałacu”. Może tam jeszcze nie wiedzą o zabójstwie Mierzyckiego.

- Jeżeli oczywiście właśnie oni nie są organizatorami tej całej historii Czy wiesz, że gospoia zidentyfikowała faceta, który dzisiaj odwiedził Mierzyckiego i który może być kandydatem na mordercę?

- Co ty powiesz? — zainteresował się Olszewski. — To jednak ten twój wiejski chłopak?

- Tak. Wojtek Kalina. Gospoia bez namysłu poznała go

na zdjęciu. Pamiętam go doskonale. Teraz dokładnie przypomniałem sobie całą sprawę.

- Jeszcze tylko odciski palców na pistolecie i mamy całkowicie zidentyfikowanego mordercę — powiedział Olszewski. — Czyżbyś miał, Franiu, jakieś wątpliwości? — dodał, zobaczywszy niewyraźną minę przyjaciela.

Kociuba uśmiechnął się.

- Major Downar wiele razy kładł mi do głowy, że w naszej pracy zawsze należy mieć wątpliwości, choćby nawet sprawa była zupełnie oczywista.

Olszewski pokiwał głową.

- Zgadzam się z tym całkowicie, ale w niczym nie należy przesadzać. No, ale na nas już czas. Zbieraj się. Jedziemy.

Służbowa „Wołga” błyskawicznie przedostała się na drugi brzeg Wisły i wpadła na wał Miedzeszyński.

- Już dawno powinno się było zlikwidować ten burdel — mruknął Kociuba.

Olszewski wzruszył ramionami.

- Wiesz przecież, dlaczego do tej pory tego nie zrobiono.

- Wiem. Ale czy to może coś dać taka długotrwała obserwacja od zewnątrz. Praktycznie nie mamy przecież do niego żadnego dostępu.

- Teraz mamy.

- Trzeba było aż morderstwa — skrzywił się Kociuba.

- W każdym razie to nam pozwoli trochę zajrzeć do tego interesu.

- Ciekawe, czy już wiedzą o zamordowaniu Mierzyckiego?

- Musimy być przygotowani na to, że wiedzą.

„Wołga” rwała naprzód z kopyta. Przy kierownicy siedział Sikora, stary, doświadczony kierowca, uczestnik wielu ryzykownych akcji milicyjnych.

Kiedy zbliżali się do celu podróży, Olszewski poprawił krawat.

- Dobrze, że jesteśmy po cywilnemu — powiedział. — To nam ułatwi sytuację.

- Sądzisz, że zastaniemy sporo gości?

- Zazwyczaj ruch jest u nich dość duży. To bardzo

atrakcyjna impreza.

Sikora zwolnił i po chwili nacisnął mocniej hamulec. Zatrzymali się przed żelazną bramą.

Pałac był cichy i ciemny. Tylko w niewielu oknach błyszczało światło.

- Coś tu pustawo — mruknął Kociuba, wysiadając z wozu. — Nie robi to na mnie wrażenia szampańskiej zabawy. Raczej trupiarnia.

- To mogłoby wskazywać na to, że spodziewają się naszej wizyty — powiedział Olszewski i nacisnął okazałych rozmiarów dzwonek.

Nie czekali długo. Skrzypnęła furtka w żelaznej bramie. Zobaczyli przed sobą szczupłego, wysokiego mężczyznę w ciemnym ubraniu. Wypolerowana łysina oraz nieskazitelnie biała koszula stanowiły dwie jasne, błyszczące plamy.

- Panowie sobie życzą...?

Jak na komendę wyjęli legitymacje służbowe.

- Milicja.

- Chcielibyśmy się widzieć z kierownikiem tego lokalu — powiedział Olszewski.

- Panowie pozwolą ze mną.

Weszli do hallu.

- Panowie zechcą chwilę poczekać. Zaraz powiadomię pana dyrektora, że panowie życzą sobie z nim mówić — powiedział łysy. Skłonił się z chłodną uprzejmością i zniknął. Absolutnie nic nie wskazywało na to, że jest czymś zaniepokojony. Mówił powoli, ale z dużą pewnością siebie. Jego opanowane, nad wyraz spokojne ruchy nie zdradzały najmniejszego zdenerwowania.

Kociuba rozejrzał się wokoło.

- Ale tu elegancko. Kurczę pieczone. Prawdziwy pałac.

Olszewski pokiwał głową.

- Ile to forsy musiało kosztować, żeby taką rudę tax urządzić.

- Jak kto chce zarabiać, musi inwestować — zauważył Kociuba. — Bez kapitału zakładowego daleko nie zajedziesz.

Olszewski trącił go w łokieć.

- Uważaj.

W tej chwili wszedł do pokoju „pan Wiktor”. Miał na sobie doskonale skrojony ciemnopopielaty garnitur z miękkiej, angielskiej flaneli. Szpakowate włosy były starannie zaczesane do tyłu.

- Witam panów.

Skłonił się bardzo uprzejmie, ale z pewną rezerwą. Podeszedł bliżej i wyciągnął rękę.

- Panowie pozwolą, że się przedstawię. Nazywam się Małogórski. Proszę mi wybaczyć, że kazałem panom chwilę czekać, ale byłem już częściowo rozebrany.

Wymienili swoje nazwiska i uścisnęli delikatną, wypielęgowaną dłoń.

- Czy pan jest kierownikiem tego... tego lokalu? — spytał Olszewski.

- Tak. Jestem jednym z dyrektorów.

- Gdzie moglibyśmy spokojnie porozmawiać bez świadków?

- Chyba najlepiej w moim gabinecie. Proszę, może panowie pozwolą.

Poszli na górę. Kociuba był coraz bardziej oszołomiony panującym tu luksusem. „Niczym pałac królewski w Łazienkach” — myślał.

Znaleźli się w przestronnym pokoju, w którym stały wygodne fotele, duże, ciężkie biurko oraz szafy z książkami. Na podłodze puszysty dywan. Pod oknem bar.

- Czy można panów poczęstować małym drinkiem?

Olszewski potrząsnął głową.

- Bardzo dziękujemy. Niech się pan nie trudzi. Nasza wizyta ma charakter czysto służbowy i dlatego...

- Rozumiem. Słucham panów.

- Czy nazwisko Zenon Mierzycki coś panu mówi?

- Oczywiście. To nasz pracownik. Razem ze mną kieruje tym lokalem.

Olszewski utkwiał w „panu Wiktorze” badawcze spojrzenie.

- Wobec tego mam dla pana smutną wiadomość. Pan Mierzycki nie żyje, dziś po południu został zamordowany.

- To bardzo przykre — powiedział Małogórski takim tonem, jakby chodziło o kupno biletów do kina.

- Widzę, że pan niezbyt się tym przejął — zauważył Kociuba.

Małogórski ruchem pełnym rezygnacji rozłożył ręce.

- No cóż, panie poruczniku, po prostu bardzo dużo już w życiu widziałem i przeżyłem i, prawdę mówiąc, przestałem się czymkolwiek przejmować. Przychodzi taki moment, że człowiek nie potrafi się ani czymś przejąć, ani zdziwić, ani nawet ucieszyć się szczerze, prawdziwie. Przykro mi, że Zenon nie żyje. Lubilem go.

- Jak dawno znał pan pana Mierzyckiego? — spytał Olszewski.

- Poznałem go tutaj, w zeszłym roku na jesieni.

- To znaczy, jak pan zaczął tu pracować.

- Tak. Przepraszam, panie poruczniku, czy mogę o coś zapytać?

- Proszę?

- Od kogo panowie dowiedzieli się, że Zenon Mierzycki pracował tutaj?

- Krasnoludki nam powiedziały — uśmiechnął się Olszewski.

- Przepraszam. Moje pytanie było rzeczywiście nie na miejscu.

Olszewski nie podtrzymał tego tematu. Odchrząknął i pytał dalej:

- A czy pracuje tu u panów niejaki Wojciech Kalina?

- Tak. Pracuje. Jest ogrodnikiem.

- Czy można by się z nim zobaczyć?

- Niestety, jeszcze nie wrócił z Warszawy.

- Często Kalina wyjeżdża do Warszawy?

- Zasadniczo ma wolny jeden dzień w tygodniu, poniedziałek.

- A dzisiaj jest czwartek — zauważył Olszewski.

- Tak, dzisiaj wyjątkowo pozwoliłem mu wyjechać. Na

wieczór miał wrócić. Nie wiem, dlaczego jeszcze go nie ma.

- A czy jakoś uzasadnił ten swój dzisiejszy wyjazd do Warszawy?

- Tak. Otrzymał kartkę od Zenona Mierzyckiego, który prosił go, żeby przyjechał.

- Widział pan tę kartkę?

- Tak. Wojtek pokazywał mi ją. Dlatego pozwoliłem mu pojechać.

- Czy Kalina pozostawał w dobrych stosunkach z panem Mierzyckim?

- Raczej tak. Ostatnio podobno doszło między nimi do jakiejś awantury. Ja przy tym nie byłem. Dokładnie nie wiem, o co im poszło...

- Czy ktoś był świadkiem tej awantury?

- Zdaje się, że Ksawery, służący, coś słyszał.

- Czy można by poprosić na chwilę Ksawerego?

- Oczywiście. Zaraz go zawołam.

Po chwili do gabinetu wszedł łysy człowiek w czarnym garniturze. Jego nieruchoma, jakby w kamieniu wyrzeźbiona twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Podobno słyszał pan, jak Wojciech Kalina awanturował się z panem Mierzyckim — powiedział Olszewski.

- Tak — padła lakoniczna odpowiedź.

- Może nam pan opowie, jak to było.

- Przechodziłem akurat koło pokoju pana dyrektora Mierzyckiego i usłyszałem krzyki. Wojtek krzyczał.

- Co krzyczał?

- Ubliział panu dyrektorowi. Najgorszymi wyrazami ubliział.

- Ale o co im poszło?

- Nie wiem na pewno, ale chyba o dziewczynę.

- O dziewczynę? — zdziwił się szczerze Olszewski.

- Tak. O ile dobrze pamiętam, to pan Mierzycki mówił: „Uspokój się. Nie wiedziałem przecież, że to twoja dziewczyna...”

- Czy pan wszedł do tego pokoju, w którym się to wszystko odbywało?

- Wszedłem. Myślałem, że trzeba pomóc panu dyrek-

torowi.

- I co pan zobaczył, jak pan wszedł?

- Zobaczyłem pana dyrektora i Wojtka. Pan dyrektor miał pistolet w rękę, a Wojtek był czerwony jak burak. Gdyby nie ten pistolet, to chyba byłby się rzucił na pana dyrektora.

- Co więcej może pan dodać w tej sprawie?

Ksawery wzruszył ramionami.

- Więcej nic. Wszystko już powiedziałem.

- Dziękuję panu.

Ksawery uklonił się i wyszedł. Małogórski spojrzął na oficerów.

- Czy mogę jeszcze panom czymś służyć? — spytał.

Olszewski kiwnął głową.

- Tak. Chcielibyśmy zobaczyć pokój Kaliny.

- Bardzo proszę.

Dokładne przeszukanie kwatery Wojtka zabrało im sporo czasu. Nie znaleźli jednak nic godnego uwagi. Dopiero kiedy Kociuba zabrał się do przeszukiwania wiszących w szafie ubrań, z kieszeni jednej marynarki wyjął kopertę, z której wydobył kartkę papieru: „Mam do ciebie pilną sprawę. Przyjedź do mnie dzisiaj punktualnie o siedemnastej. Zenon”.

- Spójrz — powiedział Kociuba, podając Olszewskiemu kartkę.

- Zaproszenie na dzisiejsze spotkanie.

- Na to wygląda.

- Maszynopis.

- Maszynopis — powtórzył jak echo Kociuba. —

Dziwne.

Olszewski jeszcze raz dokładnie przyjrzał się kartce.

- A może to jakaś dawna sprawa? Może nie chodzi o dzisiejszy dzień? — A zwracając się do Małogórskiego, spytał: — Czy to tę kartkę pokazywał panu Kalina?

- Tak. Chyba to ta kartka.

- Czy mógłby pan jeszcze raz poprosić cio nas tego człowieka, z którym rozmawialiśmy w pańskim gabinecie?

- Oczywiście. Zaraz go zawołam.
- Ksawery miał zrezygnowaną minę.
- Słucham panów?
- Czy pan coś wie o liście, który dzisiaj otrzymał Kalina?
- spytał Olszewski.
- Tak. Sam mu go przyniosłem.
- Czy to była biała koperta?
- Tak. Wydaje mi się, że biała.
- Czy ten list przyszedł pocztą?
- Nie. Jakiś chłopak przywiózł go na motorze.
- Jak wyglądał ten chłopak?
- Zwyczajnie, jak chłopak. Nic specjalnego.
- Czy pan sobie przypomina, w jakim ubraniu był Kalina w momencie, kiedy pan dostarczył mu ten list?
- Tak. Miał na sobie taki brązowy garnitur w kratkę. Kociuba podszedł do szafy i wyjął z niej marynarkę, w której znalazł list.
- Czy to to ubranie?
- Tak.
- W porządku.
- Czy jeszcze jestem panom potrzebny? — spytał Ksawery, cofając się do drzwi.
- Olszewski zatrzymał go ruchem ręki.
- Chwileczkę. Wspomniał pan, że w tej awanturze między Kaliną a panem Mierzyckim chodziło o dziewczynę.
- Tak mi się zdawało.
- Czy domyśla się pan, o jaką dziewczynę konkretnie chodziło?
- Ksawery potrząsnął głową.
- Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć? Może... Bo ja wiem... Może o tę Marcysię?
- Co to za Marcysia?
- Taka dziewczucha. Pracowała tu kiedyś w kuchni. Wydawało mi się, że Wojtek z nią sympatyzuje.
- Czy pracuje tu jeszcze?
- Nie. Odeszła. To znaczy... Trzeba ją było odprawić. Za ładna. A Wojtek nie dał do niej przystąpić żadnemu

chłopakowi. Z tego wynikały rozmaite nieporozumienia.

- Gdzie można by teraz znaleźć tę dziewczynę? Ksawery wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem. Nawet nie wiem, czy jest w Warszawie.

- A pan? — Olszewski zwrócił się do Małogórskiego. — Może pan coś wie na temat tej Marcysi?

- Nie. Niewykluczone, że Zenon Mierzycki gdzieś ją ulokował, ale nic pewnego nie wiem. A Zenon nie żyje.

- Tak. Nie żyje — powtórzył Olszewski — iw niczym nie może nam pomóc. Proponuję, żebyśmy się przenieśli z powrotem do pańskiego gabinetu.

Małogórski skłonił się usłużnie.

- Proszę uprzejmie. Jestem do dyspozycji panów.

Znowu zasiedli w wygodnych fotelach, przeznaczonych raczej do poobiedniej drzemki, a nie do zasadniczych rozmów. Małogórski przyjął postawę wyczekującą. Kolejno przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą.

Pierwszy przerwał milczenie Olszewski.

- Więc pan jest zarządzającym tego całego interesu?

- Tak.

- A właścicielem jest...

- Pan King Meysnel — odpowiedział Małogórski.

- To nie jest Polak.

- Nie, Amerykanin włoskiego pochodzenia.

- Czy pan Meysnel często tu przyjeżdża?

- Bardzo rzadko.

- Gdzie mieszka?

- W tej chwili w Warszawie.

- Czy może mi pan dać jego adres i telefon?

- Służę panu — Małogórski wyrwał z notesu kartkę i skreślił na niej parę słów.

- Czy pan Meysnel znał pana Mierzyckiego? — pytał dalej Olszewski.

- Oczywiście.

- Czy pozostawali w przyjacielskich stosunkach?

- O ile się orientuję, to nie. To był raczej stosunek służbowy.

- Ale pan Meysnel nie był jakoś niechętnie usposobiony do pana Mierzyckiego?

- Nie. Wprost przeciwnie. Cenił go jako dobrego i solidnego pracownika. Nie sądzi pan chyba, że Meysnel...?

- Ja nic nie sądzę — przerwał energicznie Olszewski. — Na razie usiłujemy zebrać trochę informacji. Może pan nam jeszcze powie, jak pan ocenia działalność tego lokalu, którym pan zarządza?

- Bardzo pozytywnie. Staramy się utrzymać lokal na najwyższym poziomie.

- Zapewne i towarzystwo macie tu także doborowe.

- Wpuszczani są wyłącznie goście posiadający specjalne karnety albo ci, którzy otrzymali jednorazowe zaproszenie.

- Ale dzisiaj to ruch tutaj u was nie bardzo... — zauważył Kociuba.

Małogórski uśmiechnął się.

- Dzisiaj w ogóle nie mamy żadnego ruchu. Weszliśmy właśnie w fazę pewnej reorganizacji i dlatego...

- Jakaż to reorganizacja? — spytał Olszewski.

- Projektujemy urządzenie pensjonatu dla zagranicznych gości. Z restauracją, oczywiście, z dansingiem. Korty tenisowe, konie pod siodło i takie różne atrakcje.

- Rozumiem. — Olszewski spojrział na zegarek. — Bardzo późno. Nie będziemy panu dłużej zabierali czasu. Dziękujemy za rozmowę i dobranoc.

Wrócili do Warszawy w nieomal zupełnym milczeniu. Obaj pogrążyli się w rozmyślaniach. Każdy z nich przeżuwał to, co usłyszał i zobaczył.

Była już głęboka noc, kiedy weszli do komendy. Pomimo zmęczenia żaden z nich nie myślał o spaniu. Kociuba zaparzył mocnej herbaty i wyjął z szuflady biurka wczorajsze kanapki z serem.

- No i co? — spytał, nasypując cukier do szklanek.

Olszewski wzruszył ramionami.

- No, cóż. Sprawa nie taka prosta.

- Już nie jesteś przekonany o tym, że Mierzyckiego zamordował Kalina?

- Przyznać muszę... — pokiwał głową Olszewski — że zaczynają we mnie kiełkować pewne wątpliwości.

- A widzisz — ucieszył się Kociuba. — Ja ci od razu mówiłem, że to nie taka prosta sprawa. Teraz już doskonale przypomniałem sobie tamtą dawną historię. Mam przed oczami tego Wojtka Kalinę. Chłopak zupełnie surowy, głupi, naiwny, dał się wtedy wciągnąć bandziorem i zaplątał się w paskudną sprawę. Ale, moim zdaniem, to nie jest typ mordercy, który zabija z zimną krwią. W kłótni, w bójkę, to co innego, ale tak przyjechać i zastrzelić faceta... To mi do niego nie pasuje. Poza tym, zastanów się chwilę, to wszystko tu właściwie nie klapuje. No bo tak: gosposia otrzymuje kartkę, żeby przysłała o siedemnastej. Kalina także otrzymuje kartkę, żeby przyjechał o siedemnastej. Gosposia wchodzi do mieszkania parę minut po siedemnastej i już zastaje Mierzyckiego zamordowanego. W tych warunkach nie ma mowy o jakiejś sprzeczce, o jakiejś rozmowie. Musielibyśmy założyć, że Kalina wpadł do mieszkania i natychmiast zastrzelił Mierzyckiego. Nie widać tu motywów zbrodni, a poza tym w jakim celu Mierzycki wezwał tego chłopaka do siebie? Przecież nie po to, żeby dać się zastrzelić.

- Czego ty właściwie chcesz dowieść? — spytał Olszewski.

- Na razie nie chcę jeszcze niczego dowodzić — Kociuba był wyraźnie podniecony własnym pomysłem. — Chciałbym tylko wysunąć hipotezę, że ktoś postanowił obarczyć tą zbrodnią Kalinę, że cała historia została wyreżyserowana przez prawdziwego mordercę.

Olszewski uśmiechnął się sceptycznie.

- Załóżmy, że twoje rozumowanie jest prawidłowe. Ale teraz wytłumacz mi, z łaski swojej, w jaki sposób morderca mógł przewidzieć, że Kalina przyjdzie przed gosposią do Mierzyckiego? Przecież równie dobrze mogło się stać odwrotnie.

Kociuba trochę się stropił, ale zaraz ruszył do kontrnatarcia.

- Czy nie możesz sobie wyobrazić, że morderca po prostu

pilnował bramy i w razie gdyby gosposia przyszła przed Kaliną, byłby ją zatrzymał pod jakimkolwiek pretekstem?

- Na przykład pod jakim pretekstem?

Kociuba niecierpliwie wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Można znaleźć tysiące sposobów na to, żeby zatrzymać człowieka na ulicy. Można spytać o drogę, o godzinę, można prosić o pomoc, można symulować zaśląbnięcie...

- Zgoda — pokiwał głową Olszewski. — Wszystko można, ale po pierwsze, jak długo zdołasz zatrzymać człowieka na ulicy, pytając o drogę, a po drugie, jakiego to trzeba opanowania, jakich nerwów, żeby zamordowawszy człowieka czatować przy bramie jego domu?

- Zdarzają się ludzie z żelaznymi nerwami.

Olszewski zapalił papierosa i zamyślił się.

- Wiesz co, Franek? — powiedział po chwili. — Ty wcale nie jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz.

- Dziękuję ci — roześmiał się Kociuba. — Cenię twoją szczerłość. Jeżeli jednak...

- Zaczekaj — przerwał mu Olszewski. — Bo widzisz, mnie także właściwie zastanawiają te dwie kartki. Jedna napisana ręcznie, a druga na maszynie. Ciekawe, że w mieszkaniu Mierzyckiego nie znaleźliśmy maszyny do pisania.

- Nie musiał tego pisać u siebie w mieszkaniu — zauważył Kociuba.

- Oczywiście. Ale czy ty sobie wyobrażasz, żeby facet specjalnie poszedł do kogoś, zasiadł przy maszynie, żeby napisać tych parę słów. Napisałby po prostu ręcznie, tak jak do gosposi. Istnieje niewątpliwie taka ewentualność, że zupełnie przypadkowo znalazł się w domu, gdzie była maszyna, i wystukał ten tekst, ale, szczerze mówiąc, to dosyć mało prawdopodobne.

- Jakie są nasze dalsze plany? — spytał nagle Kociuba. który w tym właśnie momencie poczuł ogarniające go ogromne zmęczenie.

- Sądząc po twojej minie, to w najbliższej przyszłości

przewidziana jest maleńka drzemka — odparł z uśmiechem Olszewski.

Kiedy Kociuba wrócił do domu, Hanka już spała. Zdjął więc w przedpokoju buty i po ciemku próbował trafić do swego łóżka. Po drodze przewrócił krzesło i stolik, na którym stał telefon.

- Jezus Maria! — krzyknęła Hanka, zapalając światło. — To ty, Franek?

- Ano, ja — odparł markotnie. — Spisz, Hanuś?

- Teraz już nie śpię. Myślałam, że się cały dom wali.

- Przepraszam cię. Chciałem cicho.

Usiadła na łóżku i patrzyła na niego ponuro.

- Jesteś skończona Świnia — powiedziała po chwili.

- Świnia? Ja? — zdziwił się szczerze. — Ależ, Haneczko, co też ty?

- A niby co, jak nie Świnia?! — wybuchnęła gwałtownie. — Wracasz nad ranem i nawet nie jesteś łaskaw zatelefonować. Do późna czekałam na ciebie z kolacją. Strasznie się denerwowałam. Myślałam, że ci się coś złego stało. Jak tak można? Dzwoniłam do komendy. Powiedzieli, że już dawno wyszedłeś. Żeby nie dać znać... żeby nie zadzwonić... Świnia jesteś i tyle.

- Nie wiedziałem, że się tak przeciągnie — próbował się tłumaczyć.

- Ale jak się przeciągnęło, to mogłeś mnie zawiadomić. Nie?

Miał bardzo skruszoną minę.

- Bardzo cię przepraszam, Hanuś, ale ja jeszcze nie przywykłem.

- Do czego nie przywykłeś?

- Do tego, żem żonaty.

- Ach tak...?! — poderwała się z łóżka. — To w ogóle zapomniałeś, że ja istnieję. Tak? To taki z ciebie drań.

- O, Jezuniu — jęknął Kociuba.

- Pewno byłeś u jakiejś baby — natarła gwałtownie Hanka. — Lepiej się od razu przyznaj.

- U jakiej znowu baby? Coś ty, Hanuś...? Służbowo byłem

cały czas zajęty. Morderstwo. Rozumiesz? Zamordowano faceta na Mokotowie.

- To co z tego, że zamordowano? Ale zadzwonić mogłeś.

- Miej litość. Jestem taki skonany, że bożego świata nie widzę.

Rano obaj z Olszewskim nie robili wrażenia wyspanych. Wzmocnili się czarną kawą, wsiedli do wozu i pojechali na Saską Kępę.

Na próżno jednak dzwonili i dobijali się do drzwi, na których widniała mosiężna tabliczka z napisem: King Meysnel. Nikt nie otwierał. Nawiązali więc kontakt z dozorczynią, kobietą niestara, za to przesadnie odżywioną. Okrągła, puciołowata twarz opierała się na paru malowniczo sfałdowanych podbródkach.

- Pan Meysnel? — powiedziała dźwięcznym sopranem. — O, jego to trudno zastać, bardzo trudno.

- Ale jeszcze tutaj mieszka? — spytał Olszewski.

- Mieszkać mieszka, ale rzadko bywa w mieszkaniu.

- Nie nocuje?

- Owszem, nocuje. Zresztą, dokładnie nie powiem.

- Jak dawno pan Meysnel zajmuje to mieszkanie?

- Będzie już z rok czasu, a może i lepiej. Faktycznie to nie jego mieszkanie, tylko państwa Dziewulskich.

- Razem mieszkają?

- Nie. Państwo Dziewulscy są za granicą. Wyjechali. Służbowo. Wynajęli panu Meysnelowi to mieszkanie i wyjechali.

- Czy ktoś sprząta to mieszkanie?

- Oczywiście. Ja sprzątam.

- To znaczy, że pani ma klucze od mieszkania.

- Jakżeby inaczej.

Popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Obaj mieli ochotę zajrzeć do mieszkania pana Kinga Meysnela, ale bez wyraźnego powodu i bez nakazu prokuratora nie mogli tego zrobić. Pożegnali więc zażywną dozorczynię i wrócili do wozu.

- Słuchaj, Franek — powiedział Olszewski, klepiąc

Kociubę po ramieniu. — Musimy się rozstać. Ty podskoczysz jeszcze do tego „pałacu”, a ja zajrzę do mieszkania Mierzyckiego. Nie zapomnij rzucić okiem na pokój Mierzyckiego w pałacu, bo na pewno miał tam jakieś swoje lokum, i solidnie wypytaj cały personel. Wczoraj było późno. Nie chciałem ich wszystkich budzić. Bierz samochód. Ja pojedę tramwajem. Prawdę mówiąc, coraz bardziej śmierdzi mi ta sprawa.

Zostawszy sam w wozie, Kociuba puścił wodze fantazji. Do zabójstwa Mierzyckiego dorabiał najrozmaitsze fabuły, coraz bardziej sensacyjne i coraz mniej prawdopodobne. Wreszcie znużyła go ta literacka działalność i zaczął obserwować krajobraz.

Pan Wiktor był nieco zdziwiony powtórными odwiedzinami porucznika, ale najmniejszym nawet gestem nie dał poznać po sobie, że nie zachwyca go perspektywa pogawędki z funkcjonariuszem MO. Był niezwykle uprzejmy, nieomal serdeczny.

- Proszę. Proszę uprzejmie. Cóż pana znowu do nas sprowadza, panie poruczniku?

Kociuba wyjaśnił, że chciałby jeszcze dodatkowo obejrzeć pokój Zenona Mierzyckiego oraz zamienić parę słów z personelem.

Dokładne przeszukanie pokoju nie dało żadnych interesujących rezultatów. Nie było w nim nic takiego, co mogłoby rzucić choćby odrobinę światła na osobowość zamordowanego. Ubrania, bielizna, przybory toaletowe. Nic specjalnego.

Przesłuchanie służby także nie wniosło nic nowego do sprawy. Dopiero rozmowa ze stróżem dostarczyła pewnych interesujących informacji.

- Imię i nazwisko?

- Kacperski Antoni.

- Czy słyszeliście, że dyrektor Mierzycki został zamordowany?

- Słyszałem. I tak sobie myślę, czy to czasem nie te bandziory.

- Jakie bandziory?

- A przyszli tu kiedyś tacy trzej i chcieli łać pana dyrektora. Tak słyszałem.

- Ale nie widzieliście tego na własne oczy?

- Na własne oczy to tylko widziałem, jak ich Wojtek łaadował nieprzytomnych do wozu.

- Dlaczego nieprzytomnych?

- Bo im Wojtek dał taki wycisk, że nie można ich było docucić.

- Kto był świadkiem tej sceny?

- Myślę, że Ksawery.

Ksawery potwierdził, że rzeczywiście zdarzyła się taka awantura.

- Jak wyglądali ci ludzie? — spytał Kociuba.

- Tędy, mocno zbudowani.

- Przyjechali wozem?

Ksawery skinął głową.

- Tak. „Oplem”, szarym „Oplem”.

- I Kalina tak ich poturbował?

- Za mocno bił.

- Pan to widział?

- Tak.

- I coście później z nimi zrobili?

- Nie mogliśmy ich docucić. Wpakowaliśmy więc wszystkich trzech do ich wozu. Wojtek usiadł przy kierownicy, a ja pojechałem za nimi naszym wozem, żeby potem zabrać Wojtka.

- I gdzieście ich zawieźli?

- Na Hożą. Wojtek zaparkował wóz przed pogotowiem i wrócił ze mną,

- I nie zameldowaliście o tym w pogotowiu?

- Nie.

- To źle. Przecież mogli poumierać bez opieki lekarskiej.

- E... — Ksawery miał niewyraźną minę. — Wątpię, żeby im się coś stało. Żyli.

- Czy przed tą bójką rozmawiali z panem Mierzyckim?
- Nie. Nic nie mówili, tylko jeden z nich podszedł do pana dyrektora i chciał go uderzyć, wtedy Wojtek...

- Czy poznałby pan tych ludzi?

- Może, ale wątpię. Tyle osób tutaj się przewija, że trudno spamiętać wszystkie twarze.

- I pan Mierzycki także do nich nic nie powiedział? Nie wymienił żadnego imienia ani nazwiska?

- Nie. Nie miał czasu nic powiedzieć.

- A po tym zajściu nic na ten temat nie mówił?

- Ja nic nie słyszałem. Może pan Mierzycki rozmawiał na ten temat z panem dyrektorem Małogórskim.

Kociuba poszedł więc do „pana dyrektora Małogórskiego”, ale ten także nic nie potrafił powiedzieć.

- Pytałem nawet Zenona, o co to poszło. Nie miał ochoty mówić o tym incydencie, więc nie nalegałem. Wreszcie, co mnie to obchodzi.

- Ci panowie mieli najwyraźniej jakiś żal do pana Mierzyckiego — uśmiechnął się Kociuba.

- Można by tak przypuszczać.

- I już więcej nie pokazali się tutaj?

- Nie. W każdym razie ja nic o tym nie wiem.

Kociuba doszedł do wniosku, że dalsze pozostawanie w „pałacu” jest bezcelowe. Pożegnał Małogórskiego, wsiadł do wozu i pojechał do Warszawy.

- Zajedziemy na chwilę na Hożą — zwrócił się do kierowcy, kiedy znaleźli się na moście Poniatowskiego. — Zaparkujcie wóz przed pogotowiem.

W pogotowiu jednak nikt nic nie wiedział o szarym „Opalu”, w którym znajdowali się nieprzytomni mężczyźni. Najwidoczniej przyszli do siebie i zrezygnowali z pomocy lekarskiej.

„Głupia sprawa, cholernie głupia sprawa” — myślał Kociuba jadąc do komendy.

Olszewski już na niego czekał. Z dużym zainteresowaniem wysłuchał opowiadania o wizycie w „pałacu”.

- Jakieś porachunki gangsterskie — powiedział za-

myślony. — Wygląda na to, że mamy nowych kandydatów na morderców. W pogotowiu byłeś?

- Byłem. Nic nie wiedzą.

- Hm... — Olszewski zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. — Warto by rozejrzeć się za szarym „Oplem”.

Kociuba uśmiechnął się.

- Nie zgłaszam sprzeciwu. Tylko gdzie szukać szarego „Opla”. A teraz może mi powiesz, co ty zdiagnozowałeś?

- Niewiele. Przeszukałem dosyć dokładnie mieszkanie Mierzyckiego. Znalazłem trochę jego notatek bez znaczenia, a oprócz tego...

- Mam nadzieję, że dałeś do ekspertyzy te notatki.

- Oczywiście. Trzeba je przecież porównać z tą kartką, którą otrzymała gospoia.

- Maszyny do pisania nie znalazłeś?

- Ani śladu. Albo więc jest to jakaś fikcja, albo Mierzycki napisał tę kartkę u kogoś, może w jakimś biurze. Znalazłem natomiast książkę z dedykacją. Zobacz.

Kociuba wziął do ręki tomik w twardej oprawie i przeczytał:

- „Sztuka fałszerzy — Fałszerze sztuki”. Ciekawe.

- Spójrz na dedykację.

„Niezawodnemu kumpłowi Zenonowi tę pouczającą lekturę ofiarowuje zawsze wierny i oddany Gabriel.” — Cóż to znowu za Gabriel?

- Diabli go wiedzą.

- Nie mieszaj Gabriela z diabłami — uśmiechnął się Kociuba.

- Masz rację. Przepraszam.

Kociuba jeszcze raz spojrzął na dedykację.

- „Niezawodnemu kumpłowi...” Hm... Może się zdarzyć, że niezawodny kumpel w pewnym momencie staje się zawodny, a wtedy...

- ...a wtedy Gabriel przestaje być wiernym i oddanym Gabrielem — uzupełnił Olszewski.

- Otóż to. Wiesz, co ci proponuję? Spróbujemy sprawdzić, czy w ostatnich tygodniach jakiś Gabriel nie

wyszedł z pudła.

- Myślisz, że...

- Właśnie tak myślę. Mierzycki miał brzydki zwyczaj sypać swoich kumpli w razie niebezpieczeństwa. Tak było i z Wojtkiem Kaliną. Prawdopodobnie to nic nie da, ale spróbować można. Czy jeszcze coś zdobyłeś?

- Jeszcze i to... — Olszewski posunął po biurku płaskie tekturowe pudełko.

Zaciekawiony Kociuba otworzył je pospiesznie.

- Wosk czy...?

- Nie dotykaj! — krzyknął ostrzegawczo Olszewski.

- Ale co to jest?

- Przyjrzyj się dobrze.

Kociuba pochylił się nad pudełkiem.

- Odcisk zamka — powiedział zdziwiony. — Czyżby Mierzycki dorabiał klucze?

- Właśnie. Czyżby Mierzycki dorabiał klucze? — powtórzył Olszewski. — Dosyć dziwne.

- Nawet bardzo.

- Co ty o tym sądzisz?

Olszewski sięgnął po nowego papierosa.

- Sądzę — odparł powoli — że musimy się dowiedzieć, do czyjego mieszkania chciał się niepostrzeżenie dostać Mierzycki.

- I wydaje ci się to rzeczą prostą?

- Wprost przeciwnie, wydaje mi się to rzeczą bardzo skomplikowaną.

- To nie może być związane z jakimś ordynarnym, zwykłym włamaniem — zastanawiał się głośno Kociuba.

- Na pewno nie. Mierzycki za dobrze zarabiał, żeby się łakomić na parę starych garniturów i ewentualnie jakiś tranzystor. Powód musiał być o wiele poważniejszy.

- Duża forsa.

- Albo chęć zdobycia jakichś dokumentów.

Kociuba spojrział z zainteresowaniem.

- O! Przyznaję, że to mi nie przyszło do głowy. Czyżbyś podejrzewał aferę szpiegowską?

- Cenne dokumenty są związane nie tylko z aferami szpiegowskimi. Mogą to być jakieś zapiski rodzinne albo papiery kompromitujące kogoś.

— Masz na myśli materiały, które ewentualnie mogłyby posłużyć do szantażu?

- Właśnie. O ile zdążyłem się zorientować, Mierzycki byłby chyba zdolny do takiej działalności.

- Na pewno — powiedział z przekonaniem Kociuba. — Wszystko wskazuje na to, że był to cwaniak, łajdak, człowiek bez żadnych skrupułów.

- Jeżeli do tego okaże się, że morderca jest szlachetną, świetlaną postacią — uśmiechnął się Olszewski — to możemy dojść do dosyć oryginalnego wniosku, że ta zbrodnia posiada wszelkie cechy pozytywnej działalności i że jest godna pochwały.

- Nie żartuj. Powiedz lepiej, jaki proponujesz dalszy ciąg naszej akcji?

Olszewski skinął głową.

- Dobrze. Przechodzimy na poważny, służbowy ton. A więc przede wszystkim, obywatelu poruczniku, proponuję odnalezienie Kinga Meysnela oraz szarego „Opla”.

- Jaki podział ról?

- To nie ma znaczenia. Ponieważ ty jesteś zwolennikiem motoryzacji, to szukaj tego „Opla” Ja spróbuję jeszcze powęszyć w okolicy mieszkania na Saskiej Kępie.

Kociuba, nie tracąc czasu na teoretyczne rozważania, skomunikował się natychmiast z komendą na Wilczej, gdzie kiedyś zaczynał warszawską karierę. Nikt jednak nic nie wiedział ani o szarym „Oplu”, ani o poturbowanych ofiarach Wojtka Kaliny. To było tak dawno i tyle się od tego czasu zdarzyło, że trudno było natrafić na człowieka, który by coś wiedział o tym mało znaczącym incydencie.

Kociuba nie tracił nadziei i uparcie wypytywał kolegów, nie pomijając nawet maszynistek i innych urzędniczek, pracujących w komendzie. Ta jego wytrwałość została

wreszcie nagrodzona sukcesem.

— Sierżant Borczuk — powiedziała sekretarka komendanta. — Coś mi się przypomina, że on miał do czynienia z podobną sprawą.

Kociuba odnalazł sierżanta Borczuka, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności był w komendzie i pisał jakieś raporty. Robił wrażenie zadowolonego, że może na chwilę oderwać się od pracy i pogadać.

- Tak, owszem, pamiętam. Była taka historia, obywatelu poruczniku. Szedłem Hożą późnym wieczorem. Patrzę, stoi przed pogotowiem wóz, a w nim ni to siedzą, ni to leżą jacyś faceci. Zastanowiło mnie to. Myślałem, że pijani. Podchodzę bliżej i widzę, że gramolą się, ale jakoś tak niewyraźnie. Otwieram drzwiczki wozu, przyglądam im się dokładniej. Wódki nie czuję, a oni jakby pobici, i to zdrowo. Zabrałem ich razem z wozem do komendy. Ale na Wilczej już się ocknęli i chcieli jechać sami. Spytałem, co się stało? Kto ich tak pokiereszował? Powiedzieli, że głupstwo, że nieporozumienie, że nie ma o czym gadać. Podziękowali i pojechali.

- Nie spisaliście personaliów?

- Nie. Może źle zrobiłem, ale właściwie nie było powodu. Nic się nie stało. Ani żadnego wypadku, ani żadnego zakłócenia ruchu. Oni także żadnej skargi nie wnosili.

- Jaki to był wóz?

- O ile sobie przypominam, to był „Opel”. Ale zaraz sprawdzę.

Sierżant wyjął z kieszeni pokaźnych rozmiarów notes i zaczął go pilnie wertować. Wreszcie wykrzyknął triumfalnie:— O, jest! — kładąc jednocześnie palec na notatce.

- Zapisaliście numer rejestracyjny — ucieszył się Kociuba.

Sierżant Borczuk spojrzał na niego zgorzony.

- A jakżeby inaczej. Jak widzę coś podejrzanego, to pierwsza rzecz notuję markę wozu i numer rejestracyjny.

- Rejestracja szczecińska.

- Tak jest. Szczecin.

- I nic nie mówili? Nic nie opowiadali o swojej przygodzie?

- Nie. Podziękowali mi tylko grzecznie i pojechali.

- Sprawdzaliście książkę wozu, prawo jazdy?

- Sprawdzalem. Wszystko było w porządku.

- Nazwiska nie pamiętacie?

- Nie.

Kociuba zamyślony wyszedł z komendy. Kiedy znalazł się na Marszałkowskiej, zachciało mu się pić. Wstąpił więc do „Baryłeczki”. Siedząc nad kuflem piwa, zastanawiał się, co dalej? Jechać do Szczecina? Chyba tak. Jeżeli ma odnaleźć tego szarego „Opla”, to musi wyruszyć nad morze. Czy to co da? Czy to nie strata czasu? Pan Bóg wie. W jakim celu ci faceci przyjechali ze Szczecina do Warszawy? Czy tylko po to, żeby pobić Mierzyckiego? Bardzo wątpliwe. To chyba tak tylko, przy okazji.

Wypił piwo, wsiadł w tramwaj i wrócił do komendy. Został Olszewskiego w stanie dużego podniecenia.

- Znalazłem.

- Co znalazłeś?

- Znalazłem Gabriela, który na wiosnę wyszedł z pudła. Nazywa się Rupiński, Gabriel Rupiński.

Rozdział IX

Wojtek był zupełnie załamany. W jednej chwili stracił wszystko to, na czym budował swoją przyszłość. Tysiące złotych, dolary, funty szterlingi, marki zachodnioniemieckie, korony szwedzkie, cały ten przez wiele miesięcy ciulany majątek przepadł bezpowrotnie. Na domiar złego on sam był ścigany przez milicję jako morderca. Pewno już za nim rozesłano listy gończe. Pewnie jego fotografię pokazywano w telewizji, wydrukowano w gazetach. Rany boskie! Gdzie tu się ukryć? Gdzie znaleźć taką zakazaną dziurę, w której by go nie przyskrzynili?

Czy w ogóle dobrze zrobił, że uciekł? To pytanie nie dawało mu spokoju. Może powinien być zostać i zawiadomić milicję o tym, co się stało? Może byliby mu uwierzyli, że to nie on zastrzelił Zenona? Ale zaraz pojawiły się wątpliwości. Kto by mu uwierzył? Jeszcze nie ma roku, jak wyszedł z więzienia. Dla milicji jest i zawsze będzie kryminalistą, podejrzanym typem, zdolnym do zrobienia każdego świństwa. Natychmiast by go zamknęli, a potem się tłumacz. Co miał na swoje usprawiedliwienie? Nic, absolutnie nic. Ta baba zastała go nad trupem Zenona. W jaki sposób mógł udowodnić, że to nie on zabił? A jeżeliby pojechali do pałacu i tam dowiedzieliby się o tej awanturze z Zenonem...? Nie, musiał uciekać.

Nie było innego wyjścia, musiał uciekać. Zresztą teraz to już nie miało żadnego znaczenia. Swoją ucieczką przyznał się do winy. Człowiek niewinny nie ucieka. Ale czy mógł nie uciekać? Nie mógł.

Co dalej? Co robić? Gdzie się podziać? Niełatwo było znaleźć odpowiedzi na te pytania. Uciekać... uciekać jak najdalej... Ale jak? Wiedział, że czasem uda się komuś zadekować na jakimś frachtowcu, ale wiedział także, że to bardzo trudna sprawa i że trzeba dobrze zapłacić. Żaden marynarz nie będzie ryzykował takiego numeru za byle grosze. Musi dostać dużą forszę. A on czym dysponuje? Cała

forsa została w pałacu, przy sobie ma te parę głupich tysięcy. Co to znaczy! Rozejdzie się błyskawicznie. Ani się obejrzy, jak nie będzie miał co do gęby włożyć. Sytuacja, psiakrew!

I potrzebne mu było to wszystko? Pracowałby sobie spokojnie w fabryce i niczym by się nie przejmował. Ale zachciało mu się dużych zarobków, cholera jasna. Zaimponował mu pałac, dolary, zagraniczni goście. Ma teraz pałac i dolary. Długo będzie się mógł obijać po Gdyni? Zaraz go milicja przyuważy i do pudła. Teraz już się paroma latami nie wymiga. Powieszają, jak Bóg na niebie, powieszają. Odruchowo dotknął palcami szyi, jakby mu już zakładano stryczek. Alełm sobie narobił, alełm sobie narobił... Matko jedyna.

Do Gdyni przyjechał nad ranem. Chciał pójść do hotelu przy dworcu, ale nie miał odwagi. Jakże to? Bez walizki, bez żadnego bagażu? Zaraz im się wyda podejrzanym. Zjadł więc śniadanie w restauracji dworcowej, a potem wałęsał się po mieście aż do otwarcia sklepów. Wtedy kupił taną walizkę, przybory toaletowe, pidżamę i jeszcze parę drobiazgów. Starannie obliczał, ile wydał na to wszystko pieniędzy, i z przerażeniem myślał o tym, jak szybko topniały jego zasoby finansowe. A tam, w pałacu, i eleganckie garnitury na miarę, i bielizna, i pidżamy jak dla jakiego hrabiego. Kapelusze, krawaty, buty. Wszystko, wszystko diabli wzięli. Cholera jasna!

Z walizką odważył się pójść do hotelu obok dworca. Nie wiadomo dlaczego, uważał, że najbezpieczniej będzie zamieszkać blisko kolei. Może dlatego, że w każdej chwili można wskoczyć do jakiegoś pociągu i zwiać. Ogolił się, umył i znowu wyszedł na miasto. Błąkał się po ulicach bez celu, rozmyślając nad swoim niewesołym losem. „Oj, Wojtek, Wojtek, trzeba ci to było?” — powtarzał sobie co chwila. Zaszedł do portu i długo przyglądał się statkom. Dostać się na pokład któregoś z nich, ruszyć w szeroki świat, oderwać się od wszystkich zmartwień, kłopotów. Na morzu byłby spokojny, niczego by się

nie bał, nikt by mu nie zagrażał. Dokoła woda, nie, tylko ogromna, nie kończąca się woda. Ale jak to zrealizować? Jak dostać się na statek? Na pewno już milicja zawiadomiła wszystkie porty, lotniska, punkty graniczne. Wszędzie mają jego fotografię, wszędzie go szukają. Trzeba by w nocy zakraść się do ładowni jakiegoś frachtowca i tam się ukryć. Ale sam nie da rady. Musiałby mu ktoś pomóc. A za taką pomoc trzeba słono zapłacić, trzeba odpalić dużą forszę. Mewy krążyły nad jego głową, napełniając powietrze przenikliwym, ostrym krzykiem. Patrzył na nie z zazdrością. „Im to dobrze — myślał. — Mają skrzydła, mogą lecieć, gdzie chcą. Nikt ich nie zatrzyma, nikt nie zażąda paszportu. Tylko ptak może być naprawdę szczęśliwy, naprawdę wolny.”

Ocieżałym krokiem powlókł się z powrotem do miasta.

Zdawał sobie sprawę z tego, że prędzej czy później to się źle skończy. Wyda wszystkie pieniądze, a potem...? Potem będzie się musiał wziąć do jakiejś roboty, żeby zarobić na życie, o ile oczywiście do tej pory nie zatrzyma go milicja. Poczul się straszliwie sarn, opuszczony, bezradny. Przypomniała mu się Marcysia. Zateśknił za nią. Jaka szkoda, że jej tu nie ma. Byłoby mu raźniej, o wiele raźniej. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo polubił tę dziewczynę, jaka mu była bliska. Psiakrew! Wszystko diabli wzięli. Gdzie mu tam teraz o dziewczynach myśleć. Nie wiadomo, czy w ogóle z życiem ujdzie.

A jednak nie przestawał myśleć o Marcysi. Niechby tu do niego przyjechała, niechby pobyli trochę razem nad morzem. Miał przed oczami jej gęste, ciemne włosy, jej błyszczące oczy i pełne, czerwone wargi. „Dziewucha jak trza... Dziewucha jak trza” — powtarzał. A może do niej zatelefonować? Choćby sobie trochę z nią pogadał, posłyszałby jej głos, głos kogoś bliskiego, życzliwego. Może choć trochę dodałoby mu to otuchy.

Poczul głód. Ile razy znajdował się w stanie depresji i przygnębienia, zawsze wzmagal się w nim niezwykły apetyt. Wstąpił więc do baru mlecznego i rozejrzal się w

poszukiwaniu wolnego miejsca. Nagle drgnął gwałtownie. Przy jednym ze stolików siedział Karaluch. Karaluch także go spostrzegł i zerwał się ze swojego miejsca.

- Wojtek! — krzyknął, otwierając ramiona.

- Nie rycz tak — szepnął Wojtek, ściskając serdecznie dawnego kumpla. Zaraz lepiej się poczuł, zobaczywszy znajomą twarz.

- Siadaj tu ze mną — zachęcił go podniecony spotkaniem Karaluch. — Zjesz coś?

- No chyba, że zjem.

Wojtek zamówił jajecznicę z sześciu jaj, trzy porcje ruskich pierogów, litr mleka i kilka kawałków chleba.

Ustawiwszy to wszystko na stoliku, uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Nie spodziewałem się, że cię tu spotkam.

- Ani ja — powiedział Karaluch, kręcąc się ze zdenerwowania na krześle i zapominając o zupie pomidorowej i naleśnikach z serem. — Kopę lat, Wojtek, kopę lat. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. Czy wiesz, że Miecio znowu w kiciu? — dodał zniżając głos.

- Wiem.

- Przeczuwałem, że to się tak skończy. Te jego interesy wcale mi się nie podobały i ten facet, któregośmy u niego poznali, także mnie nie zachwyił. Ale mów, co u ciebie? Jak ci się powodzi?

- Średnio — odparł wymijająco Wojtek, kończąc jajecznicę. — A co ty robisz na Wybrzeżu?

Karaluch zmrużył lewe oko.

- Chciałem trochę zmienić klimat. Ostatnio warszawskie powietrze nie bardzo mi służyło. A poza tym...

- Co poza tym? — Wojtek zabrał się z zapalem do pierogów ruskich.

- Poza tym chcę się przerwycić na trochę większe interesy. Taka drobnica to już nie dla mnie. Za stary jestem. A ty na długo przyjechałeś do Gdyni?

- Jeszcze nie wiem. Zobaczę.

Karaluch przyjrzał się uważnie swojemu dawnemu

kumplowi z celi więziennej.

-Coś mi się widzi, że u ciebie nieklawo-powiedział wreszcie

Wojtek, zajęty jedzeniem, wydał jakiś nieartykułowany pomruk. Zastanawiał się nad tym, czy szczerze porozmawiać z Karaluchem, czy też nic nie mówić? Był to właściwie jedyny człowiek, który mógłby mu coś pomóc, doradzić.

- Może potrzebujesz forsy? — spytał Karaluch. — Dużo nie mam, ale z przyjacielem się podzielę.

Wojtek potrząsnął głową.

- Nie chodzi o forszę.

- A o co?

- Tutaj nie będziemy rozmawiać.

Skończyli jeść i wyszli.

- Chcesz mi powiedzieć, co cię gnębi? — spytał Karaluch.

- Chcę — zdecydował się Wojtek.

- To chodź. Tutaj niedaleko jest skwerek. Usiądziemy na ławce i pogadamy.

Rzeczywiście, w pobliżu było trochę zieleni. Usiedli i Karaluch wyjął papierosy.

- Zapalisz?

Wojtek potrząsnął głową.

- Nie. Odzwyczailem się.

- Może i wódki także nie pijesz?

- Żebyś wiedział, że nie. Prawie od roku ani kropli.

Karaluch gwizdnął przez zęby.

— Fiuuu... To z tobą rzeczywiście nieklawo. Chory jesteś?

- Na razie nie.

- To co ci jest?

- Boksera chcieli ze mnie zrobić.

- Boksera?! Kto?

Wojtek trochę chaotycznie opowiedział swoje dzieje od chwili, kiedy wyprowadził się od wdowy po listonoszu i kiedy zamienił Bielany na „pałac”.

Karaluch słuchał z ogromnym zainteresowaniem i tylko od czasu do czasu wyrывało mu się lakoniczne: — O, kurwa! — Wreszcie Wojtek przestał mówić, splunął daleko

przed siebie i westchnął. Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu. Pierwszy odezwał się Karaluch:

- Klawo nie jest. To fakt. Ale tyś nie kropnął tego faceta?

- Przecież ci mówię, do jasnej cholery, że jak przyszedłem, to on już nie żył — zirytował się Wojtek.

- No, dobra, dobra. Może nie trzeba było wiać.

- A ty jakbyś był na moim miejscu, tobyś został?

Karaluch poruszył szczękami i przygryzł dolną wargę.

- Czort wie. Bardzo wątpię, czybym został. To fakt.

- A widzisz. Jak człowiek wyjdzie z pudła, to mu się nie spieszy tam wracać. Kto by mi uwierzył, że to nie ja.

- Cholera — mruknął Karaluch. — Faktycznie. Sytuacja, jak to się mówi, parszywa. Co masz zamiar robić?

- Wiać — odparł szczerze Wojtek.

- Wiać, ale gdzie?

- Żebym się mógł zamelinować na jakimś statku...

Karaluch pokręcił głową.

- Trudna, bardzo trudna sprawa. Na naszych frachtowcach to w ogóle senne marzenie. Chyba żeby na jakim obcym, ale to też nieproste. Grekom czy jakim Argentyńczykom to trzeba grubo posmarować dolarami, żeby cię zabrali.

- Silny jestem. Mogę robić — powiedział Wojtek.

- To nie jest bez znaczenia — przyznał Karaluch. —

Zawsze lepszy silny chłop niż jaki cherlak, nie przy mierzając taki jak ja.

- Bić się umiem. Znam boks, judo.

- To w marynarskim fachu także nie zawadzi. Czekaj, czekaj... — Karaluch rzucił papierosa i przydeptał go nogą.

— Może ja coś dla ciebie wykombinuję. Pojechałbyś ze mną do Szczecina?

- Wszędzie pojadę.

- To dobrze. Ja tu jeszcze mam to i owo do załatwienia w Gdyni, a jutro z samego rana jedziemy do Szczecina. Gdzie mieszkasz?

- W hotelu, przy dworcu.

- W hotelu ci nie pasuje. Tam cię raz dwa gliny

przyuwają. Skombinuję ci jakąś metę na dzisiejszą noc. A jutro odjazd.

- Jesteś fajny facet. Dziękuję ci — Wojtek był niemal rozczulony przychylnością Karalucha. Poczul się pewniejszy siebie i najbliższa przyszłość nie rysowała mu się już w takich beznadziejnie czarnych barwach.

- Czego się nie robi dla przyjaciela — powiedział z uśmiechem Karaluch, dotykając ostrożnie potężnej dłoni kumpla. — Nic się nie martw, Wojtuś. Damy sobie radę. Głowa do góry. Grunt to się nie przejmować. Co się może stać w najgorszym razie? W najgorszym razie wrócimy z powrotem do pudła, i dobra. Nie było tam tak źle.

- Mnie powiesz — powiedział ponuro Wojtek.

- Nie opowiadaj takich rzeczy. Tak zaraz ludzi u nas nie wieszają. Weźmie się dobrego adwokata...

Wojtek poruszył się niecierpliwie.

- Ja tam wolę nie mieć do czynienia ani z adwokatami, ani z sędziami. Mam dosyć. Chcę wyjechać, wyjechać gdzieś daleko, gdzie by mnie nikt nie szukał, nie ścigał. Najlepiej do Ameryki Południowej, do Argentyny. Tam, bracie, taki kraj, że jak się zakopiesz w jakiej dziurze, to sam diabeł cię nie znajdzie. Słyszałem, że oni tam nawet żadnych dowodów osobistych nie wymagają. Możesz powiedzieć jakie chcesz nazwisko i każdy ci wierzy na słowo.

- To jest fajny zwyczaj — przytaknął z uznaniem Karaluch. — Ale jak tam sobie gliny dają radę, jak kogo chcą znaleźć? Dowodów nie ma, zameldowania nie ma, no to co?

- A bo ja wiem — wzruszył ramionami Wojtek. — Ich sprawa. Czy myślisz, że naprawdę dałoby się mnie przeszmuglować na jakimś statku?

Karaluch głośno pociągnął nosem.

- Trzeba będzie pokombinować. Zobaczy się. Na razie za dużo po mieście się nie kręć, żebyś nie podpadł. Więcej w chałupie trzeba posiedzieć. Chodź, zaprowadzę cię do mojej meliny.

Melina Karalucha znajdowała się w portowej dzielnicy.

Pokój na drugim piętrze w starym, odrapanym domu, za którym było niewielkie podwórko zamienione w ogromny śmietnik. Właścicielem dwupokojowego mieszkania był sędziwy marynarz, pamiętający zapewne czasy okrętów żaglowych. Nie pytał Wojtka, kim jest ani skąd przybywa. Powiedział tylko, żeby mu dać sto złotych za nocleg, a otrzymawszy żadaną kwotę, nie wdawał się w dalsze rozmowy i poszedł spać.

W „pokoju”, nie malowanym od zamierzchłych czasów, stały trzy żelazne łóżka, wyposażone w sienniki, stare, dziurawe koce oraz poduszki tak brudne, że trudno było określić ich barwę. Po podłodze spacerowało beztrosko spore stadko oswojonych karaluchów, których w najmniejszym stopniu nie peszyła obecność ludzi.

- O rany — wzdrygnął się Wojtek. — Tu gorzej jak w pudle.

- Z tą różnicą, że z pudła nie mogłeś wyjść.

- Sto złotych za taką brudną szparą.

- Ale za to nikt cię tu nie zapyta o dowód. Idź zaraz do hotelu, wymelduj się i powiedz, że wyjeżdżasz. Gdyby cię przypadkiem portier spytał, dokąd jedziesz, powiedz, że wybierasz się do Zakopanego, a gdyby cię nie spytał, to ty się zapytaj o pociąg do Zakopanego. Zrób to tak, żeby mu utkwiło w pamięci. Najlepiej powtórz ze dwa razy i zapisz sobie na kartce, którą zapomnij zabrać z recepcji.

- Chciałbym zadzwonić do Warszawy — powiedział Wojtek.

- Zadzwonić możesz. Najlepiej z poczty. A do kogo chcesz telefonować?

- Do jednej dziewczyny.

- Daj sobie spokój. Nie pora teraz myśleć o dziewczynach. Szkoda czasu i pieniędzy na telefony. Zresztą, rób, jak uważasz, ale radzę ci, żebyś za bardzo ludziom w oczy nie lał. Chłop jesteś duży i z daleka cię widać. A bary to masz takie, że się każdy za tobą obejrzy.

Wojtek zrobił tak, jak mu poradził Karaluch. Poszedł do hotelu, zabrał walizkę, uregulował rachunek i wypytał dokładnie portiera o połączenie z Zakopanem. Następnie

pobiegł na pocztę. Koniecznie chciał choć chwilę porozmawiać z Marcysią.

Na połączenie czekał niecałą godzinę. Kiedy usłyszał w słuchawce głos Marcysi, poczuł, że serce zaczyna mu walić jak młotem.

- Kto mówi?

- To ja, Wojtek. Nie poznajesz mnie?

- Wojtuś! — ucieszyła się. — Skąd ty dzwonicz? Z Gdyni?

Co ty tam robisz?

- A nic. Chodzę. Milicja u ciebie nie była?

- Milicja? A czego mieliby u mnie być?

- Bo mnie szukają.

- Jezus Maria! Milicja cię szuka? Wojtek! A cóżeś ty zrobił?

- Myśla, że zabiłem Zenona.

- To pan dyrektor Mierzycki zabity? Matko Boska!

- Zabity. Ale to nie ja go zabiłem. Wierz mi, Marcysiu, że to nie ja. Jak Boga jedyne go kocham. Nie ja.

- To dlaczego uciekłeś? Przyjeżdżaj i idź na milicję. Powiesz im, że to nie ty.

- Nie uwierzą mi, Marcysiu. Wsadzą mnie do więzienia albo może i powieszą. Nie uwierzą. Nijak mi nie uwierzą.

- No to jak będzie?

- Muszę uciekać.

- A dokąd ty uciekniesz? Milicja wszędzie cię znajdzie. Nie bądź głupi, Wojtek. Sam do nich przyjdź i wytłumacz.

- To na nic, Marcysiu. Nie da rady. Nie wytłumaczę. Nie uwierzą. Zamkną... Powieszą. Bądź zdrowa, Marcysiu. Uważaj na siebie.

- Zaczekaj... Wojtek... Zaczekaj...! Ja nie chcę...

- Bądź zdrowa, Marcysiu. Bardzo cię lubię. Bądź zdrowa.

Odłożył słuchawkę. Nie mógł już dłużej rozmawiać. Okropnie ścisnęło go za gardło.

Zapłacił i wyszedł z poczty. Włókł się wolno ulicami w kierunku domu, w którym zamieszkał Karaluch i w którym było dużo karaluchów.

Rozdział X

Kociuba właśnie wrócił z miasta i miał zamiar zjeść drugie śniadanie, kiedy zadzwonił telefon.

- Jeziorna do Was, poruczniku.

- Jeziorna?

- Tak. Mówią, że mają jakieś wiadomości w sprawie Kaliny.

- Połączcie mnie.

- Tu sierżant Pawlak. Zgłosiła się do nas dziewczyna, niejaka Marcelina Jezierska. Od pół godziny tłumaczy mi, że jakiś Wojtek Kalina nie jest mordercą. Nie wiem, czy potrzebnie was niepokoję, ale myślałem...

- Dobrze żeście myśleli — przerwał mu Kociuba. — To dla nas bardzo ważne. Dawajcie tu tę dziewczynę.

- Nie mamy wozu, żeby ją odesłać.

- Zatrzymajcie ją u siebie. Zaraz wysyłam wóz.

W niespełną godzinę Marcysia została odstawiona do Komendy Miasta. Zaprowadzono ją do pokoju Kociuby, w którym tymczasem pojawił się i Olszewski.

Obaj nie bez satysfakcji przyglądali się dorodnej, zgrabnej dziewczynie.

Nie robiła wrażenia speszonej czy zawstydzonej. Śmiało patrzyła na oficerów. Zarówno jej bojowa postawa, jak i błyszczące oczy i czerwone od gniewu policzki świadczyły o tym, że nie ma najmniejszego zamiaru rezygnować z walki zapoczątkowanej w Jeziornie.

- Czego wy chcecie od Wojtka? On nic złego nie zrobił. On nikogo nie zabił. To przecie nie on zabił pana dyrektora Mierzyckiego.

Kociuba uśmiechnął się łagodnie.

- Przede wszystkim może się pani uspokoi. Proszę się tak nie denerwować. Porozmawiajmy sobie powoli, spokojnie, bez nerwów. Skąd pani w ogóle wie, że mamy jakieś pretensje do Wojtka Kaliny?

- Telefonował do mnie. Wczoraj wieczorem. Mówił, że

musiał uciekać, bo milicja myśli, że to on zabił pana dyrektora Mierzyckiego.

- Skąd telefonował? — spytał Olszewski.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Nie powiem. Tego nie powiem.

Olszewski z trudem opanowywał ogarniającą go wesołość. Nie wypadało mu przecież parsknąć śmiechem.

- To bardzo nieładnie, że pani nie chce nam powiedzieć, skąd telefonował Wojtek Kalina.

- Jeszcze czego. Zaraz byście go zamknęli we więzieniu.

- Jeżeli jest niewinny, to nikt go nie będzie zamykał w więzieniu.

- A ja tam wiem — wzruszyła ramionami. — Wojtek mówił, że wsadzą go do więzienia albo może i powieszą. Dlatego musi uciekać. Ja mu radziłam, żeby sam, z dobrej woli poszedł na milicję i wytłumaczył, że to nie on. Ale powiedział, że to na nic, bo nikt mu nie uwierzy. Ale ja mogę przysięgać na Boga, że Wojtek nie zabił ani pana dyrektora Mierzyckiego, ani w ogóle nikogo. To dobry chłop i ani mowy nie ma, żeby kogo skrzywdził. Wiercie mi, panowie. Klnę się na wszystko, co mi najświętsze. Wojtek nie winien.

- I wczoraj wieczorem rozmawiała pani z Wojtkiem przez telefon? — Kociuba znowu przejął inicjatywę.

- Tak. Telefonował do mnie.

- Ale nie z Warszawy?

- Nie z Warszawy.

- Dawno pani zna Wojtka Kalinę?

- Na wiosnę żeśmy się poznali. Obronił mnie.

- Obronił?

- Tak. Przed chuliganami. Tak ich łał, że aż miło było popatrzeć. Trzech ich było. Wszystkim dał radę. Mocny chłop i odważny.

- Jakże to było? — zainteresował się Kociuba.

Marcysia opowiedziała swoją przygodę, która spotkała ją po przyjeździe do Warszawy, wychwalając siłę i odwagę Wojtka. Słuchali z dużym zaciekawieniem.

- A co potem?
- Potem to mnie Wojtek wziął do wozu i zawiózł do tego pałacu. Pracowałam tam w kuchni. I znowu mnie Wojtek obronił przed takim jednym draniem. Do szpitala go zabrali.
- To ma pani dzielnego obrońcę — uśmiechnął się Kociuba.
- Co z tego — westchnęła żałośnie — kiedy się teraz biedaczysko tuła nie wiedzieć gdzie.
- Dzwonił do pani z Wybrzeża.
- Zmieszala się.
- A pan skąd wie?
- My dużo rzeczy wiemy i dlatego zawsze lepiej mówić prawdę. Ale mniejsza z tym. Proszę nam powiedzieć, gdzie pani teraz pracuje?
- U jednej pani. Za gosposię u niej jestem.
- W Konstancinie?
- Tak. Nawet kawałek za Konstancinem.
- Jak się ta pani nazywa?
- Pani Landbergowa. Hortensja ma na imię.
- Zadowolona pani z tej pracy?
- Nie mogę narzekać, tylko że smutno.
- Dlaczego smutno?
- Bo pani często wyjeżdża, a ja zostaję sama. Gęby nie ma do kogo otworzyć. Nie można ciągiem przed telewizorem siedzieć.
- Kto pani znalazł tę pracę?
- Pan dyrektor Mierzycki mnie polecił. Wojtek go poprosił.
- To znaczy, że pan Mierzycki znał panią Landbergową.
- Oczywiście, że znał.
- Często ją odwiedzał?
- Jak ja tam nastalam na służbę, to był może ze dwa razy, a może trzy. Już tak dobrze nie pamiętam.
- Nie przypomina pani sobie przypadkiem, o czym rozmawiali?
- Skąd mogę wiedzieć. Ja tam nie podsłuchuję, proszę pana. Co mnie to obchodzi, o czym kto z kim rozmawia.
- A pani Landbergowa nigdy nie rozmawiała z panią na

temat pana Mierzyckiego?

- Nie. Pani w ogóle ze mną niewiele co rozmawia. Powie, co trzeba zrobić, zapyta, jak się czuję, i na tym koniec. Specjalnie do rozmowy to ona nie jest. Ze swoimi znajomymi to tak, ale nie ze mną. Owszem, nie powiem, grzeczna jest pani, szanuje mnie, złego słowa jeszcze nigdy od niej nie usłyszałam, ale żeby tak pogadała jak człowiek z człowiekiem, to nie. Zresztą, bardzo zajęta, często wyjeżdża, to i czasu nie ma za wiele na rozmowy.

- Gdzie to tak jeździ pani Landbergowa? - spytał Olszewski. Marcysia wzruszyła ramionami.

- A bo ja to wiem. Bierze wóz i jedzie, a gdzie, to Pan Bóg ją raczy wiedzieć. Mnie się nie opowiada.

- I mówi pani, że ona często wyjeżdża.

- Bardzo często i chyba daleko jeździ, bo nieraz jak wraca, to taka skonana, że nawet jeść nic nie może, tylko wykąpie się i do łóżka. Czasem to po takiej podróży śpi dzień i noc. A potem znowu spokój. Siedzi w domu i w ogrodzie kwiatami się zajmuje albo gra na pianinie.

- Dużo ludzi bywa u pani Landbergowej? — wtrącił się Kociuba.

- Nie tak dużo. Czasem przyjedzie kilka osób. Pograją w karty, zjedzą co me bądź, napiją się wódki i odjeżdżają. Kiedyś to nawet tańcowali, ale tylko jeden raz. Pani Landbergowej to już nie do tańca. To dobre dla młodych. Nawet nie to, żeby była taka stara, ale już nie te lata.

- A Wojtek Kalina bywał u pani Landbergowej?

- Przyjeżdżał, i to nie raz, ale przecie nie do niej, jeno do mnie. Zawsze mi jakiś prezent przywiózł albo czekoladki. O, ta chustka, co ją mam na sobie, to także od niego. Ładna, prawda?

- Bardzo ładna — przyznał zgodnie Kociuba. — To wy się chyba z tym Wojtkiem lubicie.

Spuściła oczy i zaczerwieniła się.

- Ja go okropnie polubiłam - wyznała cicho. — A on mnie chyba także. Przecie inaczej by nie przyjeżdżał. — Nagle podniosła głos: — A ja mu krzywdy zrobić nie dam. On

nikogo nie zabił i nie pozwolę, żebyście go do więzienia wsadzili.

Kociuba uśmiechnął się. Ta dziewczyna wzruszała go, przypominała mu jego młodość, jego rodziną wieś.

- Nikt nie ma zamiaru krzywdzić Wojtka — powiedział łagodnie. — Jeżeli rzeczywiście jest niewinny, to nic złego mu się nie stanie. Niedobrze, że uciekł. Byłoby lepiej, żeby z własnej woli przyszedł tutaj do nas i wszystko szczerze opowiedział. Jak ktoś ucieka, to automatycznie staje się podejrzany. Niewinny człowiek nie ucieka, nie boi się milicji.

Marcysia pokiwała głową.

- Ja mu to przecie mówiłam. Kazałam mu przyjechać i przyjść tutaj do panów, ale on się boi. Widać się przestraszył, a teraz mu już nijak...

- Czy pani przypuszcza, że on jeszcze do pani zatelefonuje?

- A ja wiem. Może i zatelefonuje, a może nie.

- Jakby zatelefonował, to niech mu pani powie, żeby przyjechał do Warszawy i przyszedł do nas. Proszę mu wytłumaczyć, że jeżeli jest niewinny, to naprawdę nic złego mu się nie stanie. Jak przyjdzie do nas z własnej woli, to dla niego będzie o wiele lepiej, niżeli jak go tu siłą ściągniemy. Długo nie da rady się ukrywać. Wcześniej czy później milicja go znajdzie.

- Powiem mu. Mogą panowie być pewni, że jak tylko zatelefonuje, to mu powiem.

- Czy pani Landbergowa jest dzisiaj w domu?

- Nie. Ma wrócić dopiero jutro.

- A wczoraj była?

- Wczoraj także jej nie było i przedwczoraj też nie.

- Czy ktoś słyszał, jak pani rozmawiała z Wojtkiem przez telefon?

- Nikt nie słyszał. Nikogo nie było w domu. A bo co?

- Nie, nic — Kociuba spojrzał z dużą sympatią na dziewczynę. Zaczynał ją naprawdę lubić. — Coś pani proponuję.

- Co takiego?

- Myślę, że będzie lepiej, żeby pani nikomu nie opowiadała o tym, że Wojtka poszukuje milicja, że uciekł. Po co mają wszyscy o tym wiedzieć. I pani Landbergowej także może lepiej nie mówić.

- A jak się zapyta, dlaczego Wojtek nie przyjeżdża mnie odwiedzić?

- To niech pani powie, że dostał pracę gdzieś pod Nowym Targiem i że mu za trudno teraz przyjeżdżać.

Marcysia zmieszana się. Miała jakąś bardzo niewyraźną minę.

- Co się stało? — spytał Kociuba.

- Bo... bo... proszę pana... Bo ja... to nie umiem łąć. Jak tylko zełgam, to zaraz każdy pozna, że to łgarstwo. Nijak się nie mogę nauczyć.

Roześmieli się obaj.

- Mniejsza z tym, zresztą — Kociuba machnął ręką. — Nie takie ważne. Niech pani mówi, co pani chce. Wydaje mi się, że dla Wojtka lepiej, jeżeli o tej sprawie będzie wiedziało jak najmniej ludzi. Dą nas to nie ma żadnego znaczenia.

Zapanowało milczenie.

Marcysia zaczęła niespokojnie kręcić się na krześle.

- Czy mogę już jechać do Konstancina, proszę pana?

- Tak, może pani już jechać do Konstancina. Odeślemy panią naszym wozem.

Marcysia wyszła.

- Wspaniała dziewczyna — powiedział Olszewski.

- Pierwszorządna — przytaknęła skwapliwie Kociuba. — Gdyby nie to, że już się ożeniłem... Widziałeś, jak broniła swojego chłopaka?

- Jak lwica. A jaka śmiała. Wcale się nie speszyła. Wcale się nas nie przestraszyła.

- A dlaczego miałyby się nas przestraszyć? — uśmiechnął się Kociuba. — Co to my nie sympatyczne chłopaki, czy co? A teraz mi powiedz, jaki masz pogląd na sprawę po tej rozmowie?

Olszewski zapalił papierosa.

- Muszę ci się przyznać, że coraz bardziej zaczynam wierzyć w niewinność Wojtka. Cała ta historia zdecydowanie wygląda mi na inscenizację.

Kociuba zamyslił się. Ciągłe jeszcze był pod wrażeniem rozmowy z Marcysią.

- Trzeba by chyba porozmawiać z panią Landbergową — powiedział po chwili.

- To nie ulega wątpliwości — Olszewski strzepnął popiół do popielniczki i patrzył na żarzący się papieros. — Może byś się wybrał jutro do Konstancina.

- Miałem jechać na Wybrzeże.

- Pojedziesz pojutrze. Na razie ten teren jest chyba dla nas ważniejszy. Przede wszystkim musimy znaleźć pana Kinga Meysnela. Jakby się pod ziemię zapadł. Ani śladu.

- Już dawno chciałem cię zapytać, jak to właściwie jest z tym facetem? — podjął Kociuba. — Bo to wszystko wygląda jakoś bardzo niewyraźnie. Obywatel amerykański. Tutaj, u nas prowadzi interes na własny rachunek...

Olszewski pokiwał głową.

- Tak, tak, oczywiście... Na pierwszy rzut oka to robi trochę dziwne wrażenie. Właśnie wczoraj dokładnie sprawdziłem wszystkie dane. Otóż pałacyk, knajpa, hotel, to wszystko jest oficjalnie na nazwisko Małogórskiego, ale faktycznym właścicielem jest mister King Meysnel, który imprezę finansuje.

- I otrzymał u nas pobyt?

- Tak, dali mu kartę stałego pobytu. Podobno był prześladowany w Stanach Zjednoczonych za jakieś sprawy polityczne i jest tam poszukiwany przez policję. Mówił mi pułkownik, że przedstawił naszym władzom jakieś dowody tego prześladowania, wycinki z gazet...

- A może amerykańska policja prześladowuje go za działalność gangsterską — uśmiechnął się Kociuba.

- Niewykluczone. Ale fakt pozostaje faktem, że otrzymał kartę stałego pobytu i zupełnie oficjalnie przebywa na naszym terenie. Przywiózł ze sobą ciężką forszę, zor-

ganizował ten rozrywkowy lokalik i nagle...

- I nagle zniknął — uzupełnił Kociuba.

- Właśnie. Zniknął bez- śladu. Absolutnie nikt nie potrafi udzielić żadnych informacji na jego temat.

- Może zwiął z forszą za granicę.

Olszewski skrzywił się sceptycznie.

- Bardzo wątpliwe. Po co? A poza tym, nikt go tu przecież nie trzyma siłą. Nie miał potrzeby wiać. Mógł zupełnie normalnie wyjechać.

- Rozmawiałaś z Rakowiecką?

- Oczywiście. Także nic nie wiedzą.

- Przypuszczasz, że to on wykończył Mierzyckiego?

Olszewski wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Nie możemy wykluczyć takiej ewentualności. Chociaż to raczej wątpliwe. Tego pokroju facet co Meysnel nie załatwia takich spraw osobiście. Jeżeli nawet miał ochotę zlikwidować Mierzyckiego, to posłużyłby się osobą trzecią, i to w ten sposób, żeby morderca w ogóle go nie znał.

Kociuba z aprobatą pokiwał głową.

- Wydaje mi się, że rozumujesz logicznie. Na moje wyczucie, to ten amerykański biznesmen na kilometr śmierdzi gangsterem. Skąd taka ciężka forsa? Działacze polityczni nie bywają chyba milionerami. A jeżeli to gangster, to sam do mokrej roboty się nie bierze. Ma swoich pomagierów. Co myślisz o Małogórskim?

- Sprytny facet.

- To nie ulega wątpliwości. Ale czy nie mógł załatwić Mierzyckiego?

- Ma niepodważalne alibi. Aha, zapomniałem ci powiedzieć, wczoraj po południu przysłali z Zakładu Kryminalistyki wyniki badania śliny. Wyobraź sobie, że kopertę, w której Wojtek Kalina otrzymał list od Mierzyckiego, zaklejała kobieta.

- O! — ożywił się Kociuba. — To bardzo interesujące. Czyżby gosposia Mierzyckiego?

- Nie. Sprawdzalem. Gosposia Mierzyckiego twierdzi z

całą stanowczością, że żadnego listu nie wysyłała.

Kociuba zamyślił się.

- Jeżeli kobieta maczała palce w tym morderstwie, to... Słuchaj... a może to kochanka tego Amerykanina? Przecież kompletnie nic o nim nie wiemy.

- A ty ciągle swoje — roześmiał się Olszewski. — Dlaczego właściwie upierasz się przy tym, że to Meysnel zlikwidował Mierzyckiego? Równie dobrze mogli to zrobić ci faceci, których pobił Kalina. Musisz jechać na Wybrzeże i odszukać właściciela tego szarego „Opla”. Przedtem jednak chciałbym, żebyś odwiedził panią Landbergowa. Przejdź się jutro do Konstancina.

- A dlaczego ty nie chcesz zaczerpnąć trochę świeżego powietrza?

- Bo ty jesteś przystojniejszy chłopak.

- Przestań się wygłupiać — zachnął się Kociuba.

Olszewski miał wesołe błyski w oczach.

- Wcale się nie wygłupiam. Przemawia przeze mnie wieloletnie doświadczenie. Z kobietą dojrzałą, a może nawet ciut przejrzałą, zawsze najlepiej się dogada młody, przystojny chłopak. Musisz się więc poświęcić dla dobrej sprawy. Chodzi o to, żebyś dowiedział się możliwie najwięcej o Mierzyckim. A może pani Landbergowa będzie miała jakieś wiadomości o tym Amerykaninie.

- No, dobra — mruknął Kociuba. — Pojadę do tej baby. Jutro. A co robimy dzisiaj?

- Dzisiaj jeszcze raz przejedziemy się do „pałacu”. Nie należy dopuszczać do tego, ażeby pan Małogórski za bardzo się uspokoił. Utrzymujmy go przez pewien czas w stanie lekkiego podenerwowania. Zobaczymy, czy skruszeje.

- Nie wygląda na faceta, który by tak łatwo kruszał — stwierdził z przekonaniem Kociuba.

- To się okaże.

Pan Wiktor nie robił wrażenia człowieka, który się czymś

denerwuje. Przyjął oficerów z „otwartymi ramionami”, jak starych dobrych znajomych i był tak serdeczny, że aż ich to trochę zbiło z tropu. „Albo facet ma zupełnie czyste sumienie, albo jest fenomenalnie opanowany” — pomyślał Kociuba. Rzucił szybkie spojrzenie Olszewskiemu, który był tak radośnie uśmiechnięty, jakby co najmniej otrzymał przed chwilą wiadomość, że nu jego los padła najwyższa wygrana.

Wśród wzajemnych uprzejmości, miłych słów i ukłonów dotarli do gabinetu, znanego już im z poprzedniej wizyty.

- Mam nadzieję, że znamy się już tak dobrze, iż panowie nie odmówią mi skromnego poczęstunku — zapraszał z czarującym uśmiechem Małogórski. — Otrzymałem właśnie transport świeżutkiego łososia. Zrobią mi panowie naprawdę ogromną przyjemność, jeżeli...

- Pod warunkiem, że ma pan coś odpowiedniego do wypicia pod tego łososia — uśmiechnął się Olszewski.

- Ależ oczywiście. Coś się znajdzie. Czym chata bogata, jak mawiali dawni Polacy.

Małogórski zadzwonił i wydał Ksaweremu odpowiednie dyspozycje. Po chwili pojawił się nakryty stół, a na nim parę butelek wódki, kanapki z łososiem i z kawiozem, parę gatunków serów, owoce i karafka z pomarańczowym sokiem.

- Ależ to prawdziwa uczta! — wykrzyknął Olszewski.

Małogórski uśmiechnął się.

- Tylko skromniutki poczęstunek. Taka maleńka przekąseczka.

Kociuba ze zdziwieniem spoglądał na kolegę. Nie bardzo wiedział, do czego zmierza ta nowa taktyka. Postanowił oczywiście dostosować się do beztroskiego nastroju.

- Co można panom nalać? — spytał Małogórski. — Koniak? Śliwowica? Żytnia? A może czysta?

Olszewski zdecydował się na śliwovicę, Kociuba zaś poprosił o czystą.

Wypili po dwa kieliszki i jedli kanapki z łososiem, który okazał się rzeczywiście znakomity.

Rozmowa toczyła się wesoło. Małogórski, wykazując duże wyrobienie towarzyskie oraz ogromną erudycję w różnych dziedzinach, prześlizgiwał się zręcznie z tematu na temat i zabawiał swych gości z wdziękiem wytrawnego causeura. Patrząc z boku na tych trzech mężczyzn trudno by się było domyślić, że to oficerowie milicji rozmawiają z podejrzanym o współudział w morderstwie.

Małogórski sięgnął po butelkę i chciał znowu napełnić kieliszki, ale Olszewski powstrzymał go ruchem ręki.

- Bardzo dziękujemy, ale wzięwszy pod uwagę fakt, że jesteśmy na służbie, to po dwa kieliszki chyba wystarczy.

- Nie sądziłem, że panowie odwiedzili mnie służbowo — udał zdziwienie Małogórski, odstawiając posłusznie butelkę. — Byłem pewny, że to jest miła, sąsiedzka wizyta.

- Niezupełnie — uśmiechnął się Olszewski. — Właściwie, przyjechaliśmy do pana, ażeby go prosić o pomoc.

- O pomoc? Mnie? — wyglądał na bardzo zaskoczonego. — Jak najchętniej, ale doprawdy nie wiem, w jaki sposób mógłbym panom pomóc?

Z twarzy Olszewskiego nie zniknął uśmiech pełen zakłopotania.

- Znajdujemy się w nieco trudnej sytuacji. W żaden sposób nie udaje się nam skontaktować z panem Meysnelem.

Małogórski podniósł brwi.

- To dziwne. Wydawałoby się, że to nic trudnego. Był tu u nas wczoraj.

- Był tu wczoraj? — powtórzył Olszewski.

- Tak. Przeszło godzinę konferowałem z nim w tym pokoju.

- Czy tylko z panem rozmawiał?

- Nie. Rozmawiał prawie z całym personelem. Pan Meysnel odwiedza nas dosyć rzadko, ale jak już przyjedzie, to urządza coś w rodzaju inspekcji.

- Czy mówił coś na temat tragicznej śmierci pana Mierzyckiego?

- Oczywiście. Dużo mówiliśmy o tym. Pan Meysnel jest do głębi wstrząśnięty tym, co się stało. Bardzo lubił i

bardzo cenił Zenona jako dobrego pracownika. Zresztą, my tu wszyscy...

- Szkoda, że pan nie powiedział panu Meysnelowi, że chcielibyśmy z nim porozmawiać.

- Jakoś się nie zgadało. Poza tym sądziłem, że pan Meysnel już się z panami kontaktował.

Olszewski potrząsnął głową.

- Nie. I właśnie bardzo chcielibyśmy nawiązać ten kontakt.

- Jeżeli chodzi o zabójstwo Zenona, to wydaje mi się, że pan Meysnel nie wniesie nic nowego do sprawy. Sam jest tym tak zaskoczony, że...

- Gdyby pan jednak kontaktował się z panem Meysnelem osobiście czy też telefonicznie, to proszę mu powiedzieć, że chcemy z nim chwilę porozmawiać.

- Oczywiście. Nie omieszkam tego zrobić. Gdybym był wiedział...

- Tak. To jest bardzo tajemnicza sprawa to morderstwo — Olszewski stracił nagle swój dobry humor i zamyślił się ponuro. — Czy pan pozwoli, panie dyrektorze, że jeszcze zadamy personelowi parę pytań?

Małogórski skłonił się.

- Proszę uprzejmie. Nie widzę żadnych przeszkód.

Olszewski zwrócił się do Kociuby.

- Zajmij się tym, Franiu, a my tu sobie jeszcze chwilę porozmawiamy.

Kociuba wyszedł. Bez trudu domyślił się, o co chodzi. Należało sprawdzić, czy rzeczywiście mister King Meysnel był wczoraj w pałacu.

Małogórski i Olszewski siedzieli przez chwilę w milczeniu. Lekka, błyskotliwa rozmowa jakoś nagle wygasła. Między dwoma mężczyznami zaczęła narastać atmosfera wzajemnej niechęci i podejrzliwości.

- A może by jeszcze po jednym kieliszeczku? — zaproponował Małogórski.

- A może by — zgodził się Olszewski.

Małogórski uśmiechnął się zadowolony.

- Dla odmiany proponuję po koniaczku.

- Niech będzie koniaczek.

Wypili i Olszewski znowu jakby trochę poweselał.

- Muszę się panu przyznać w zaufaniu, że podoba mi się tu u was — próbował nadać swojemu głosowi bardziej swobodny, familiarny ton.

Małogórski ponownie sięgnął po butelkę z koniakiem.

- To mnie bardzo cieszy. Niechżeż pan porucznik częściej nas odwiedza, i to nie tylko służbowo.

- Bardzo chętnie, ale zdaje się, że wy tutaj wprowadziliście specjalne karty wstępu. A nie chciałbym się za każdym razem legitymować. Jak prywatnie, to prywatnie.

— Ależ to nic prostszego. Jeżeli pan pozwoli, to zaraz wystawię taką kartę na pańskie nazwisko — Małogórski podniósł się i podszedł do biurka, na którym stała maszyna do pisania. — O ile pamiętam, to pańska godność - Olszewski, Stanisław Olszewski.

Małogórski wyjął blankiety z szuflady.

- A może i dla pańskiego kolegi...?

- Na pewno będzie panu bardzo wdzięczny. Jego nazwisko Franciszek Kociuba.

Przez chwilę słyhać było stukanie maszyny. Nagle Małogórski przestał pisać, wykręcił blankiet i wrzucił go do kosza.

- Psiakrew! Pomyliłem się. Muszę jeszcze raz... — zaczął szperać w szufladzie. — Nie mam tu tych blankietów. Pewnie w tamtym pokoju... Przepraszam pana.

Wyszedł. Olszewski błyskawicznie znalazł się przy koszu, skąd wyjął zmięty blankiet, i równie szybko wrócił na swoje miejsce.

Małogórski wszedł z nowymi blankietami w ręce.

- Znalazłem. Wypiszę panu ręcznie. Nie mam zbytnej wprawy w pisaniu na maszynie — wyjął z kieszeni marynarki długopis.

Po chwili Olszewski chował do portfela dwa wypełnione blankiety.

- Serdecznie panu dziękuję.

- Nie wątpię, że panowie będziecie naszymi stałymi

gośćmi — uśmiechnął się uprzejmie Małogórski. — Można się u nas bardzo przyjemnie i niedrogo zabawić. Towarzystwo zawsze doborowe. Dlatego właśnie wprowadziliśmy te karty wstępu, żeby uchronić się przed napływem niepożądanych elementów.

- A czy funkcjonariuszy MO uważa pan za pożądane elementy? — spytał Olszewski.

- Pan porucznik raczy żartować - roześmiał się Małogórski, czyniąc znaczny wysiłek, by śmiech ten zabrzmiał naturalnie.

Olszewski także się uśmiechnął.

Rozmawiali jeszcze czas jakiś na różne tematy, nie poruszając już jednak żadnych drażliwych kwestii. Wreszcie wrócił Kociuba.

- No i jak? Dowiedziałeś się czegoś?

Kociuba potrząsnął głową.

- Żadnych rewelacji. To wszystko już wiemy.

Olszewski wstał.

- Wobec tego nie będziemy już panu zabierali cennego czasu — zwrócił się z uśmiechem do Małogórskiego. — I jeszcze raz prosimy uprzejmie, że gdyby pan kontaktował się z panem Meysnelem...

- Nie zapomnę, nie zapomnę — zapewnił Małogórski, odprowadzając gości. — Mogą być panowie najzupełniej spokojni.

Kiedy znaleźli się w służbowej „Wołdze”, Olszewski spytał:

- I co...?

- Meysnel był wczoraj w „pałacu” — odparł Kociuba. — To nie ulega wątpliwości. Rozmawiał z wieloma ludźmi. Nawet z robotnikami pracującymi przy elewacji. Trudno przypuścić, żeby tyle osób było wtajemniczonych w jakies machinacje.

- Wygląda to trochę na ostentacyjną wizytę — powiedział Olszewski.

- To fakt — przyznał Kociuba. — To robi takie wrażenie, jakby facet chciał, żeby go jak najwięcej ludzi widziało. Ale w jakim celu...?

- Żeby nam pokazać, że żyje, działa i nie ma zamiaru nigdzie uciekać. Tak przynajmniej można by to interpretować, ale być może, nie kryje się za tym żadna chytra strategia.

- Wysłałeś mu wezwanie?

- Oczywiście. W dwóch językach.

- To dlaczego, u diabła, do nas się nie zgłosił?

- Wygląda na to, że w ogóle nie bywa w swoim mieszkaniu.

- To gdzie go szukać?

Olszewski wzruszył ramionami.

- Czort go wie.

Kociuba podrapał się za uchem.

- Słuchaj, Staszek, a jak byś się zapatrywał na to, żeby zajrzeć do jego mieszkania?

- Bardzo pozytywnie. Tylko ta koncepcja ma jeden zasadniczy mankament. Nie mamy absolutnie żadnych podstaw, żeby przeszukiwać jego mieszkanie. Żaden prokurator nie da ci nakazu. Gdyby jeszcze facet zniknął bez śladu, to można by gadać na ten temat, ale ponieważ wczoraj widziała go cała gromada ludzi...

- No to co? — zniecierpliwiał się Kociuba. — Jak go dopaść?

- Musimy czekać. Innej rady nie widzę — Olszewski był jakiś apatyczny i zamyślony. — Zdobyłem maszynopis — powiedział po chwili.

- Jaki maszynopis?

- Widziałeś tę maszynę, stojącą na biurku u Małogórskiego?

- Oczywiście. Widziałem także kilka zapisanych kartek. Myślę, że nie gwizdnałeś którejś z nich.

- Nie. To byłby zbyt wyraźny ślad.

Olszewski wyjął z portfela karty wstępu i opowiedział całe zdarzenie.

- Wygląda na to, że facet wolał nie wypełniać tego na maszynie — zgadywał podekscytowany Kociuba.

Olszewski przytaknął ruchem głowy.

- Właśnie. Wyjąłem tę kartkę z kosza na śmieci. Zobacz. Nie ma tu żadnego błędu.

- A jeżeli się kapnie, że zabrałeś tę kartkę?

- Jeżeli jest zamieszany w to morderstwo, to może wpaść w panikę. Tym gorzej dla niego, a tym lepiej dla nas. Człowiek, który się zaczyna bać, popełnia kardynalne błędy.

Kociuba zatarł ręce. Był zdenerwowany. Chciał, żeby już się zaczęło coś dziać.

- Trzeba z tym zaraz lecieć do Zakładu Kryminalistyki. Słuchaj, Stachu, czy ja muszę jechać na Wybrzeże?

- A co? Już ci się odechciało?

- Nie. Tylko może nie warto.

- Warto, warto. Jutro podskoczysz do Konstancina, a pojutrze na Wybrzeże. Trzeba jednak odszukać tego szarego „Opla” i tych drabów, którzy chcieli łać Mierzyckiego.

Pani Hortensja zajęta była w ogrodzie. Stała przy dorodnych krzakach róż i rozmawiała z ogrodnikiem z takim ożywieniem, że nie zauważyła pojawienia się obcego mężczyzny.

Kociuba przez chwilę przyglądał się tej eleganckiej, świetnie zbudowanej kobiecie, która, mimo iż dosyć już dawno przekroczyła przysłowiowy balzakowski wiek, mogła z powodzeniem konkurować z niejedną młodą dziewczyną.

Widząc, że nikt się nim nie interesuje, porucznik odchrząknął i powitał rozmawiających:

— Dzień dobry.

Odwróciła głowę. Poczul na sobie ostre spojrzenie jej ciemnych, wyrazistych oczu.

- Pan do kogo?

- Do pani Landbergowej.

- To właśnie ja jestem. Czego pan sobie życzy?

Kociuba przedstawił się, pokazał swoją legitymację i poprosił o chwilę rozmowy. Wszystko to zrobił z czarującym uśmiechem, usiłując, stosownie do wskazań Ol-

szewskiego, wyrzucić jak najlepsze wrażenie i pozyskać sympatię wytwornej ogrodniczki.

Nie chwyciło. Pani Landbergowa zupełnie nie zareago-
wała na „czarujący” uśmiech, uważnie obejrzała legity-
mację i z obojętnym wyrazem twarzy, dość niechętnym
tonem zaprosiła Kociubę do wnętrza willi.

Zaprowadziła swojego niespodziewanego gościa do tego
samego pokoju, w którym kiedyś częstowała Wojtka
herbatą. Tym razem jednak nie kwapiła się z poczęstun-
kiem. Ruchem ręki wskazała wyściełane krzesło. — Proszę,
niech pan siada. — Sama także usiadła na małym foteliku i
ponownie obrzuciła taksującym spojrzeniem młodego
człowieka. — Czemu zawdzięczam pańskie odwiedziny,
panie poruczniku? — Głos miała niski, o przyjemnym,
miękkim tembrze. Nie wiadomo dlaczego, Kociubie
przyszło na myśl, że mogłaby pięknie śpiewać romanse
cygańskie przy gitarze. Oczywiście, nie zdradził się z tą
refleksją. Czując wyraźnie jej niechętnie nastawienie
postanowił nie bawić się w żadne towarzyskie uprzejmości.

- Czy pani wie, że został zamordowany pan Zenon
Mierzycki?

- Tak — padła lakoniczna odpowiedź.

- Prowadzę dochodzenie w tej sprawie — ciągnął dalej
Kociuba. — A ponieważ przypadkowo dowiedziałem się, iż
był to pani znajomy...

- Tak. Znałam pana Mierzyckiego.

- Właśnie dlatego pozwoliłem sobie odwiedzić panią.
Muszę zebrać jak najwięcej informacji dotyczących denata.
Rozumie pani?

- Oczywiście. Doskonale rozumiem. Obawiam się jednak,
że niewiele pan się ode mnie dowie. Moja znajomość z
panem Mierzyckim była raczej powierzchowna. Właściwie
nic nie wiem o jego życiu, o jego kontaktach. A przecież o
to panu zapewne chodzi.

- W jakich okolicznościach poznała pani pana Mierzy-
ckiego?

- Och, to było tak dawno. Nie bardzo pamiętam. Chyba w

kawiarni, w jakimś towarzystwie... Doprawdy... szczegółów nie przypominam sobie.

- Czy odwiedzał tutaj panią?

- Tak. Był ze dwa, a może trzy razy.

- Czy w jakiejś konkretnej sprawie przyjeżdżał?

- Nie. Raczej tak sobie, towarzysko. Po prostu był przejazdem w tych stronach i wpadł do mnie na chwilę. Nic mieliśmy nigdy ze sobą żadnych wspólnych interesów. — Ostatnie zdanie wypowiedziane zostało ze szczególnym naciskiem, co Kociuba ocenił natychmiast jako dużą nieostrożność. Pytał dalej:

- Czy pani mogłaby mi powiedzieć, czym zajmował się pan Mierzycki?

- O ile mi wiadomo, to był kierownikiem jakiegoś lokalu pod Warszawą. Specjalnie się tym nie interesowałam.

- Czy słyszała pani kiedyś o niejakim Wojciechu Kalinie?

- Tak. Przyjeżdżał tutaj. To chłopak mojej gosposi.

- Co pani może powiedzieć o tym człowieku?

- Sympatyczny. Robi miłe wrażenie. Podobno bardzo wysportowany, silny.

- Niech pani sobie wyobrazi, że ten człowiek jest podejrzany o zamordowanie pana Mierzyckiego.

- O! To przykre. Zatrzymaliście go?

- Jeszcze nie. Czy pani uważa, że on byłby zdolny do popelnienia zbrodni?

- Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, panie poruczniku. Za mało go znam. Przelotnie rozmawiałam z nim parą razy, ale... Wydaje mi się, że to impulsywny młody człowiek, ale to przecież niczego nie dowodzi...

- A czy nazwisko King Meysnel mówi coś pani?

W ciemnych oczach swej rozmówczyni Kociuba dostrzegł jakby wahanie, nie był jednak pewien, czy nie uległ złudzeniu.

- Znam pana Meysnela. Dlaczego pan pyta?

- Dlatego, że chciałbym się z nim zobaczyć i jakoś nie mogę go odnaleźć.

- Chyba to nie takie trudne. Gdzieś musi mieszkać. Nie

znam co prawda jego adresu, ale wydaje mi się, że można się dowiedzieć.

Kociuba uśmiechnął się.

- Bez wątplenia. Ja znam jego adres, ale nigdy nie mogę zastać go w domu. Wysyłałem mu nawet wielokrotnie zaproszenie do komendy. Bez skutku. Byłbym pani niesłychanie zobowiązany, gdyby zechciała mi pani pomóc w odnalezieniu pana Meysnla.

Potrząsnęła głową.

- Bardzo żałuję, ale to nierealne. Nigdy nie widuję pana Meysnla. Nie bywa u mnie ani u nikogo z moich przyjaciół. To zupełnie przypadkowa znajomość, której nigdy nie podtrzymywałam.

- Rozumiem — Kociuba z coraz większym zainteresowaniem przyglądał się pani Landbergowej. — A co mogłaby mi pani powiedzieć na temat tragicznie zmarłego pana Mierzyckiego?

- Wspomniałam już, że bardzo słabo znałam tego człowieka i właściwie nic nie potrafię o nim powiedzieć.

- Dużo przypadkowych znajomości — zauważył Kociuba. Zmarszczyła brwi.

- Co pan przez to rozumie, panie poruczniku?

- Nie, nic. Tak sobie powiedziałem. Bo o kogo nie zapytam, to pani twierdzi, że to przypadkowa, przelotna znajomość...

- Czyżby pan miał do mnie o to pretensję?

- Ależ, broń Boże. Jakże mógłbym mieć pretensję o to, że pani kogoś mało zna.

- Ja też tak myślę — spojrzała na zegarek. — Czy to wszystko, panie poruczniku?

Kociuba wstał.

- Chyba tak. Dziękuję pani i przepraszam, że zabrałem tyle czasu. Jeszcze tylko chciałem panią zapytać, czy pani zna pana Małogórskiego, Wiktora Małogórskiego?

- Nie — padła zdecydowana odpowiedź. — A kto to taki?

- To jest taki jeden trochę dziwny pan, który mnie niepokoi.

Kociuba uklonił się i wyszedł. Pani Landbergowa nie

odprowadziła go do drzwi.

Olszewski niecierpliwie oczekiwał swego „towarzysza broni”.

- Coś ty tak długo siedział? — spytał. — Jak ci poszedł flirt z panią Landbergową?

Kociuba skrzywił się.

- Z flirtu nici. Nie jestem w jej guście.

- Może nieumiejętnie zabrałeś się do rzeczy?

- Robiłem, co mogłem. Twarda sztuka z tej Landbergowej. Ani się, cholera, nie uśmiechnie.

- A w ogóle jak było? Gadaj.

Kociuba streścił możliwie dokładnie rozmowę z panią Hortensją. Kiedy skończył, Olszewski spytał:

- A co ty o tym wszystkim myślisz?

- Myślę, że ta baba jest bardzo cwana — odparł Kociuba, przymrużając lewe oko. — Jestem przekonany, że doskonale znała Mierzyckiego i że ten Meysnel nie jest taką „przypadkową” znajomością. Poza tym odniosłem wrażenie, że nie miałyby absolutnie nic przeciwko temu, żebyśmy uwierzyli w winę Wojtka Kaliny. To chyba byłoby dla niej bardzo wygodne.

- Na czym opierasz takie przypuszczenie?

Kociuba dotknął swojego organu powonienia.

- Na nosie i na tym, że scharakteryzowała Wojtka, jako „impulsywnego młodego człowieka”. Wcale nie oburzyła jej wiadomość, że go podejrzewamy.

- Hm... — Olszewski zapalił papierosa i przeszedł się po pokoju. — Miałbym ochotę wziąć na podsłuch jej telefon. Spróbujemy to załatwić z prokuratorem. Spytałeś ją, czy zna Małogórskiego?

- Tak. Stanowczo zaprzeczyła. Może nawet nazbyt stanowczo.

- Widzę, że zaczynasz robić postępy jako psycholog — uśmiechnął się Olszewski.

- A ty natomiast wyspecjalizowałeś się w zawodzie satyryka — odparował Kociuba. — Niedługo zaczniesz pisywać teksty do któregoś z kabaretów.

- To pozostawiam osobom bardziej utalentowanym — uśmiechnął się Olszewski. — A wracając do naszej sprawy, mam dla ciebie dosyć sensacyjną wiadomość.

- Mianowicie?

- Pamiętasz ten kawałek wosku, znaleziony w mieszkaniu Mierzyckiego?

- Odciski zamków.

- Tak. Nigdy nie zgadniesz, o czyje drzwi chodziło.

Kociuba wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia. Nie zmuszaj mnie do przesadnie dużych wysiłków myślowych.

- Wyobraź sobie, że Mierzycki chciał się niepostrzeżenie dostać do mieszkania pana Kinga Meysnela.

- Do diabła! — ożywił się Kociuba. — Jesteś pewien?

- Sprawdzone. Nie rna wątpliwości.

- To ciekawe. Po co mu to było?

- Z różnych powodów ludzie pragną się dostać do cudzego mieszkania, rabunek, zdobycie jakichś tajnych dokumentów, zazdrość, chęć poznania cudzej tajemnicy...

- Czy sądzisz, że ta sprawa może się łączyć z zabójstwem Mierzyckiego?

- Niewykluczone. I jeszcze jedna wiadomość. Chyba także dosyć sensacyjna.

- Mów, nie daj się prosić.

- Ta kartka, którą otrzymał Wojtek Kalina jakoby od Mierzyckiego, została napisana przez Małogórskiego na maszynie, którą widzieliśmy w jego gabinecie.

Kociuba aż podskoczył na krześle.

- Nieprawdopodobne!

- Nie wątpisz chyba, że nasz Zakład Kryminalistyki umie badać te rzeczy. Nie muszę ci też robić wykładu na temat, że przy dzisiejszym rozwoju techniki możemy nie tylko zidentyfikować maszynę do pisania, ale także i piszącego, mając oczywiście w ręku maszynopis. Każdy człowiek inaczej uderza w klawisze maszyny i w związku z tym czcionki...

- Wiem, wiem — przerwał mu Kociuba. — Nie musisz mi

tego tłumaczyć. Ale to jest rzeczywiście sensacyjna wiadomość. To znaczy, że Małogórski jest zamieszany w tę zbrodnię.

- Na to wygląda.

- Trzeba go natychmiast tu sprowadzić.

- Posłałem już Pakulę z dwoma ludźmi — poinformował Olszewski. — Ja także od czasu do czasu staram się posługiwać głową. Jak tylko otrzymałem wyniki ekspertyzy, natychmiast kazałem jechać Pakule. Powinni niedługo tu być.

Kociuba skrzywił się sceptycznie.

- Wątpię, że Pakulę będziemy mieli okazję niebawem tu zobaczyć, to bardzo prawdopodobne, ale żeby Małogórski miał ochotę nas odwiedzić, to nie sądzę.

W tej chwili drzwi się otworzyły bez pukania i do pokoju wszedł sierżant Pakuła. Był zdyszany i podniecony.

- Tego faceta nie ma — powiedział od progu.

- A co się z nim stało? — spytał Olszewski.

- Wyjechał.

- Dokąd?

- Czort go wie. Powiedzieli nam w tym cholernym „pałacu”, że zaraz po waszej wizycie wziął wóz, pojechał i do dzisiaj nie wrócił.

- A nie mówiłem-mruknął Kociuba. — Szukaj wiatru w polu.

Rozdział XI

Miarowy stukot kół wagonu działał kojąco. Za oknem przesuwiał się przesłonięty deszczem krajobraz. Pola, laki, lasy — wszystko to odgrodzone jakby firanką utkaną z deszczowych kropeł.

Wojtek źle spał w nocy. Kwatera, którą naraił mu Karaluch, dotkliwie kontrastowała z „pałacowym” pokojem. Odwykł od brudu, smrodu i chrapania współlokatorów. Leżąc na ohydny, cuchnącym barłogu, nieomal z rozczuleniem wspominał celę więzienną.

Siedział osowiały i tępym wzrokiem patrzył na spływające po szybie krople. Czuł się bardzo podle. Ten smutny, dżdżysty dzień był równie beznadziejny jak sytuacja, w której się znajdował. Dokąd właściwie jedzie? Czy to w ogóle ma jakiś sens? Czy nie lepiej zgłosić się w pierwszym lepszym komisariacie i niech się to raz skończy. Po co sobie zawracać głowę? Po co się męczyć, denerwować? Karaluch? A cóż może dla niego zrobić ten mizerny złodziejaszek? Nic, absolutnie nic. Nie warto się łudzić. Dał się namówić na tę jazdę jak głupi. Kto wie, czy nie wpakuje się w jeszcze coś gorszego? Szlag by to wszystko trafił.

Ponure myśli, połączone z kołysaniem wagonu, zmorzyły go. Spał twardo do samego Szczecina. Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, Karaluch zaczął go potrząsać za ramie;

- Wstawaj, Wojtuś, wstawaj. Przyjechaliśmy.

Wojtek przetarł zaspane oczy.

- Że co?

- Przyjechaliśmy. Już Szczecin. Nie śpij.

Wysiedli. Otoczył ich gwarny tłum podróżnych, jedni tłoczyli się do wyjścia, drudzy witali się hałaśliwie ze stojącą na peronie rodziną, jeszcze inni, obarczeni większym bagażem, usiłowali zwrócić na siebie uwagę tragarzy.

Karaluch wziął Wojtka pod rękę i zaprowadził go do poczekalni.

- Posiedź tu sobie, Wojtuś. Ja pójdę się rozejrzeć. Powiniennem za godzinkę wrócić. Za bardzo się nie kręć — zniżył głos. — A jakby milicja, to zasuway do ubikacji. Zamknij się i przeczekaj. Tam cię nie będą szukali.

Wojtek został sam. Usadowił się na końcu drewnianej ławki, postawił koło siebie walizkę i zagapił się przed siebie.

Koło niego siedziała wiejska kobieta w chustce na głowie. Mocne dłonie oparła na koszyku i spoglądała ciekawie na swojego sąsiada. Niemłoda już, miała ładne, ciemne oczy i zdrową, ogorzałą cerę.

- Pan daleko jedzie?

- Dosyć daleko — odparł wymijająco Wojtek.

- Podróż mężczy człowieka — stwierdziła z przekonaniem.

- Uhm.

Najwidoczniej spodobał jej się barczysty chłop, bo nie dawała za wygraną.

- A pan to, przepraszam, ze wsi czy z miasta?

- Pochodzę ze wsi, ale teraz mieszkam w mieście.

- Pewnie pan do rodziny jedzie?

- Uhm.

- Rodzice się ucieszą.

- Uhm.

- A pan żonaty?

- Jeszcze nie — odparł Wojtek, rad, że przestała go wypytywać o cel podróży.

- Czas już by się było ożenić. Taki kawał chłopca i bez kobity.

- Jakoś się nie złożyło.

- A szkoda, bo mnie się widzi, że pan by się do żeniaczki nadał.

- Nie wiem. Nie próbowałem.

- Warto spróbować. Bo ja to już, proszę pana, miałam męża. Zmarło mu się. Prawdę powiedzieć, to on do roboty na gospodarce nijak się nie nadawał. Siły nie miał. Nawet i metra kartofli na plecy nie wziął. Kiedyś dźwignął worek żyta, przerwał się i zmarł. Wdową teraz jestem. Pan to

chyba silny w krzyżu. Tak pan wygląda, że metr kartofli...

- Ja i półtora metra na plecy zarzucę — pochwalił się Wojtek.

- No, widzicie. Nie to co mój Ignac Panie, świeć nad jego duszą. Do gospodarki to musi być chłop żylasty. W ogóle chłop musi być do rzeczy — poprawiła chustkę na głowie i zalotnie spojrzała na Wojtka. — Powinien pan pomyśleć o żeniaczce. Już czas. — Nie zrażona milczeniem Wojtka, dodała po chwili: — Ładną mam gospodarkę. Czternaście hektarów dobrej ziemi i jeszcze łąki będzie ze cztery hektary. Budynki pierwszorzędne, po Niemcach. Wszystko z cegły. Tylko nie ma komu na tym robić — westchnęła. — Dzieci mam dwoje, ale to jeszcze małe. Do szkoły trzeba posyłać. Ojciec stary, sterany przez wojnę. Nie ma komu robić.

- Faktycznie — przyznał Wojtek.

Podniosła się z ławki.

- Pan popilnuje mojego koszyka, a ja polecę do bufetu napić się herbaty. Śledzia jadłam. Pali mnie.

Poszła. Wojtek popatrzył na koszyk i pomyślał: „A może by pojechać z tą babą? Może sam Pan Bóg mi ją zsyła? Osiądę gdzieś na głuchej wsi i sam diabeł mnie nie znajdzie. Ameryka daleko, a baba z gospodarką pod bokiem i chętna by była. To widać. Aż piszczy do dobrego chłopca. A może by zabrać się z nią, nie czekając na Karalucha?” Zaraz jednak pojawiła się refleksja: Karaluch porządny kumpel, dobry przyjaciel. Chce mu pomóc. Nie może mu przecież zrobić takiego kawału, żeby nagle zniknąć. Byłby świnią. A Marcysia? Kochana dziewczyna. Jak to ona powiedziała przez telefon? „Zaczekaj, Wojtek... Zaczekaj... Ja nie chcę...” Na wspomnienie Marcysi zrobiło mu się tak jakoś ciepło koło serca, rozczulił się. Aż mu było dziwno. Nigdy jeszcze nie czuł czegoś takiego do żadnej dziewczyny. To prawda, że zakochał się w Beacie, ale to było zupełnie coś innego. Ze wszystkich sił pragnął ją zdobyć, posiadać, mieć. Nie wzbudzała w nim jednak uczucia czułości. Nie myślał o tym, żeby być jej opiekunem, żeby ją bronić. To było

inaczej, nie tak jak z Marcysią. Nie, nie pojedzie z wdową po Ignacu. Niech tam se sama gospodarzy. Nic mu do niej.

Wróciła. Była zaróżowiona od gorącej herbaty i wyglądała bardzo ładnie. Musiała chyba także zejść do toalety, bo włosy miała starannie uczesane, a chusteczką zawiązała fantazyjnie na szyi.

- Trza mi do pociągu — powiedziała. — Już czas. Szkoda, że nie jedziemy razem.

- A szkoda — powiedział uprzejmie Wojtek.

- Może by mnie pan kiedyś odwiedził?

- Bo ja wiem. Może...

Wcisnęła mu do ręki kartkę papieru.

- To mój adres. Jakby kiedy miał pan chęć, to proszę przyjechać. Zawsze będę panu rada. Czasem tak bywa, że człowiek człowieka pierwszy raz zobaczy i... Czy nie mam racji?

Wojtek uśmiechnął się niewyraźnie.

- Różnie bywa.

Zdjęła z ławki koszyk.

- No, to... do widzenia. Niechaj pan przyjedzie. Nie będzie pan żałował. Do widzenia.

Patrzył za nią, jak odchodziła z koszykiem w rękę. Szła energicznym, zamaszystym krokiem. Nie robiła wrażenia, że niesie coś ciężkiego, a koszyk był sporych rozmiarów i dobrze wyładowany. „Mocna baba” — pomyślał z uznaniem. „Ale przecież i Marcysia dziewczucha nie ułomek.”

Czas mijał, a Karaluch nie wracał. Wojtek zaczynał się niepokoić. Siedzenie na drewnianej ławie już go zmęczyło. Miał ochotę wstać i przejść się po poczekalni, nic się bał. A może się pomylił? Może mieli się spotkać gdzie indziej? Ale nie. Pamiętał wyraźnie, że Karaluch kazał mu czekać na siebie w poczekalni. Co się stało z Karaluchem? Dlaczego nie wraca? Czyżby go już przymknęli? Na myśl o tym Wojtka ogarnęło przerażenie. Rany boskie! Co będzie, jak Karaluch w ogóle nie wróci? Co wtedy? Co robić? Dokąd iść? Nie zna miasta. Nie wie, gdzie się obrócić. Nie ma tu żadnego kumpla, nikogo znajomego. W Gdyni już się trochę

zaczynał orientować, ale w Szczecinie... Cholera jasna. Przyjdzie mu tu marnie zginąć. Trzeba było, nie oglądając się na nic, jechać z wdową. Teraz już za późno.

I nagle odetchnął z ulgą. W drugim końcu sali zobaczył Karalucha. Nie mógł już dłużej wytrzymać w bezruchu. Zerwał się i pobiegł na spotkanie.

- Wojtuś, coś ty taki zdenerwowany? — spytał zaniepokojony Karaluch. — Gliny...?

- Nie mogłem się ciebie doczekać. Myślałem, że już nie przyjdiesz, że może ci się coś przytrafiło...

- A cóż by mi się mogło przytrafić?

- Mogli cię na przykład zamknąć do pudła.

- Eee.. — Karaluch skrzywił się z niesmakiem. — Do pudła? Mnie? Co też ci do głowy przychodzi?

- No, cóż... różnie bywa — Wojtek trochę się spieszył. — Właściwie nie bardzo wiem, w czym ty teraz robisz.

Karaluch protekcyjnym gestem poklepał go po plecach.

- W każdym razie to nie żadna drobnica. Te głupstwa zostawiłem młodszemu. W moim wieku to już tylko poważniejsze interesy, na większą skalę.

- Na większą skalę też można siedzieć — zauważył Wojtek.

- Spokojna głowa — Karaluch był w doskonałym humorze.

— Nie bój się nic. Zabieraj walizkę i odjazd.

- Dokąd?

- Albo masz do mnie zaufanie, albo nie. O nic nie pytaj i chodź. Gienio czeka.

Wojtek sięgnął po swoją walizkę i wyszli obaj przed budynek dworca.

- Dokąd mnie prowadzisz?

- Zaczekaj. Chwileczkę cierpliwości.

W bocznej ulicy stał lśniący, popielaty „Opel”. „Skąd ja znam ten wóz?” — pomyślał Wojtek. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad tym, gdyż właśnie w tej chwili wygramolił się zza kierownicy ogromny drab o byczym karku i potężnych barach zapaśnika ciężkiej wagi.

- To jest Gienio, a to Wojtek — dokonał prezentacji

Karaluch.

Gienio obrzucił Wojtka niechętnym spojrzeniem, jak to zwykle bywa przy spotkaniu z konkurencją. Zapewne zastanawiał się nad tym, jaki byłby rezultat ewentualnej walki wręcz. Na chwilę przestać żuć gumę, kiwnął głową na powitanie i mruknął coś niewyraźnie. Następnie wrócił za kierownicę.

Karaluch z Wojtkiem usiedli na tylnym siedzeniu. Ruszyli.

Gienio prowadził brawurowo. Widać było, że chce się popisać. Opony piszczały złowieszczo na zakrętach. Wóz przechylał się niebezpiecznie.

Karaluch stracił swój dobry humor. Oczy zrobiły mu : :ę okrągłe. — Spokojnie, Geniu — powiedział prosząco. — Spokojnie, Geniusiu.

W odpowiedzi „Gieniuś” dodał gazu. Jazda była iście kawalerska. „Ma facet nielekiego szmergla — pomyślał Wojtek. — Tylko patrzeć, jak nas zahaczy milicja.”

Najwidoczniej Karaluch miał te same obawy, bo znowu się odezwał:

- Gieniuś, bój się kija, gdzie ci tak pilno? Jeszcze nas, nie daj Boże, drogowa przykarauli. Langsam, langsam.

Od kierownicy doszedł ich ponury pomruk, ale „Opel” nie zwolnił. Wypadli na szosę. Wojtek chciał się wreszcie dowiedzieć, dokąd go wiozą, ale zrezygnował z wszelkich pytań. Wyczuwał instynktownie, że żadnej odpowiedzi nie otrzyma. Siedział więc milczący, ze wzrokiem utkwionym w szosie, która w zawrotnym tempie znikwała pod kołami samochodu. Właściwie było mu wszystko jedno, bo w końcu jaka to różnica, czy rąbnie gdzieś o drzewo, czy też powieszą go. Rezultat taki sam. Nie ma co się denerwować. Co będzie, to będzie. Raz kozie śmierć.

Po jakimś czasie Genio jednak zwolnił, a następnie mocno przyhamował i skręcił w lewo, w boczną drogę. Wjechali w las.

Nagle ogarnęła ich ogromna cisza, która po szaleńczej jeździe wydawała się czymś zupełnie nierealnym. Tak jakby

się znaleźli w innym świecie. Ptaki przekomarzały się w przydrożnych krzakach. Sosny pachniały żywicą.

Wóz posuwał się teraz wolno, ostrożnie, wpadając co chwila w jakiś niebezpieczny wykrot albo w głęboką kałużę, Gienio zrezygnował z brawury i prowadził teraz z niezwykłą rozważą, nie lekceważąc żadnej nierówności terenu.

Za lasem była niewielka wieś. Chaty ciągnęły się zwartym szeregiem tylko po jednej stronie drogi. Po drugiej stronie rosły liściaste drzewa, a wśród nich krzaki jałowca, dzikich róż i leszczyny. W pewnym oddaleniu od wsi stał murowany dom, zasłonięty od drogi jabłoniami, wiśniami i gruszami. Sad otaczała wysoka stalowa siatka.

Zatrzymali się przed furtką, pomalowaną zieloną farbą.

- Wysiadamy — powiedział Karaluch. W jego głosie wyczuwało się prawdziwą ulgę. Nie był amatorem rajdów samochodowych.

Wojtek wygramolił się z wozu i rozprostował zdrętwiałe nogi.

- A my gdzie? — spytał, wdychając z zadowoleniem rześkie powietrze, pachnące lasem.

- A my na wsi — odparł z uśmiechem Karaluch.

- Po cholere mnie tu przywiozłeś?

- Żebyś sobie odpoczął i żebyś nabrał sił.

- Nie zalewaj.

- Wcale nie zalewam. Podoba ci się tu?

- No chyba.

- To fajnie. Chodź do chałupy. Zapoznasz się z gospodarzem.

Kiedy podchodzili do furtki, Wojtek posłyszał warkot motoru. Obejrzał się. Szary „Opel” zawrócił i odjechał. W tym momencie uświadomił sobie, że to przecież ten wóz, którym przyjechali wtedy ci faceci, żeby lać Zenona. Wprawdzie mógł to być zupełnie inny szary „Opel”, ale... „Jeżeli to oni, to niech mnie Pan Bóg ma w swojej opiece — pomyślał i spojrzął z ukosa na Karalucha. — Czyżby on był z nimi w zмовie? Niemożliwe.”

Karaluch pchnął furtkę i po zwirowej ścieżce poszli w

kierunku domu.

Na ganku czekał na nich gospodarz. Wyglądał jak wyjęty z niemieckiego landszaftu, przedstawiającego myśliwych posilających się po polowaniu. Czerwona, nalana twarz, niebieskie oczy, pozbawione źrenic, i sumiaste, siwe wąsiska. Brakowało mu tylko tyrolskiego kapelusika z piórką i ogromnego kufła piwa, ociekającego obficie pianą.

- Witam panów.

Wojtek bąknął niewyraźnie swoje nazwisko i uściśnął tłustą, wilgotną dłoń.

Karaluch był tu widocznie zadomowiony, gdyż klepnął gospodarza po ramieniu i spytał:

- No, jak tam, panie Dobracki? Jak leci?

- Jak zawsze. Jakoś się żyje. Proszę panów do pokoju — mówił twardym, chropowatym akcentem i robił wrażenie człowieka mało komunikatywnego.

Weszli do pokoju, umeblowanego banalnie. Okrągły stół, nakryty koronkową serwetą, kredens z oszklonymi szafkami, kilka krzeseł i duża, pluszowa kanapa, pamiętająca zapewne bardzo odległe czasy.

- Panowie siadają. Moi synowie zaraz przyjdą — powiedział Dobracki i, nie patrząc na swoich gości, wyszedł.

Usiedli. Wojtek powiódł posepnym spojrzeniem po wiszących na ścianach oleodrukach, następnie skierował wzrok na Karalucha.

- Po cholere żes mnie tu przywiózł?

- Później ci wszystko wytłumaczę — szepnął Karaluch, rozglądając się ostrożnie dokoła. — Chcesz jechać do Ameryki czy nie?

— No chyba, że chcę.

— No, to siedź cicho i o nic nie pytaj.

Po dłuższej chwili weszli młodzi Dobraccy. Było ich trzech. Chłopy duże, zwaliste, szerokie w plecach. Najstarszy mógł mieć trzydzieści parę, najmłodszy nie miał chyba jeszcze dwudziestu lat, a średni, rudy jak wiewiórka, dobiegał zapewne trzydziestki.

Przywitali się grzecznie, ale bez wylewności. Zaraz też zaczęli krzątać się koło stołu.

- Jajecznice będziecie jedli? — spytał najstarszy, który, jak się okazało, miał na imię Antoni.

Karaluch wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu.

- Wszystko będziemy jedli, co tylko dacie.

Bracia tworzyli zgrany zespół. Stół błyskawicznie został nakryty kraciatą serwetą, na której pojawiły się chleb, masło, kiełbasa, ser, marmolada, miód i wreszcie jajecznica z pół kopy jaj.

Stary przyszedł już do gotowego. Obejrzał stół, to i owo poprawił, to i owo zganił i dał znak do rozpoczęcia śniadania.

Wojtek był głodny. Nie dał się prosić. Jadł, aż mu się uszy trzęsły. Pozostali biesiadnicy także nie mogli narzekać na brak apetytu. Antoni, który piastował najwidoczniej funkcję szefa kuchni, musiał dwa razy chodzić do spiżarni po kiełbasę i usmażył jeszcze trochę jajecznicy, ponieważ bracia narzekali, że głodni. Na zakończenie każdy dostał półlitrowy garnuszek z herbatą i kawałek ciasta.

Wojtka trochę dziwiło, że w domu nie było widać żadnej kobiety, ani matki, ani siostry, ani babki, ani choćby nawet jakiejś gosposi. Sami mężczyźni, jak w „Bonanzie”.

Kiedy się wreszcie najedli, stary Dobracki otarł wąsy i wyszedł. Młodzi zaś zabrali się do sprzątania, zmywania i robienia porządku. Szło im to niezwykle sprawnie.

Ukończywszy kuchenną robotę Antoni zwrócił się do Wojtka:

- Chodź, pokażę ci twój pokój, a jak będziesz miał i chęć, to mi pomożesz narąbać drzewa.

Po wąskich, stromych schodach wdrapali się na poddasze. Pokoik był mały, ale schludny i wygodnie urządzone. Było w nim wszystko, co trzeba, i tapczan, i szafa na rzeczy, i stoliczek, i krzesła, i miednica na taborecie, i dzbanek na wodę, i wiadro.

- Tu będziesz mieszkał — oznajmił krótko Antoni. — Przynieś swoją walizkę i rozpakuj się.

Wojtek zszedł na dół, wziął walizkę i skinął na Karalucha, który jeszcze siedział przy stole i kończył pić herbatę.

- Może porozmawiamy — zaproponował.

Poszli na górę. Karaluch usiadł na krześle i zapalił papierosa.

- Pewnie chcesz się czegoś dowiedzieć — zagadnął zaciągając się dymem.

- Gadaj wreszcie, do cholery, co to wszystko ma znaczyć — zdenerwował się Wojtek. — Wywiozłeś mnie do jakiejś dziury, gdzie mi każą drzewo rąbać. O co tu właściwie chodzi?

Karaluch uśmiechnął się i strzepnął popiół z papierosa.

- Jest dla ciebie pewna interesująca propozycja.

- Jaka propozycja?

- Żebyś został marynarzem.

- Poważnie mówisz? — ucieszył się Wojtek.

- A po cóż miałbym sobie żarty stroić? Jeżeli się zgodzisz, to popłyniesz w szeroki świat, do Ameryki.

- No chyba, że się zgodzę. Przecie tego chciałem. Na frachtowcu?

- Nie. Na jachcie.

- Na jachcie? Na jakim jachcie?

- Ciiiicho — Karaluch konspiracyjnym ruchem położył palec na wargach. — Nie tak głośno. Nie wszyscy zaraz muszą wiedzieć. Posłuchaj uważnie, co ci powiem. Otóż, sprawa wygląda tak: do Szczecina przyplłynął jachtem jeden bardzo bogaty facet, Argentyńczyk czy Urugwajczyk, czort jego wie. Fakt, że z Ameryki Południowej. Ale to nie taki zwyczajny jacht, tylko prawie cały statek. Niby żaglowy, ale motory ma jak cholera. I ten facet potrzebuje marynarzy.

- To on swoich nie przywiózł?

- Przywiózł. Ale podobnież jeden mu uciekł w Hamburgu, a drugi umarł w drodze. Może mu do tej śmierci ktoś dopomógł. Diabli ich wiedzą. Trzeci znowu chory. A na takim jachcie potrzeba ludzi.

- Ale jak z dokumentami? — zaniepokoił się Wojtek. — Nasi mnie nie wypuszczą.

- Nie będziesz się nikogo pytał o pozwolenie. W nocy załadują cię na jacht, a rano odjazd. Nikt nie będzie wiedział.

- A ten Argentyńczyk się zgodzi?

- On podobno lubi takich, których poszukuje milicja. Tacy mu najbardziej pasują.

Wojtek podrapał się w głowę.

- Jakiś fajniejszy typ. Ciekawe, co on przewozi na tym swoim jachcie. Chyba nie jabłuszka.

Karaluch pogroził mu palcem.

- Ej, Wojtuś, Wojtuś. Nie bądź za bardzo ciekawy. Znałem paru takich ciekawych, co już na nich dawno stokrotki rosną. Co cię to obchodzi, co wozi. Niech wozi, co chce. Pies z nim tańczył.

On będzie woził, co będzie chciał, a ja pójdę do pudła — powiedział posępnie Wojtek.

Karaluch wzruszył ramionami.

- Rób, jak uważasz. Ja ci daję dobrą okazję, a ty rób, jak chcesz. Nikt cię przecież do niczego nie zmusza. Myślałem, że się ucieszysz.

- Pewnie, że się ucieszyłem — Wojtek pokiwał głową. — To mi pasuje jak ulał, ale... Trochę to podejrzanie wygląda. Dlaczego chcą brać akurat mnie?

- To bardzo proste. Chłop jesteś zdrów, silny, nadajesz się na marynarza.

- A jak ich nakryją z jakim przemytem, to i mnie także posadzą.

- Bez ryzyka nic nie ma. Chcesz wyjechać bez paszportu, bez wiz, bez dokumentów, to musisz ryzykować. Tak czy nie?

- Co prawda, to prawda — przytaknął Wojtek. — Muszę ryzykować.

- No, chyba — Karaluch zgasił papierosa, usiadł koło Wojtka na tapczanie i poklepał go po plecach. — Nic się nie martw, Wojtuś. Wszystko będzie fajnie. Zobaczysz. Nie święci garnki lepią. Nie ty pierwszy i nie ty ostatni pryskasz za granicę bez paszportu. Dasz sobie radę. Nie wszystkich

nakrywają. Jakiś tam malutki procencik wpada. Nie musi to być akurat ten Argentyńczyk. Zresztą z tego, co słyszałem, facet ma obstawiony teren, że mucha nie siada.

- A jednak powiadasz, że jeden marynarz uciekł mu w Hamburgu.

- Uciekł. No, to co z tego? Może mu co ukradł i bał się, że się wyda. Wiesz, jak to bywa. Podgrandził cośkolwiek i noga. No, więc jak? Decydujesz się?

Wojtek siedział przez chwilę osowiały i nic nie mówił.

- No, a co mam robić? — powiedział wreszcie. — Jest okazja. Muszę korzystać. No, nie?

- Wiedziałem, że z tego nie zrezygnujesz — ucieszył się Karaluch. — Więc będzie tak. Posłuchaj. Tutaj posiedzisz ze dwa dni, trzy, ot, tak sobie, w charakterze parobka. Narąbiesz drzewa, nanosisz wody ze studni, dasz jeść krowom. Takie tam różne rzeczy, jak to na wsi. Jak już przyjdzie na to czas, to cię przewiozą cichaczem bliżej morza. Będzie ten jacht przepływał, to podpłyniesz do niego pontonem i w porządku.

- A nasi wopiści?

- Da się radę. Nie muszą o wszystkim wiedzieć. Nie takie się numery odstawiało. Umiesz pływać?

- Pewnie, że umiem.

- No, to fajnie. Może się przydać.

- Jednej rzeczy nie rozumiem — powiedział Wojtek.

- Czego nie rozumiesz?

- Dlaczego właściciel tego jachtu chce mieć za marynarza takiego podejrzanego typu jak ja? Przecież w razie jakiejś kontroli to dla niego niewygodne.

Karaluch wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Może mu potrzebny taki krzepki chłopak. Może chce mieć dobrą obstawę tam u siebie w Ameryce. A może jest pewny siebie i niczego się nie boi? Zresztą, nie ma co sobie nad tym łamać głowy. Powiedziałem im o tobie, chcą cię brać, to nie namyślaj się wcale, tylko siadaj i jedź. A może i ja tam kiedy wybiorę się do ciebie z wizytą, jak się dorobisz grubszej forsy. W Ameryce to nie to, co u

nas. Tam jest ruch w interesie, rozmach. Tam się faktycznie możesz dorobić. Są inne możliwości.

Wojtek nic nie odpowiedział. Myślał o straży granicznej.

Rozdział XII

Kociuba poleciał do Szczecina. Siedząc w samolocie, zastanawiał się, w jaki sposób odnaleźć prześladowców Mierzyckiego, jeżdżących szarym „Opel”. Jeżeli numer rejestracyjny był autentyczny, to sprawa nie była taka trudna, jeżeli natomiast wóz miał lipną rejestrację, to z odnalezieniem go mogły być znaczne kłopoty. Szczecin duże miasto, portowe, ruchliwe, pełne marynarzy, cudzoziemców, często zmieniających miejsce pobytu. Wytropienie szarego „Opla” nie było taką prostą rzeczą. Należało także brać pod uwagę fakt, że szary „Opel” mógł już bardzo dawno przestać być szarym „Opel”, zmieniając kolor na granatowy, zielony, czerwony albo czarny.

Prosto z lotniska pojechał do Komendy Wojewódzkiej. Przyjął go major Kozerski, czterdziestokilkuletni energiczny mężczyzna, o pociągłej, śniadej twarzy i szarych, przenikliwych oczach. Miał zwyczaj zacierać ręce w czasie rozmowy, jakby chciał pobudzić krążenie krwi w palcach.

Kozerski, dowiedziawszy się, o co chodzi, powiedział:

- Postaramy się wam oczywiście dopomóc. Zobaczymy, co się da zrobić w tej sprawie. Obawiam się, że faceci już zdążyli przemalować wóz.

- Właśnie — Kociuba pokiwał głową. — Ja także się tego boję. Ale może nie wiedzą, że ich szukamy.

- Jeżeli popełnili morderstwo, to na pewno przedsięwzięli wszelkie środki ostrożności. Ale nie przesądzajmy uprawy.

Okazało się, że numer rejestracyjny, zapisany przez sierżanta z komendy na Wilczej, nie był lipny. Szary „Opel” był własnością właściciela warsztatu samochodowego, niejakiego Feliksa Wróblewskiego.

Kociuba w towarzystwie porucznika Oleszka natychmiast pojechał do tego warsztatu.

Pan Feliks Wróblewski miał już dobrze po pięćdziesiątce. Okazał się człowiekiem niezwykle rozmownym, przyjacielskim. Odwiedziny milicjantów nie tylko go nie

speszyły, ale wprost przeciwnie, robił takie wrażenie, Jakby o niczym innym od dawna nie marzył. Zaprosił oficerów do przytulnego kantorka, znajdującego się za warsztatem, wyjął z szafki nalewkę własnej roboty i nie zważając na słowa protestu napełnił spore kieliszki rubinowym płynem.

- Czarna porzeczka — powiedział z triumfalnym błyskiem w oczach. — Sama najlepsza witamina. Samo zdrowie. Chowam to dla specjalnych gości.

- Ale my tutaj nie przyszliśmy do pana na wódkę — zauważył Kociuba. — My służbowo.

- Służba służbą, a po kielichu można się napić. Chłody jesienne za pasem. Od świętej Anki chłodne wieczory i poranki, a kiedy to tam ta święta Anka była. Czas leci. Tylko patrzeć, jak będziemy mieli Boże Narodzenie. Trzymam tutaj tę nalewkę w warsztacie, bo w domu In różnie bywa. Nie powiem, żeby moja żona była trunkowa, ale lubi sobie od czasu do czasu trzasnąć kielicha, a szwagier to w ogóle szkoda gadać. Po prostu, jak to mówią, oliwa. U mnie w domu jeżeli wódka postoi tydzień, to można powiedzieć, że już starka. Dlatego wolę tutaj. Zamykam na klucz tę szafeczkę, co to niby jako apteczka figuruje. Mam dwóch chłopaków do pomocy, ale oni nigdy by się nie ośmielili tutaj zajrzeć. Zresztą, klucza na wierzchu nie zostawiam. Zdrowie panów. Aby nam się...

Chcąc nie chcąc wypili. Nalewka rzeczywiście była pierwszorzędna. Pan Feliks chciał ponownie napełnić kieliszki, ale Kociuba tym razem zaprotestował stanowczo.

- Nie, nie. Bez przesady, panie Wróblewski. Przyszliśmy do pana w sprawie pańskiego wozu, tego szarego „Opla”.

- O tego grata wam chodzi? Chcecie, panowie, wypożyczyć? Proszę uprzejmie, ale to szmelc.

Kociuba potrząsnął głową.

- Nie, nie chcemy wypożyczyć. Chcieliśmy się tylko dowiedzieć, kto tym wozem na wiosnę bieżącego roku jeździł do Warszawy.

- Do Warszawy? Tym wozem? — Wróblewski roześmiał się głośno. — Ależ, panowie, któż mógłby takim rupieciami

jeździć do Warszawy. Ja bym się do Łobezu bał nim pojechać, nie tam do Warszawy. To nie jest wóz na takie trasy.

- Nasz funkcjonariusz widział w Warszawie ten wóz i zapisał numer rejestracyjny.

Pan Feliks spojrział zdumiony.

- Niemożliwe. To jakaś pomyłka.

- W Warszawie został zapisany pański numer rejestracyjny — upierał się Kociuba.

- Mógł się ktoś omylić. Człowiek jest tylko człowiekiem. Niedokładnie zapisał. Zmienił jedną cyfrę i gotowa pomyłka. Zapewniam panów, że tym wozem nikt do Warszawy nie jeździł. Owszem, czasami go pożyczam, nie tutaj gdzieś blisko. Do Warszawy nie ma mowy.

- To po co pan trzyma takiego grata? — spytał porucznik Oleszek.

- Kupiłem okazji, za grosze, to i trzymam. Czasami mi się przydaje, tak podskoczyć gdzieś niedaleko ni bo choćby po mieście się przejechać. Ale do Warszawy... Skąd? Ani mowy.

Kociuba nie chciał nalegać. Spytał:

- Jak panu idzie interes, panie Wróblewski?

Pan Feliks jakby się trochę spieszył tym pytaniem. Nagła zmiana tematu najwyraźniej zbiła go z tropu.

- Jak mi idzie interes? Ano... jakoś idzie. Nie za bardzo. Jak to dzisiaj. Nie to, żebym był niezadowolony — poprawił się błyskawicznie. — Uchowaj Boże. Uważam, wszystko tego...

- Mniejsza z tym — przerwał mu Kociuba. — Więc pan sobie nie przypomina, żeby ktoś pańskim wozem jeździł do Warszawy?

- Nie mogę sobie przypomnieć, bo czegoś takiego nie było.

- A może ktoś panu ukradł wóz?

- Ukraść? Mnie? — Wróblewski szczerze się roześmiał. — To jest, proszę panów, wykluczone.

- Dlaczego wykluczone?

- Bo jeszcze się taki nie narodził, który by Feliksa

Wróblewskiego okradł. To jest nie do pomyślenia. A zresztą, jakby mi ktoś wóz ukradł, to bym się chyba zorientował. Nie?

- Czy moglibyśmy zobaczyć ten wóz?

- Proszę uprzejmie. Panowie będą łaskawi. Wóz do panów dyspozycji.

Wyszli z kantorka.

.Szary „Opel” stał w prowizorycznym garażu, oddzielonym od reszty warsztatu kawałkiem pofalowanej blachy. Zaczęli bardzo skrupulatnie oglądać wóz. Porucznik Oleszek z ogromną uwagą obejrzał silnik. Kociuba, który nie bardzo znał się na motoryzacji, ograniczył się do ogólnych oględzin. Robił mądre miny, ale te oględziny niewiele mu dały.

Wrócili do kantorka.

- No, to jeszcze po jednym — powiedział wesoło pan Feliks, sięgając po butelkę.

Kociuba powstrzymał go ruchem ręki.

- Niech pan zostawi. Innym razem wpadniemy jeszcze na nalewkę. Na dzisiaj wystarczy. Czy długo ma pan otwarty ten interes?

- Różnie. Czasem do piątej, czasem do szóstej po południu. Chyba że wypadnie jakaś pilna robota. Wtedy trzeba posiedzieć i do późnego wieczora, ale tak się staram, żeby się nie przepracowywać. Zresztą, i moich chłopaków nie mogę przetrzymywać.

W tej chwili wszedł do kantorka potężny mężczyzna o barach atlety i byczym karku.

- Felek, chciałem... — urwał, spostrzegłszy milicjantów.

- Nie zawracaj mi głowy — zdenerwował się Wróblewski.

— Przyjdź jutro, Gieniu, albo jeszcze lepiej pojutrze.

Gienio Zniknął.

- Kto to był? — spytał Kociuba.

Pan Feliks skrzywił się z niesmakiem.

- To mój taki jeden dawny kumpel. Był kiedyś kierowcą. Miał kraknę i trochę mu teraz w głowie nie tego... Nachodzi mnie od czasu do czasu i tak marudzi. Zawsze wyciągnie te

parę złotych. Co mam robić? Daję.

Posiedzieli jeszcze chwilę, a następnie pożegnali pana Feliksa, podziękowali za poczęstunek i poszli.

W wozie Kociuba spytał:

- No, i co wy o tym myślicie?

- Myślę, że facet łże jak najęty — odparł porucznik Oleszek. — A poza tym tak się składa, że ja się trochę znam na samochodach.

- Zauważyliście coś?

- Jasne. Głowę daję, że ten zdezelowany silnik w „Oplu” był niedawno wmontowany.

- To znaczy, że na innym silniku mogli śmiało dojechać do Warszawy.

- Oczywiście — przytaknął Oleszek. — Nawet i do Zakopanego. Nie możemy wykluczyć, że do tego wozu wmontowują silniejszy silnik, niż ma normalny „Opel”. Stary wygląda mi na lepszego kanciarza.

- Chciałbym pogadać z tym osiłkiem — powiedział Kociuba. — Nie wiem tylko, jak do niego trafić?

- Spróbujemy dowiedzieć się czegoś od któregoś z dwóch pomagierów tego starego cwaniaka. Poślemy naszego wywiadowcę. Niech sprowadzi jednego z nich do komendy po skończonej robocie. Oczywiście, załatwi się to cicho i dyskretnie.

Kociuba pochwalił ten projekt. Na razie była to jedyna możliwość dowiedzenia się czegoś o kontaktach pana Wróblewskiego.

Poszli coś zjeść do pobliskiej restauracji, a następnie wrócili do komendy.

Porucznik Oleszek okazał się człowiekiem sympatycznym, chętnym do rozmowy i nie pozbawionym poczucia humoru. Gawędzili wesoło, wspominając różne dawne i niedawne przygody i ciekawsze śledztwa.

- Wy tu macie dużo interesujących spraw — westchnął Kociuba. — Morze, port, zjeżdżają się ludzie z całego świata. Ruch w interesie.

Oleszek uśmiechnął się.

- Aż za dużo tego ruchu. Nie wiadomo, za co się najprzód brać. Przeważnie szmugiel, ale są i inne numery, narkotyki, a nawet handel żywym towarem.

- Handel żywym towarem? — zdziwił się Kociuba. — Przerzucają dziewczyny za granicę?

- Handel dziewczynami to stary numer — Oleszek nie przestawał się uśmiechać. — Teraz handluje się mężczyznami. Chociaż handel niewolnikami to także nic nowego.

- Nie rozumiem.

- Zaraz to wytłumaczę. — Oleszek poprawił się na krześle, założył nogę na nogę i zapalił papierosa. — Wyobraźcie sobie, że na przykład jakiś facet młody, silny, zdrowy ukrywa się na naszym terenie przed milicją. Specjalny naganiacz, coś w rodzaju pośrednika, kontaktuje go z gościem, który ma możliwość załadować go na jakiś frachtowiec albo nawet na prywatny jacht. Następnie wiozą delikwenta do Brazylii albo do Argentyny i tam robią z nim, co chcą. Sprzedają go za grubą forszę. No, bo... zastanówcie się. Co facet może zrobić? Bez grosza przy duszy, bez znajomości kraju, języka. Jest całkowicie zdany na łaskę i niełaskę tych bandziorów. Pchają go do jakiejś kopalni albo na plantację, i kropka. Nie ma przecież żadnych dokumentów, ani paszportu, ani wizy. Żadnych szans. Mamy tu teraz na oku jednego takiego „turystę”, co to niby wybrał się w podróż dookoła świata. Podobno Argentyńczyk, ale z pochodzenia Włoch. W jego sprawie dostaliśmy już cynk z Interpolu. Na razie jest w porządku. Niczego nie można mu dowieść. Zobaczmy, co będzie dalej. Facet przyplłynął takim jachtem, że prawie pasażerski statek. Ożaglowanie ma olbrzymie, motory jak cholera. Musi rozwijać kolosalną szybkość. Podobno poszukuje ludzi do roboty, marynarzy. Tak przynajmniej słyszałem. Niewykluczone, że właśnie ma ochotę pohandlować sobie białymi niewolnikami.

Kociubę ogromnie zainteresowała ta opowieść. Zaraz też pomyślał o Wojtku, który znakomicie nadawałby się na

tego rodzaju towar i bardzo możliwe, że dałby się nabrać.

Około godziny dziewiętnastej sierżant Nowak „doholował” do komendy początkującego mechanika samochodowego. Chłopak był dobrze rozwinięty fizycznie, ale nie robił wrażenia przesadnie bystrego. Jeżeli dysponował pewną dozą wrodzonej inteligencji, to była ona bardzo starannie ukryta. Pomocnik pana Wróblewskiego tak był przerażony sytuacją, w jakiej się znalazł, że siedział z wybałuszonymi oczami i powtarzał w kółko: — Ja nic nie ukradłem... ja nic nie ukradłem... Tę wycieraczkę to nie ja...

Na prośbę Kociuby Oleszek prowadził przesłuchanie. Dość długo musiał wyjaśniać, że nie chodzi o żadną kradzież ani o wycieraczkę.

- Imię i nazwisko?

- Drucik Dariusz — odparł chłopak drżącym głosem. W dalszym ciągu Oleszek pytał o imiona rodziców,

miejsce i datę urodzenia, o stan cywilny, o obecny adres itd., itd. Chciał po prostu dać trochę czasu chłopakowi na odzyskanie jakiej takiej równowagi psychicznej. Na koniec przystąpił do meritum sprawy.

- Jak dawno pracujecie u pana Wróblewskiego?

- Będzie już z rok.

- Zadowoleni jesteście z tej roboty?

- Co bym nie miał być zadowolony? Wszędzie trzeba robić.

- Dużo macie klientów?

- Różnie. Raz dużo, raz mało. Jak podleci.

- A tego szarego „Opla” to często wypożyczacie?

- Wypożyczamy.

- Ale czy często? — nastawał Oleszek.

- Różnie. Czasem często, a czasem rzadko. Jak podleci.

- A jak to jest z tym silnikiem?

- Z jakim silnikiem, proszę pana?

- No, z tym, co to go wmontowujecie do tego „Opla”.

- A pan skąd wie? — zdziwił się chłopak.

- Wiem. No, więc mówcie. Jak to jest z tym wmontowywaniem innego silnika?

- Czasem się zdarza.
- Kiedy się zdarza?
- Jak ktoś chce mieć szybki wóz, to wtedy wmontowujemy inny silnik.
- Ostatnio niedawno wmontowywaliście inny silnik.
- Niedawno. Będzie ze dwa dni temu nazad.
- Kto wtedy brał wóz?
- Pan Gienio.
- Taki duży, barczysty.
- Silny chłop. Z nim trzeba, proszę pana, bardzo grzecznie, bo jak łunie... Jezusie...
- Jak się nazywa ten pan Gienio?
- Tego nie powiem, bo nie wiem. Szef zawsze mówi pan Gienio i pan Gienio. A mnie tam nie obchodzi, jak się kto nazywa.
- Może wiecie, gdzie mieszka?
- Może... ale...
- Co to znaczy „może”? Wiecie czy nie wiecie?
- Wiedziałem, ale chyba zapomniałem. Raz jeden byłem u niego w mieszkaniu.
- Jaka ulica?
- Nie pamiętam. Mnie się w ogóle nazwy ulic nie trzymają. Tak może bym i trafił, ale ulicy nie pamiętam.
- Byłoby dobrze, żebyście trafili. Spróbujemy. Czy ten pan Gienio bywa u was w warsztacie sam, czy też czasem w towarzystwie?
- Zawsze sam przychodzi. Bez żadnego towarzystwa.
- I zabiera tego „Opla” z wymienionym silnikiem.
- Od czasu do czasu. Nie tak często.
- A może wiecie, gdzie pan Gienio pracuje?
- Wiem. W porcie pracuje. W magazynach.
- Trafilibyście do tych magazynów?
- Chyba, że bym trafił.
- Słuchajcie, Drucik — Oleszek pochylił się nad biurkiem i spojrzał uważnie chłopakowi w oczy. — Myślę, że pan Wróblewski nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, żeście tu nam opowiadali o tym wmontowywaniu innego

silnika do „Opla”.

- Z miejsca by mnie wygnał na zbitą mordę, proszą pana. Surowo mi zakazał mówić o takich rzeczach. Ale przecie na milicji musiałem. No, nie?

- Oczywiście. Musieliście nam powiedzieć. A teraz taka sprawa. My nic o tej naszej rozmowie panu Wróblewskiemu nie powiemy i wy także nic nie mówcie. Tak chyba będzie najlepiej.

Chłopak ożywił się radośnie.

- No, pewnie, że nie powiem. Taki głupi to ja znowu nie jestem. Dziękuję panu. Czy mogę już iść do domu?

- Możecie. Ale pamiętajcie — o naszej rozmowie ani słowa, ani panu Wróblewskiemu, ani w ogóle nikomu.

Po wyjściu Dariusza Drucika obaj oficerowie parsknęli śmiechem.

- Z trudem mogłem utrzymać powagę — powiedział Oleszek.

- Mnie także nie było łatwo — przyznał Kociuba. — Znakomity typ. Nie jestem pewien, czy dotrzyma tajemnicy.

Oleszek wzruszył ramionami.

- Trudno zgadnąć. Możliwe, że jednak zrozumiał swój własny interes i będzie trzymał język za zębami. Zresztą, to nic nie wiadomo. Wszystko będzie zależało od tego, czy Wróblewski coś podejrzewa i czy przyciśnie chłopaka. Nie sądzę jednak, żeby się domyślił, że przesłuchiwaliśmy jego pracownika. Chociaż... To sprytny facet. Nasza wizyta musiała dać mu dużo do myślenia.

Kociuba pokiwał głową.

- Tak. Sądzę, że w tej sytuacji jak najszybciej musimy odnaleźć „pana Gienia”. Może nie jest on jedynym użytkownikiem szarego „Opla”. Niewykluczone, że ma powiązania z różnymi osobami, które mogą nas interesować. Jak się zapatrujecie na odnalezienie tego faceta?

- Bardzo pozytywnie — uśmiechnął się Oleszek. — Jeżeli to prawda, że pracuje w magazynach portowych, nie powinno to być rzeczą zbyt trudną. Nie ulega wątpliwości, że musimy działać szybko i jednocześnie ostrożnie. Cała ta

historia bardzo mi pachnie jakąś większą aferą. Nie chcę przesądzać sprawy, ale wydaje mi się, że mamy do czynienia z ludźmi i bardzo sprytnymi, i niebezpiecznymi.

- Jakie plany na najbliższą przyszłość? — spytał Kociuba.

- Jutro z samego rana proponuję wypad do magazynów portowych. Niezależnie od tego, weźmiemy pod dyskretną obserwację warsztat samochodowy pana Feliksa, a może nawet spróbujemy skontrolować jego rozmowy telefoniczne. Wątpię, czy to coś da, ale spróbować trzeba.

Okazało się, że Dariusz Drucik mówił prawdę. „Pan Gienio” rzeczywiście pracował w porcie. Nazywał się Ostapiuk i jeździł jako kierowca ciężarówki. Dyskretnie przeprowadzony wywiad dostarczył nowych informacji. Ustalono adres prywatny oraz stwierdzono, że Eugeniusz Ostapiuk nie jest żonaty i podnajmuje umeblowany pokój do spółki z niejakim Gabrielem Rupińskim. Okazało się, że jest to ten sam Gabriel Rupiński, którego Olszewski odnalazł w aktach sądowych. Na razie nie zapraszano do komendy ani jednego, ani drugiego.

- Powolutku — mówił porucznik Oleszek. — Co nagle, to po diable. Nie trzeba ich za bardzo płoszyć. I tak już ta rozmowa z Wróblewskim musiała ich zaniepokoić.

Imię Gabriel nie dawało Kociubie spokoju. Pamiętał ciągle tę książkę, którą Olszewski znalazł w mieszkaniu Mierzyckiego: „Sztuka fałszerzy — Fałszerze sztuki”. I dedykacja: „Niezawodnemu kumplowi Zenonowi tę pouczającą lekturę ofiarowuje zawsze wierny i oddany Gabriel.” A jeżeli to ten sam Gabriel? Jeżeli to właśnie ten kumpel Zenona Mierzyckiego? Imię raczej rzadko spotykane.

- Muszę mieć gustowne zdjęcie obywatela Gabriela Rupińskiego. Możecie mi pomóc?

- Postaramy się to załatwić — obiecał Oleszek. — Chyba to nie będzie takie trudne.

- Ale oprócz jego podobizny potrzebny mi także jego rękopis. Nie musi to być żaden wartościowy utwór literacki, ale kilka słów napisanych ręką.

Porucznik Oleszek był człowiekiem operatywnym. Po upływie dwóch dni wręczył Kociubie fotografię i rękopis. Kociuba natychmiast wysłał to wszystko do Warszawy i połączył się telefonicznie z Olszewskim.

- Wysyłam ci zdjęcie niejakiego Gabriela Rupińskiego. Niech je obejrzy sierżant Borczuk z Wilczej i niech powie, czy czasem takiej gęby nie widział w tym samochodzie, który kiedyś znalazł z pobitymi facetami przed pogotowiem na Hożej. Chodzi o szarego „Opla”. Zresztą, on będzie wiedział. Poza tym posyłam ci rękopis. Sprawdź go z tą dedykacją, którą jakiś Gabriel napisał w tej książce „Sztuka fałszerzy”. Pamiętasz? Znalazłeś ją w mieszkaniu Mierzyckiego.

- Oczywiście, że pamiętam. Znalazłeś Kalinę?

- Nie znalazłem. Prawdę mówiąc, nie bardzo go szukam. Mam ważniejsze sprawy na głowie. A jak tobie leci?

- Jak krew z nosa — burknął Olszewski i odłożył słuchawkę.

Kociuba nie posiadał się z radości. Tak był podekscytowany, że aż walnął pięścią Oleszka w plecy, chociaż nie byli ze sobą aż w takiej komitywie.

- Pasuje, cholera jasna! Rozumiecie, co to znaczy? Wszystko pasuje, i fotografia, i rękopis, i w ogóle wszystko. To ten facet, którego szukam.

- Ale że wam tak szybko zrobili ekspertyzę pisma — zdziwił się Oleszek.

- U nas tak się pracuje. Systemem błyskawicznym. Jak trzeba, to potrafią się pospieszyć — Kociuba zacierał ręce z zadowolenia. — Szafa gra, szafa gra — powtarzał. — Co za zbieg okoliczności, że akurat z tym szoferem mieszka Gabriel, właśnie ten Gabriel, o którego nam chodzi.

- Chcecie go ściągnąć do komendy?

- Oczywiście. Teraz już mogą go przesłuchać.

Kociuba jednak musiał uzbroić się w cierpliwość.

Przez cały dzień nigdzie nie można było znaleźć Rupińskiego. Dopiero nazajutrz rano sierżant Nowak dostarczył

do komendy współlokatora „pana Gienia”.

Kociuba poprosił Oleszka, żeby był obecny przy tej rozmowie. Wolał mieć świadka.

Rupiński nie robił wrażenia człowieka speszonego czy zdenerwowanego. Niechętnym spojrzeniem obrzucił milicjantów, usiadł i nie pytając o pozwolenie zapalił papierosa. Chłop był rosły, barczysty, tryskający zdrowiem i energią życiową.

Kociuba przez chwilę przyglądał się tej szerokiej, o nieregularnych rysach twarzy, w której mocnym blaskiem świeciły czarne, nieco skośne oczy.

Pierwszy odezwał się Rupiński:

- Czego chcecie ode mnie? O co chodzi?

Kociuba nie zwrócił uwagi na agresywny ton swego rozmówcy. Spokojnie zanotował dane personalne, uporządkował porozrzucane na biurku kartki papieru i dopiero wtedy zwrócił się do przesłuchiwanego:

- Chyba pan wie, w jakim celu wezwaliśmy pana do komendy.

Rupiński wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Chodzi o morderstwo.

- O morderstwo? Ależ ja nikogo nie zamordowałem! Co też pan...?

- W Warszawie został zamordowany w swoim mieszkaniu niejaki Zenon Mierzycki. Znał go pan, prawda?

- Nie. Nie znałem takiego człowieka. Nigdy nie znałem.

- Panie Rupiński — Kociuba mówił spokojnym, ale stanowczym głosem. — Muszę pana ostrzec, że wszystkie kłamstwa pogorszą pańską sytuację i zostaną wykorzystane przeciwko panu. Radzę więc mówić prawdę.

- Ja nie kłamię.

- Przed chwilą powiedział pan, że pan nie znał Zenona Mierzyckiego.

- Bo nie znałem.

- W mieszkaniu zamordowanego znaleźliśmy książkę pod tytułem „Sztuka fałszerzy — Fałszerze sztuki”. W tej książce

napisał pan własnoręcznie dedykację, która dokładnie brzmiała: „Niezawodnemu kumpłowi Zenonowi tę pouczającą lekturę ofiarowuje zawsze wierny i oddany Gabriel.”

Twarz Rupińskiego nabiegła krwią.

- Poza tym — ciągnął Kociuba — na wiosnę tego roku odwiedził pan wraz z dwoma swoimi przyjaciółmi Zenona Mierzyckiego, który pracował w pewnym lokalu pod Warszawą. Miał pan zamiar rozprawić się z nim, ale na przeszkodzie stanął jeden młody człowiek, który was pobił do nieprzytomności, a następnie odwiózł do Warszawy i zostawił pod pogotowiem ratunkowym, gdzie znalazł was funkcjonariusz milicji, który w każdej chwili może stwierdzić pańską tożsamość. Widzi więc pan, że nie ma sensu kłamać, zaprzeczać...

Rupiński zwiesił głowę. Milczał.

- Więc przyznaje pan, że znał pan Zenona Mierzyckiego i nie tylko pan go znał, ale nawet łączyły go z panem więzy przyjaźni. Do pewnego czasu, oczywiście.

Rupiński w dalszym ciągu milczał.

- A więc powtarzam pytanie. Czy znał pan Zenona Mierzyckiego? — nie tracił cierpliwości Kociuba.

- Znałem.

Kociuba poprawił się na krześle i zanotował coś na kawałku papieru.

- Skoro wyjaśniliśmy sobie tę sprawę, to może przejdziemy do następnych zagadnień. Zostało stwierdzone, że pożyczał pan wóz od niejakiego Feliksa Wróblewskiego. To jest „Opel”, szary „Opel”. Pan Wróblewski twierdzi, że wóz jest w takim stanie, że można nim przejechać najwyżej kilka, kilkanaście kilometrów i że w żaden sposób nie dałby tego wozu na jazdę do Warszawy. Jak to się stało, że panowie jednak pojechali tym wozem do Warszawy?

Rupiński wzruszył ramionami.

- Wypożyczył wóz, to żeśmy pojechali. Ja się tam na tym nie znam. Nie jestem kierowcą. Zabrałem się przy okazji.

- A kto prowadził wóz?

- Jeden taki.

- Konkretnie kto? Jak się nazywa?

- Ten drugi mówił do niego Witek, a nazwiska to nie znam.

- A nazwisko tego drugiego?

- Także nie wiem. Przypadkowo...

- Panie Rupiński — Kociuba machnął niecierpliwie ręką — niechże pan wreszcie da spokój z tymi łgarstwami. Nie w mówi pan w nas, że z przypadkowo poznanymi ludźmi pojechał pan pod Warszawę, żeby bić Mierzyckiego. Przecież chyba nie wyobraża pan sobie, że możemy w to uwierzyć.

- W drodze żeśmy się zaprzyjaźnili. Opowiedziałem im, że mam takie tam porachunki z Zenonem i...

- Więc miał pan porachunki z Mierzyckim?

- Drobnie nieporozumienia. Właściwie...

- Zenon Mierzycki został zamordowany, a pan miał z nim nieporozumienia...

Rupiński poruszył się niespokojnie. Stracił swój cały początkowy tupet.

- Na miłość boską! Ja go nie zabiłem! Chyba pan nie przypuszcza, że ja...?

- Prowadzę dochodzenie w tej sprawie — odparł spokojnie Kociuba. — Kiedyś pozostawał pan z Zenonem Mierzyckim w przyjacielskich stosunkach, następnie te stosunki popsuły się tak dalece, że chciał go pan bić, a w jakiś czas potem Mierzycki został zamordowany. To wszystko nie przemawia na pańską korzyść, panie Rupiński.

- Mnie w tym czasie nie było w Warszawie.

- W jakim czasie?

- No, wtedy, kiedy ktoś Zenona wykończył.

- A skąd pan wie, kiedy Mierzycki został zamordowany?

Rupiński bardzo się zmieszał. Zrozumiał, że popełnił duży błąd.

- Przecież pan porucznik sam powiedział, że Zenon został zamordowany po tej awanturze, a po tej awanturze to ja zaraz wróciłem do Szczecina. I już do Warszawy nie

jeździłem.

- Może pan tego dowieść, że potem nie jeździł pan do Warszawy?

- Jak to, dowieść, panie poruczniku? — Rupiński roześmiał się niezbyt szczerze. — Nie jestem żonaty. Kto może zaświadczyć? Jeżdżę trochę to tu, to tam... Ale jakże ja świadków przedstawię, że nie byłem w Warszawie?

- Obecnie mieszka pan z niejakim Eugeniuszem Ostapiukiem.

- Tak jest. Ale to chwilowo. Właśnie szukam mieszkania.

- Szuka pan mieszkania?

- Oczywiście. We dwóch w jednym pokoju, to pan porucznik sam rozumie... Skrępowanie. Chciałbym samodzielna kawalerkę.

- Kawalerkę, powiada pan... — Kociuba podrapał się Kię za uchem. — No, cóż... pomyślimy. Niech nam pan Jeszcze powie, czym się pan zajmuje?

- Jak to, czym się zajmuję?

- No, co pan robi? Gdzie pan pracuje? Z czego pan się utrzymuje?

- Szukam pracy.

- I nie może pan znaleźć pracy? Tutaj? W porcie?

- No... wie pan porucznik... Chciałbym coś odpowiedniego.

- A jakie pan ma kwalifikacje?

- Różne. Jak by to powiedzieć...? Różne rzeczy już w życiu robiłem. Co podlegało...

- Ale konkretnie co?

Rupiński zaczął się kręcić na krześle.

- Trochę ślusarką się zajmowałem... Trochę się handlowało... trochę mi ciocia pomagała...

- Na wiosnę tego roku wyszedł pan z więzienia, prawda?

- Owszem.

- Odsiadywał pan karę za rozmaite oszustwa.

- To było nieporozumienie, panie poruczniku. Zostałem skazany niewinnie. Pomyłka sądowa. To nie ja powinienem był siedzieć, tylko ten skur... Pardon. Miałem na myśli tego drania Zenona. Panie, świeć nad jego duszą.

- Chce pan dać do zrozumienia, że to Mierzycki pana wrobił?

- Ma się rozumieć, panie poruczniku. To był cwaniak nie z tej ziemi. Kombinował, różne kanty odstawiał, a inni za niego siedzieli. I ja także byłem taki frajer.

Kociuba pokiwał głową.

- Czyli wszystko przemawia za tym, że chcąc się zemścić zabił pan Zenona Mierzyckiego.

Rupiński zerwał się z krzesła.

- Jak Boga kocham! Ja tego nie zrobiłem! Ja nie zabiłem Zenona. Mnie wtedy w ogóle nie było w Warszawie.

- A gdzie pan był?

- Na Podkarpaciu.

- Przed chwilą powiedział pan, że po tej awanturze z Mierzyckim i po tej bójkę wrócił pan do Szczecina, a teraz słyszę, że pan pojechał na Podkarpacie.

- Bo ja najprzód, panie poruczniku, pojechałem do Szczecina, a później pojechałem na Podkarpacie.

- Kto może to poświadczyć?

- Ja wiem kto? Trudno mi powiedzieć.

Kociuba zdecydowanym ruchem stuknął długopisem o blat biurka.

- Panie Rupiński, pomówmy ze sobą zupełnie szczerze. Jeżeli pan nie zdoła przedstawić wiarygodnych świadków, że w dniu zabójstwa Mierzyckiego nie było pana w Warszawie, to będę zmuszony zatrzymać pana w areszcie do dyspozycji prokuratora.

Rupiński zbladł.

- Panie poruczniku... ja bardzo chętnie... tylko... i chciałby mnie pan wpakować do pudła?

- Będę zmuszony zatrzymać pana w 'areszcie do dyspozycji prokuratora — powtórzył Kociuba.

- Rany boskie... Dopiero wyszedłem... Rany boskie... Może by pan Małogórski.

- Co pan Małogórski...?

- Może by zaświadczył.

- A co pan Małogórski ma z panem wspólnego?

- Bo on mnie właściwie wysłał właśnie na Podkarpacie...
- W jakim celu?
- W celu...? W celu handlowym... Znaczy się... z towarem...
- Z jakim towarem?

Rupiński był coraz bardziej speszony. Czuł, że się głupio zaplątał, i nie wiedział, jak wybrnąć z sytuacji, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę z tego, że wszystko jest lepsze, aniżeli być podejrzanym o morderstwo.

- Z jakim towarem pojechał pan na Podkarpacie? — powtórzył pytanie Kociuba.

- Me... me... medaliki. Handlowaliśmy medalikami... Wie pan porucznik... takie dewocjonalia dla wsi.

Kociuba pokiwał głową.

- Tak, wiem. Takie medaliki wyprodukowane w mennicy państwowej w Stanach Zjednoczonych. Dużo było tych „twardych”?

- Ale co też pan, panie poruczniku...?

- A może to nie były dolary, tylko sztabki złota, co?

- Skądże znowu? Ja do takich spraw...

- Nie czarujmy się, panie Rupiński — przerwał mu Kociuba. — Nie z małymi dziećmi pan tu rozmawia. Orientujemy się trochę w tych sprawach. Na wsi dużo jest papierowych dolarów. Chłopi chętnie wymieniają je na złoto. To są poważne transakcje. Więc współpracował pan z panem Małogórskim?

Rupiński był coraz bardziej zrezygowany.

- To znaczy... No, tak... Dorywczco... Przypadkowo. Tego...

Kociuba podsunął mu kartkę papieru i długopis.

- Niech pan napisze do swojego przyjaciela Gienia, że musiał pan nagle wyjechać w pilnych sprawach handlowych i że wróci pan po niedzieli.

- To znaczy, że do pudła.

- Niech pan pisze.

Rupiński posłusznie spełnił polecenie. Przesłuchanie zostało zakończone.

Kiedy zostali sami, Oleszek pokręcił głową ze zdumieniem.

- Bardzo szerokie powiązania.

- Właśnie — przytaknął Kociuba. — Poszczególne ogniwa zaczynają nam się łączyć. Nie chciałem go już dłużej maglować, ale trzeba będzie jeszcze jutro z nim pogadać, a może i pojutrze. To sensacja, że on współpracował z Małogórskim. Nigdy bym na to nie wpadł. Interesujące, nawet bardzo. Jak się nazywa ten argentyński Włoch, który przyłynął do was tym wspaniałym jachtem?

- Arturo Balistieri.

- A czy nie można przypuszczać, że on pojawił się u nas nie tylko w celach turystycznych?

- Chyba można — uśmiechnął się Oleszek.

Rozdział XIII

Podczas gdy Kociuba rozpracowywał szczeciński teren, Olszewski robił, co mógł, ażeby posunąć sprawę naprzód w Warszawie. Nie szło mu to łatwo i chwilami ogarniało go zniechęcenie. Ciągłe bezskutecznie usiłował się skontaktować z mister Kingiem Meysnelem, który po ostatniej bytności w „pałacu” był nieuchwytny. Oficjalne wezwania do komendy nie przyniosły rezultatu, a dozorczyńni twierdziła, że ten „amerykaniec” w ogóle nie nocuje w swoim mieszkaniu i że go od dawna nie widziała.

Drugim poszukiwanym był Małogórski, który także zniknął w tajemniczy sposób i nie można go było wytropić. Nikt nie wiedział, co się z nim stało. Jedno tylko było pewne, że wziął wóz z garażu i wyjechał w niewiadomym kierunku.

Olszewski parokrotnie jeździł do „pałacu”, ale tam niczego nie zdołał się dowiedzieć ani o Meysnelu, ani o Małogórskim. Personel jeszcze pozostał, ale widać było, że impreza dobiega końca. Lokal był już nieczynny, a prace remontowe posuwały się zółwim krokiem. Najwidoczniej jakaś firma budowlana wzięła z góry pieniądze i postanowiła wykonać roboty do pewnej określonej sumy.

Któregoś popołudnia pułkownik Leśniewski wezwał do siebie Olszewskiego.

- No i co?

- No i nic. Szukam facetów po całym kraju. Zupełnie beznadziejna sprawa. Małogórski zwiął, bo się nas przestraszył, ale ten Amerykanin?

- Może nie żyje?

Olszewski wzruszył ramionami.

- Może.

- Widzę, że nie jesteście w najlepszym nastroju — uśmiechnął się pułkownik.

- Jak można być w dobrym nastroju? Wszystko idzie jak z kamienia. Najprzód szukaliśmy tylko jednego, a teraz już

trzech szukamy, tego cholernego Amerykanina, Kaliny, Małogórskiego. I nic. Jak dotychczas nie natrafiliśmy nawet na ślad żadnego z nich.

- A co Kociuba?

- Kociuba siedzi w Szczecinie. Coś tam kombinuje, ale czy co z tego wyjdzie, to Pan Bóg raczy wiedzieć. Dzwonił do mnie parę razy. Jesteśmy w kontakcie.

- Może trzeba mu podesłać kogoś do pomocy?

- Twierdzi, że nie trzeba, że Komenda Wojewódzka pomaga mu wystarczająco.

- Co proponujecie?

- W obecnej sytuacji tylko jedną rzecz mógłbym zaproponować — przeszukanie mieszkania Meysnela.

- Na to trzeba mieć zgodę prokuratora.

- Wiem. Ale chyba możemy otrzymać taką zgodę.

- Meysnela nigdzie nie możecie znaleźć?

- Nigdzie.

- Posyłałście mu wezwanie?

- Bo to raz.

- Może nie dostał?

- To prawdopodobne. Jego skrzynka na listy pełna. Dozorczynie twierdzi, że go już od dawna nie widziała.

- A komendy wojewódzkie?

- Żadna nic nie wie o takim facecie.

- I uważacie, że należałoby przeszukać mieszkanie?

- Moim zdaniem, to jest niezbędne. Praktycznie to jedyny punkt zaczepienia w tej chwili.

Leśniewski pokiwał głową.

- Zgoda. Spróbuję porozumieć się z prokuratorem. Wpadnijcie do mnie jutro z samego rana. Dałbym wam do pomocy Downara, ale on, biedaczysko, ciągle jeszcze w szpitalu.

- A właśnie — ożywił się Olszewski. — Zapomniałem zapytać, jak jego zdrowie?

- Trochę lepiej, ale musi jeszcze jakiś czas побыć na obserwacji.

- Co to właściwie jest?

- Jakieś sprawy żołądkowe. Nerwica, oczywiście. Cóż chcecie...? W naszej robocie to albo owrzodzenie żołądka, albo w ogóle do zakładu psychiatrycznego. Tylko ten, kto u nas nie pracuje, nie zdaje sobie sprawy, jakiego rodzaju to robota. Myślę, że Downar niedługo pójdzie na emeryturę. Należy mu się to. No, więc tak, jak mówiliśmy. Jutro uzgodnimy z prokuratorem przeszukanie tego mieszkania.

Prokurator nie bardzo miał ochotę, ale w rezultacie, namówiony przez pułkownika Leśniewskiego, wyraził zgodę i podpisał, co trzeba.

W Olszewskiego wstąpił nowy duch. Zabrał ze sobą sierżanta Pakułę i nie tracąc czasu pojechali na Saską Kępe.

Dozorczyńni przyjęła ich gościnnie, nieomal serdecznie.

- Dzień dobry. Dzień dobry panom. Pan Meysnel? A był, był. Nawet nie tak dawno.

- Kiedy? — spytał Olszewski.

- Jakoś w zeszłym tygodniu, we środę czy we czwartek. Nie pamiętam.

- No i co? Długo się zatrzymał? Nocował?

- Gdzie tam. Wyjął listy ze skrzynki, poszedł na chwilę na górę do siebie i zaraz pojechał.

- Był wozem?

- Przyjechał taksówką. Czekala na niego.

- Mówiła mu pani, że chcieliśmy się z nim porozumieć?

- Jak mu mogłam powiedzieć, kiedy on po naszymu ani be, ani me, a ja znowuż po angielsku nie tego...

Olszewski spojrział na Pakułę.

- Co robimy?

- Diabli wiedzą — sierżant frasobliwie poskrobał się za uchem. — Z tego wynika, że facet niedawno był, więc nie zniknął.

- No, właśnie — przytaknęła Olszewski. — Jak wobec tego zrobimy z tym przeszukaniem mieszkania?

- W skrzynce znalazł nasze wezwania napisane po angielsku. Do tej pory nie stawiał się w komendzie.

Olszewski zwrócił się do dozorczyńni:

- Ma pani klucze od mieszkania?

- Nie. Ten pan zabrał klucze ze sobą.

- Hm... Co tu robić?

- Jakby ode mnie zależało, to ja bym wszedł do mieszkania — powiedział Pakuła. — Nakaz prokuratora mamy. Jesteśmy w porządku. A że facet był tu w zeszłym tygodniu, to co nas to obchodzi.

- Psiakrew! — zaklął Olszewski. — Trzeba było mieć ten dom pod obserwacją. Ale trudno bez końca trzymać tutaj kogoś.

Pakuła zaczął się niecierpliwić. Nie lubił braku zdecydowania.

- No, wchodzimy czy nie?

- Nie mamy kluczy.

- Eee... To najmniejszy kłopot. Mało to ludzi wchodzi bez kluczy do cudzych mieszkań.

Olszewski powziął decyzję.

- Dobrze. Przeszukamy mieszkanie.

Z automatu zatelefonowali do komendy i sprowadzili ślusarza, który był dobrym fachowcem. Z powodzeniem mógłby zostać profesorem w wyższej szkole włamywaczy. Otworzył drzwi sprawnie, szybko, bez hałasu, nie uszkadzając zamków i nie czyniąc zbędnego zamieszania. Nikt z sąsiadów nawet się nie zorientował, że zostało dokonane urzędowe „włamanie”. Olszewski poprosił dozorczynię, żeby im towarzyszyła.

Weszli. Mieszkanie robiło takie wrażenie, jakby od miesięcy było nie zamieszkane. Wszędzie dawno nie ścierany kurz, po kątach śmiecie, papiery, stare gazety. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach, świadczący o tym, że od dłuższego czasu nikt tu nie otwierał okien.

Pakuła zdjął marynarkę, powiesił ją na krześle i dziarsko zabrał się do roboty.

- Tylko nie zróbcie zbytniego bałaganu — przestrzegął go Olszewski.

- Trudno chyba o większy bałagan — mruknął sierżant. — Sprzątane tu było chyba pod koniec ubiegłego stulecia.

- Tego pana nie było, to i nie sprzątałam — uspra-

wiedliwiała się dozorczyń. — Prawdę mówiąc, nawet przestał mi płacić. Za darmo nie będę się wysilała. Nie zależy mu na porządku, to nie. A co mi tam.

Pracowali parę godzin, ale nic specjalnie interesującego nie znaleźli. Olszewski zainteresował się tylko kobiecym włosom, ozdabiającym poręcz fotela, oraz spośród sterty angielskich gazet wyciągnął „Przekrój” z dziewiętnastego sierpnia z rozwiązaną krzyżówką. Pakuła natomiast nie miał żadnych osiągnięć. Dopiero pod koniec swej działalności spostrzegł w łazience, za sedesem, rozbitą butelkę. Zebrał starannie szkło i przeczytał etykietę: MASTIX. — Co to jest „mastix”?

Olszewski także nie wiedział.

- W każdym razie zabezpieczcie te szkiełka. Może się znajdzie przypadkiem ktoś mądrzejszy od nas, kto będzie się orientował, co to takiego „mastix”.

Okazało się, że to nic trudnego. W Zakładzie Kryminalistyki bez kłopotu znaleźli człowieka, który ich natychmiast poinformował:

- Mastix to płyn używany do charakteryzacji aktorów. Przykleja się nim wąsy, brody, baki. Produkuje go niemiecka firma Leichner.

Olszewski był wyraźnie podekscytowany tym odkryciem.

- Przykleja się nim wąsy, brody, baki — powtórzył i spojrzął na Pakułę, jakby od niego oczekiwał jakichś wyjaśnień w tej sprawie.

Sierżant jednak ograniczył się do pytania:

- Po cholerę facetowi płyn do przyklejania brody czy wąsów? Czyżby się ten Amerykanin charakteryzował?

- niewykluczone — przytaknął Olszewski. — Może chce uchodzić za kogoś innego. Może na przykład wykiwał jakichś swoich kumpi, uciekł z dużą forszą, zmienił nazwisko, wygląd... Takie rzeczy się przecież zdarzają. Tym może się tłumaczyć jego niechęć do kontaktów z milicją.

- Czyżby to on zlikwidował Mierzyckiego?

Olszewski potrząsnął głową.

- Wydaje mi się to mało prawdopodobne. Gdyby nawet

niał na to ochotę, to nie zabijałby go w jego mieszkaniu. Jest tysiąc inteligentniejszych sposobów pozbycia się niewygodnego faceta. Jeżeli przyjmiemy, że ten Meysnel jest amerykańskim gangsterem, to musimy jednocześnie założyć, że zna się na rzeczy i że działa z zachowaniem wszystkich możliwych ostrożności.

- Postępuje bardzo nieostrożnie nie zgłaszając się do komendy mimo naszych wielokrotnych wezwań — zauważył Pakuła.

- To prawda. Ale może ma bardzo poważne powody, żeby tak postępować. Może po prostu boi się zdekonspirować.

Tego dnia Olszewski do późnych godzin wieczornych siedział w komendzie. Zaopatrzył się w papierosy, w czarną kawę, rozłożył na biurku akta sprawy i z pedantyczną dokładnością zabrał się do porządkowania tego wszystkiego. Za wszelką cenę chciał powiązać ze sobą poszczególne fakty w jakąś logiczną całość, wyciągnąć wnioski i stworzyć sobie konkretną koncepcję, zmierzającą do zakończenia tej zawikłanej sprawy. Nie łudził się, co prawda, że może mu się to tak zaraz udać, ale postanowił zrobić maksymalny wysiłek, aby choć w pewnym stopniu rozświetlić sprawę zabójstwa Mierzyckiego.

Przejrzał więc uważnie wszystkie notatki, protokoły i wyniki ekspertyz, wziął kartkę papieru i spisał na niej najważniejsze dane dotyczące sprawy:

1.Mierzycki został zastrzelony w swoim mieszkaniu. Morderca strzelał w plecy. Z tego wynika, że Mierzycki znał tego człowieka, w przeciwnym razie nie odwracałby się do niego tyłem i rozmowa odbywałaby się raczej w przedpokoju.

2.Morderca chciał rzucić podejrzenia na Wojtka Kalinę, który miał dawne porachunki z Mierzyckim, a ostatnio doszło między nimi do poważnej awantury o dziewczynę, o Marcysię, która jest gosposią u pani Landbergowej, mieszkającej w Konstancinie.

3.Mierzycki napisał odręcznie kartkę do gosposi, prosząc ją o przybycie określonego dnia o określonej godzinie.

Morderca musiał wiedzieć o tej kartce, ponieważ na tę samą godzinę wezwał Wojtka w imieniu Mierzyckiego. Tym razem kartka była napisana na maszynie. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że Wiktor Małogórski pisał wezwanie do Wojtka na maszynie, znajdującej się w „pałacu”.

Wniosek: Małogórski jest zamieszany w sprawę morderstwa, co jeszcze dodatkowo potwierdza fakt, że uciekł, zorientowawszy się, że maszynopisy mogą zostać zidentyfikowane przez Zakład Kryminalistyki.

4. List wysłany jakoby przez Mierzyckiego, a napisany na maszynie przez Małogórskiego zaklejała kobieta, co wykazało badanie śliny, znajdującej się na kopercie.

5. W mieszkaniu Mierzyckiego została znaleziona książka z dedykacją napisaną przez jakiegoś Gabriela, którego już odszukał w Szczecinie Kociuba, a który chciał pobić Mierzyckiego zapewne za to, że przez niego siedział w więzieniu. Ten Gabriel może być ważnym ogniwem w sprawie. Należy wobec niego zastosować areszt tymczasowy. Nie można wykluczyć, że Małogórski napuścił Gabriela na Mierzyckiego, chcąc się pozbyć niewygodnego człowieka.

6. W zabójstwo Mierzyckiego zamieszani są więc: Małogórski, jakaś kobieta i ewentualnie Gabriel.

7. King Meysnel? Wielki znak zapytania. Co to za człowiek? Wiadomo tylko tyle, że bardzo bogaty, milioner. Finansuje luksusowy lokal w tym sławnym „pałacu”. Poza tym nic o nim nie wiadomo. Nigdzie nie można go znaleźć. Tajemniczy. Znika. Lubi rozwiązywać krzyżówki. Używa płynu do przyklejania bród i wąsów. Dlaczego udaje, że nie zna języka polskiego? Rozwiązywał krzyżówkę w „Przekroju”.

Olszewski przeczytawszy tych siedem punktów doszedł do wniosku, że zredagował je bardzo chaotycznie, podarł więc kartkę i rzucił ją do kosza. Był wściekły. Właściwie to wszystko nic nie dawało, do niczego nie prowadziło. Co dalej? Kobieta. Jakaś kobieta jest zamieszana w tę sprawę.

Ale kto? W tej chwili nie widział żadnej, która miałaby powiązania z Małogórskim czy z Mierzyckim. Chociaż nie. Jest taka. Landbergowa z Konstancina. Ona знаła Mierzyckiego. Bywał u niej. Tak przynajmniej twierdzi ta dziewczyna, Marcysia. Z Landbergową rozmawiał Kociuba, ale niewiele się dowiedział. Babka ciągle podróżuje. Robi wozem parodniowe wypadki poza Warszawę. Dokąd tak jeździ? Ciekawe. Kociuba twierdzi, że dużo lepiej znała Mierzyckiego, aniżeli chce to okazać. Ale wrażenie to opiera wyłącznie na swojej intuicji. A może warto by się przejechać do Konstancina? Należy pogadać z szefem.

Pułkownik Leśniewski bardzo pozytywnie odniósł się do podmiejskiej wycieczki.

- Jedźcie. Oczywiście. Trochę świeżego powietrza dobrze wam zrobi, a może przy okazji czegoś się dowiecie.

- Miałbym jeszcze jedną prośbę — powiedział Olszewski.

- No, to śmiało. Walcie.

- Chodzi o to, żeby zdjąć odciski palców w mieszkaniu tego Amerykanina na Saskiej Kępie.

- To chyba jest do zrobienia. Macie jakieś poszlaki?

Olszewski uśmiechnął się melancholijnie.

- Poszlak nie mam, ale przydać może się wszystko. Im więcej materiału, tym lepiej.

- Załatwimy to. Amerykanin zniknął?

- Bez śladu.

- Czy podejrzewacie, że został zamordowany?

- Nie mam żadnych danych po temu, żeby tak sądzić.

Olszewski pożegnał pułkownika, wziął wóz i pojechał do Konstancina, upewniwszy się najprzód telefonicznie, że zostanie panią Landbergową.

Przyjęła go, tak jak i Kociubę, uprzejmie, ale bardzo oficjalnie. Przez chwilę obserwował ją uważnie i musiał przyznać w duchu, że to kobieta ekstraklasa, prawdziwa dama.

- Czy pan jeszcze w sprawie tego zabójstwa? — spytała obojętnie.

- Tak. Proszę mi wybaczyć tę natarczywość, ale...

- Wydawało mi się, że wszystko, co wiedziałam, przekazałam już pańskiemu koledze, który mnie nie tak dawno odwiedził.

- Tak. Oczywiście. Wiem o tym. Przykro mi, że jestem zmuszony jeszcze panią niepokoić, ale przejąłem tę sprawę, z którą kolega nie bardzo mógł sobie poradzić, i w związku z tym...

- Czego się pan spodziewa po rozmowie ze mną?

- Pani знаła pana Mierzyckiego, prawda?

- Tak, ale bardzo słabo. To była zupełnie przelotna znajomość, jakich każdy z nas ma wiele.

— Rozumiem. Czy pan Mierzycki bywał u pani?

- Odwiedził mnie kiedyś, będąc w tych stronach.

- To znaczy, że łączyła państwa pewna towarzyska zażyłość. Takich przypadkowych znajomych nie odwiedza się w ich willi.

Spojrzała na niego ostro.

- Mam wrażenie, że chce mi pan coś wmówić, panie poruczniku.

- Ależ, broń Boże — uśmiechnął się uprzejmie Olszewski.

— Absolutnie nie mam takich zamiarów. Po prostu powiedziałem to, co mi się mimo woli nasunęło.

- Mogę pana zapewnić, że pan Mierzycki był dla mnie zupełnie przypadkową znajomością, a to, że tutaj kiedyś mnie odwiedził, to naprawdę nie moja wina. Przyznaję, że byłam tym nawet trochę zaskoczona.

- Czy mogłaby pani jakoś scharakteryzować pana Mierzyckiego?

- Trudno jest scharakteryzować człowieka, którego się ledwie znało. No, cóż... tak zupełnie powierzchownie rzecz traktując, mogę tylko powiedzieć, że to był przystojny mężczyzna, dobrze wychowany, umiejący się znaleźć. O ile sobie przypominam, to chyba mówił jakimś obcym językiem, ale nie powiem panu, czy to angielski, czy niemiecki.

W czasie rozmowy Olszewski zauważył na stojącym opodal stoliczku „Życie Warszawy” z rozwiązaną

krzyżówką. Musiał to być niedzielny numer. I nagle błyskawiczne skojarzenie. Właściwie nic. Żadnych podstaw, żadnych danych, żadnych przesłanek logicznych. Nic oprócz zwykłego, zupełnie irracjonalnego skojarzenia. Od tego momentu czynił nadludzkie wysiłki, żeby wpaść na jakiś pomysł, który pozwoliłby mu zdobyć to, o co mu chodziło.

I nagle zrezygnował zupełnie z rozmowy na temat Mierzyckiego. Zaczął mówić o pogodzie, że taka piękna i taka długa jesień w tym roku, że dni prawie upalne, nieomal lipcowe, że to musi być bardzo przyjemnie mieszkać tak wśród drzew, kwiatów, na łonie natury.

Pani Landbergowa była nieco zaskoczona tą zmianą, ale nie dawała poznać tego po sobie. Prowadziła konwersację lekko, swobodnie, zupełnie tak, jakby się znajdowała na raucie czy zebraniu towarzyskim.

W pewnym momencie Olszewski, którego mózg ciągle intensywnie pracował, rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na doniczkach z pelargoniami, stojącymi w oknie.

- Pani jest wielbicieleką kwiatów — powiedział.

Skinęła głową.

- Tak. Bardzo lubię kwiaty. To moje hobby.

- Podziwiałem pani róże. Są wspaniałe. Co to za gatunek?

- O, to cała historia. Te róże sprowadziłam aż z Anglii. To specjalny gatunek. Wymagają bardzo starannej opieki, ale rezultaty są rzeczywiście efektowne.

Olszewski robił wrażenie człowieka niesłychanie zainteresowanego różami.

- Jakże ja bym chciał mieć takie kwiaty, takie róże. Bo widzi pani... mam skromną działkę i właśnie marzę o pięknych różach. To mój ulubiony kwiat.

- Może mógłby pan sobie sprowadzić z Anglii ten gatunek? — pani Landbergowa po raz pierwszy od początku ich rozmowy uśmiechnęła się życzliwie. — To jest dość kosztowne, ale... Ja to załatwiłam za pośrednictwem moich przyjaciół, którzy mają znajomego ogrodnika...

- Czy mogłaby mi pani dać adres tego ogrodnika i jednocześnie podać dokładną nazwę gatunku tych róż?

- Oczywiście.

Wstała, podeszła do stylowego biurka, wzięła kartkę papieru i długopis. Następnie zajrzała do notatnika i przeczytała kilka słów po angielsku.

- Tylko, błagam panią, proszę mi to zapisać drukowanymi literami, bo ja nie znam angielskiego i miałbym duże trudności z odcyfrowaniem. A te ich nazwiska, nazwy ulic...

Olszewski był bardzo podekscytowany. Nareszcie się coś ruszyło, coś się zaczynało dziać. Już sama rozmowa z panią Landbergową dała mu dużo do myślenia, a rezultat badań, przeprowadzonych przez Zakład Kryminalistyki, stanowił nie lada sensację. Okazało się bowiem, że adres angielskiego hodowcy róż i drukowane litery wypełniające krzyżówkę w „Przekroju”, znalezionym w mieszkaniu Kinga Meysnela, napisane zostały tą samą ręką. To był bardzo poważny krok naprzód.

Więc jednak pani Hortensja Landbergowa nie tylko znalazła tajemniczego Amerykanina, ale bywała u niego, a nawet zabijała w jego mieszkaniu czas, rozwiązując krzyżówki. Z tego jasno wynikało, że musiała tam przebywać długie godziny samotnie. Nikt bowiem podczas towarzyskiej pogawędki nie zajmuje się krzyżówkami ani czytaniem czasopism.

Olszewski uznał tę sprawę za bardzo interesującą. Pułkownik Leśniewski podzielał jego zdanie. Obaj uzgodnili, że należy do akcji wprowadzić Pakułę.

Sierżant miał jakąś kwaśną minę i zrezygnował z dowcipów, którymi zazwyczaj lubił częstować swoich rozmówców.

- Co wam jest? — spytał Olszewski.

- Nic.

- Przecież widzę, że jesteście nie w sosie.

- O jakim tu sosie może być mowa? Najprzód szukaliśmy jednego faceta, teraz szukamy trzech, i nic. Kompletny klops.

- Mam dla was bojowe zadanie.
- Słucham?
- Macie ochotę poflirtować trochę z ładną, młodą dziewczyną?
- Za starym — westchnął melancholijnie Pakuła.
- Hm... — Olszewski zamyślony strzelił parę razy palcami.
- Zaraz... zaraz... Jest tam także i ogrodnik.
- Sierżant skrzywił się z niesmakiem.
- Z ogrodnikiem flirtował nie będę. Nie lubię.

Olszewski roześmiał się. Cenił tego starego wygę za jego poczucie humoru.

- Nie wymagam, żebyście flirtowali z ogrodnikiem. Chodzi o to, żeby wziąć pod obserwację tę Landbergową z Konstancina. Jest tam u niej ogrodnik i gosposia, dziewczyna Wojtka Kaliny. Musicie jakoś z nimi zgrabnie nawiązać kontakt. Wynajmijcie sobie w pobliżu pokoik...

Pakuła pojechał, ale już na drugi dzień wrócił.

- Nic z tego nie będzie, towarzyszu — powiedział posepnie. — To nie dla mnie zadanie.

- Co się stało? — spytał Olszewski.

- A to się stało, że próbowałem zapoznać się z tą dziewczyną, kiedy pojechała po sprawunki rowerem. Zagadnąłem ją bardzo grzecznie, ale ona tak mnie odpaliła, że nie wiedziałem, w którą stronę uciekać. A z tym ogrodnikiem także mi nie wyszło. Mruk jakiś cholerny. W ogóle nie chce gadać. Nawet pół litra żytniej eksportowej żadnego wrażenia na nim nie zrobiło. Mruknął tylko „wątrobą” i poszedł. Ani się obejrzał.

Olszewski pokręcił głową zafrasowany.

- To nieklawo. No, trudno, coś innego będziemy kombinować.

- Chciałem jak najlepiej — tłumaczył się Pakuła.

- Wiem, wiem, oczywiście. Nie przejmujcie się.

Olszewski natychmiast porozumiał się z pułkownikiem, który wytypował sierżanta Pacynę, zwanego potocznie Bolciem.

- Chłopak jest młody, sympatyczny, pochodzi ze wsi.

Łatwiej dogada się z tą dziewczyną.

Bolek Pacyna aż zapał z radości, dowiedziawszy się, że „służbowo” ma flirtować z ładną dziewczuchą. Jego okrągła, wesola twarz poczerwieniała. Po chwili jednak spowaźniał.

- A jak się we mnie zakocha, obywatelu poruczniku?

- Nie bójcie się — uśmiechnął się Olszewski.

- Bo ja się nie chcę chwalić — tłumaczył zadowolony z siebie Bolcio — ale tak się jakoś składa, że mam powodzenie u dziewczyn. Już niejedna ciągnęła mnie do ślubu. Zawsze się wywinąłem.

- Tak boicie się małżeństwa?

- Bać się nie boję, ale nie spieszy mi się. Wolę z wolnej ręki.

Olszewski dokładnie wytłumaczył sierżantowi, o co chodzi, dał mu parę dobrych rad i Pacyna pojechał do Konstancina. Miał tam występować w charakterze hydraulika, ponieważ kiedyś praktykował w tym zawodzie. Tak się też szczęśliwie złożyło, że jakiś jego daleki krewniak mieszkał w Jeziornie. Kwaterę miał więc zapewnioną. Na wszelki wypadek zabrał ze sobą torbę z narzędziami.

Zaraz po przyjeździe zostawił walizkę u krewniaka i z przewieszoną przez ramię torbą z narzędziami wyruszył na poszukiwanie wili pani Landbergowej. Nie było to trudne zadanie. Miał w kieszeni plan, który narysował mu Olszewski. Szedł więc na pewniaka, nie potrzebując pytać przechodniów o drogę.

Maszerował dziarskim krokiem, pogwizdując wesoło. Dzień był pogodny, słoneczny, wymarzony do spacerów. Ale spacer coś się przedłużał. Po półgodzinie Bolcio zaczął się niepokoić. „Coś daleko, psiamać — pomrukiwał. — Czy abym nie zabłądził?” Wyjął z kieszeni plan i zbadał go uważnie. W porządku. Wszystko się zgadzało. Jeszcze dwadzieścia minut i wreszcie dom w ogrodzie, opisany dokładnie przez porucznika Olszewskiego. Koło dzwonka znajdowała się mosiężna tabliczka z wygrawerowanym napisem: „HORTENSJA LANDBERGOWA”.

Pacyna śmiało pchnął furtkę, wszedł i rozejrzał się.

Stary człowiek z długimi, siwymi wąsami zajęty był przycinaniem przekwitłych róż.

- Przepraszam. Czy tutaj wzywano hydraulika?

Ogrodnik nie spojrział nawet na niego. Nie powiedział ani słowa. Niechętnym ruchem wskazał dom.

Pacyna wbiegł na ganek i zadzwonił. Otworzyła mu Marcysia. Spojrzała zdziwiona. Wesoło uśmiechnięta twarz młodego chłopaka usposobiła ją życzliwie.

- Pan do kogo?

- Ja do pana Piotrowskiego. Podobno potrzebny hydraulik.

- Pan Piotrowski tu nie mieszka.

- O, przepraszam. Musiałem pomylić adres. Zaraz sprawdzę.

Zaczął szperać po kieszeniach, szukając niby kartki z adresem. — Zaraz, chwileczkę. Nie mogę znaleźć.

- A może ma pan w torbie — odpowiedziała dziewczyna.

- Może.

Z głębi mieszkania dobiegł głos pani Landbergowej.

- A co tam, Marcysiu? Przyszedł ktoś?

- Przyszedł hydraulik do pana Piotrowskiego. Powiedziałam, że to nie tutaj.

Pani Landbergowa podeszła do drzwi.

- Przecież wiesz, że w kuchni kran przecieka i od dwóch tygodni czekamy na hydraulika.

- Wiem, ale to nie ten hydraulik — tłumaczyła Marcysia.

- Ten czy nie ten, wszystko jedno. Byle był hydraulik — pani Landbergowa była wyraźnie zniecierpliwiona. — Skoro pan już tutaj trafił, może obejrzy pan ten nieszczęsny kran — zwróciła się do Pacyny.

- Dlaczego nie? Już się robi. Gdzie ten kran?

- W kuchni. Proszę. Pan pozwoli.

Okazało się, że w łazience także trzeba zmienić pakunek i że coś z prysznicem nie w porządku.

- Wąż do kitu, proszę pani. Trzeba dać nowy.

- Może pan to załatwić?

- Ma się rozumieć, ale to już chyba nie dzisiaj. Muszę poszukać coś odpowiedniego. Szmelcu pani przecież nie

zamontuję. Wpadnę jutro rano. Tak koło dziesiątej. Pasuje?

- Dobrze. Niech pan przyjdzie o dziesiątej. A ile to będzie kosztować?

- Zależy, co dostanę. Teraz trudno o coś dobrego. Krany eleganckie, chromo-nikiel. Musowo dobrać coś odpowiedniego.

- Może panu dać jakąś zaliczkę?

- Nieznajomym lepiej zaliczek nie dawać. Nie trzeba. Kupię za swoją forszę, a jutro się policzymy.

Wychodząc Bolcio mrugnął porozumiewawczo do Marcysi. Uśmiechnęła się życzliwie. Spodobał jej się ten wesoły, sympatyczny chłopak.

Nie było rady. Sierżant Pacyna musiał wrócić do Warszawy i poszukać porządnego prysznicu. „Zachciało mi się udawać hydraulika — myślał ze złością. — Nie mogłem to przyjść po prośbie do pani Landbergowej albo opowiedzieć jakąś historię o chorej babci, do której muszę jechać, a zabrakło mi pieniędzy na bilet”. Zdawał sobie jednak sprawę, że numer z hydraulikiem był zupełnie niezły.

Nazajutrz zjawił się punktualnie o dziesiątej z nowiutkim, błyszczącym prysznicem w torbie. Trafił na piekielną awanturę.

- Tyle razy mówiłam, żeby w tym miejscu nie kopać! — krzyczała pani Landbergowa. — Jak mam Antoniemu tłumaczyć, że tutaj chcę postawić altankę? Przecież chyba mówię po polsku.

- Chciałem wykopać dół na suche liście — tłumaczył się ogrodnik. — Tutaj, za domem w sam raz pasuje.

- Tłumaczę przecież, że tutaj chcę postawić altankę. Czy Antoni tego nie może zrozumieć?

- A bo to tej altance źle pod tamtym klonem?

- Jeżeli ja chcę, żeby altanka stała tutaj, to ma tak być i Antoni nie ma nic do gadania.

Stary wzruszył ramionami.

- Dobrze. Jak pani chce. Mnie tam wszystko jedno.

Pacyna odczekał chwilę, aż pani Landbergowa zniknęła za drzwiami domu, i dopiero wtedy wszedł do ogrodu.

- Dzień dobry — powiedział, dotykając palcami beretu. — Coś mi się widzi, że szefowa dzisiaj nie w humorku.

Ogrodnik splunął i ze złością wbił łopatę w ziemię.

- Cholera, z babami. Sam diabeł z nimi do ładu nie dojdzie. Chciałem dół wykopać na liście, bo to już z drzew zaczynają opadać. Miejsce wybrałem w sam raz, między krzakami, to cna akuratnie chce tutaj tę diabelską altankę przynosić, jakby jej było źle tam, gdzie stoi. Dopiero na wiosnę stawialiśmy ją pod tamtym klonem, a teraz znowu ją przenos. Jakby innej roboty brakowało. Jak się rozeżle, to cisnę tę robotę i poszukam sobie gdzie indziej. Nie takie znowu mecyje.

Stary był tak rozżalony, że chyba nigdy w życiu nie powiedział tylu słów naraz.

- Niech się pan nie przejmuje. Co panu za różnica, gdzie będzie stała altanka. Nie warto psuć sobie humoru o takie głupstwo — Bolcio uśmiechnął się i poszedł w kierunku domu.

Na ganku przywitała go Marcysia, która właśnie trzepała dywanik.

- Jest pan już z tym prysznicem?

- A jestem. Słowo się rzekło. Ale widzę, że pani zabrała się do generalnych porządków.

- Pani Landbergowa pojutrze wyjeżdża, a lubi zostawić czyściutki dom. Zawsze najwięcej roboty mam przed wyjazdem i po przyjeździe pani.

Zakładając prysznic, sierżant Pacyna rozmyślał nad tym, dlaczego pani Landbergowa koniecznie chce przenieść altankę i czemu tak ostro obsztorcowała ogrodnika. „Może zakopała dolary i chce je zabezpieczyć, a może jakie inne skarby? Cholera ją wie. Z takimi paniusiami nigdy nic nie wiadomo. Widać, że zamożna, dobrze sobie żyje, ma elegancki wóz, stać ją na gosposię, na ogrodnika. Na to wszystko trzeba forsy”.

Skończył robotę i poszedł do kuchni.

- Gotowe. Można się kąpać.

Marcysia pospiesznie wytarła mokre ręce w fartuch.

- Zaraz powiem pani.

- Chwileczkę. Nie pali się. Napiłbym się wody, jakby mi kto dał.

Nalała wody do szklanki.

Wypił duszkiem i odsapnął. — Dobra woda nie jest zła — powiedział z uśmiechem. — Panie Boże zapłać. A roboty dla hydraulika już żadnej u was nie ma?

- Pani chciała w ubikacji założyć taki interes, co to się naciska, żeby woda leciała, ale to już chyba innym razem.

- Kiedy? Może się umówimy?

- To jak pani wróci.

- Kiedy pani wróci?

- A bo ja wiem. Może za dwa dni, a może i za pięć. Jak wyjeżdża, to nigdy nie mówi, kiedy wróci.

- Często wyjeżdża?

- Różnie. Dosyć często.

- I pani wtedy sama zostaje w domu?

- A sama.

- To może ja bym którego dnia wpadł na telewizję. Pogadalibyśmy. Przyniósłbym ćwiarteczkę.

- Z ćwiarteczką to niech się pan do kogo innego wybierze — roześmiała się Marcysia. — Tutaj są bardzo złe psy. Nie lubią zapachu wódki i nie lubią obcych mężczyzn.

Rozdział XIV

Wojtek z każdym dniem stawał się coraz bardziej niepokojny. Ta niejasna i bardzo niepewna sytuacja, w której się znajdował, działała na niego fatalnie. Nienawidził czekania, a teraz właśnie kazano mu czekać i nie miał pojęcia, jak długo to potrwa. Przywykł do gwaru, do towarzystwa, a tutaj po całych dniach siedział samotny, pogrążony w ponurych rozmyślaniach. Czasami, kiedy był w trochę lepszym humorze, wydawało mu się, że wszystko świetnie się ułoży, że szczęśliwie dopłynie do Ameryki, gdzie zacznie nowe, bujne życie. Wyobrażał sobie wtedy, że jest milionerem, właścicielem wielu fabryk, kopalń złota i wspaniałych farm. Ale już na drugi dzień stawała mu przed oczami cela więzienna. Widział salę sądową, mundury milicjantów, słyszał pełne grozy przemówienie prokuratora. Te skrajne wizje rozstrajały go i rujnowały mu nerwy.

W chwilach skrajnej depresji zabierał się do rąbania drzewa, wybierając co twardszą karpinę. Chciał się porządnie zmęczyć i przestać myśleć o tym, co go czeka w najbliższej przyszłości.

Karaluch zniknął, nie uprzedziwszy go ani słowem. Po prostu pewnego poranka nie przyszedł na śniadanie, a wszystkie pytania na jego temat Dobraccy zbywali wzruszeniem ramion. Raz tylko stary Dobracki powiedział: – Twój kumpel wyjechał. A czy przyjedzie i kiedy, to diabli go wiedzą. Dobraccy okazali się ludźmi bardzo mało komunikatywnymi. Między sobą porozumiewali się najchętniej jakimś umownym pomrukiwaniem, a słów używali niezmiernie mało i tylko w sytuacjach przymusowych. Nie było mowy o pogawędkach po obiedzie czy po kolacji. Każdy jadł w milczeniu, wstawał od stołu i szedł do swojej roboty. Od czasu do czasu stary Dobracki wydawał krótkie polecenia, wypowiedane tonem kategorycznym. Nigdy nie próbowali dyskutować na temat tych poleceń. Panowała tu żelazna dyscyplina.

Tak więc Wojtek pozostawiony był sam sobie i coraz częściej popadał w melancholijne nastroje. Przychodziły na niego takie chwile, że w ogóle żałował, że tu przyjechał, i zaczynał już nawet rozmyślać o tym, żeby zwiać, wrócić do Warszawy i zgłosić się na milicję. „Jeżeli sam, dobrowolnie do nich pójde, to może dostanę mniejszy wyrok, a może nawet mnie ulaskawią?” Taka ewentualność wydawała mu się jednak bardzo mało prawdopodobna. Gdyby od razu się zgłosił wtedy, kiedy znalazł trupa Zenona, to co innego. Ale teraz, po upływie tak długiego czasu... Wsadzą do pudła jak amen w pacierzu. Jak go złapią, to już nie puszcza. Szkoda gadać. Zamkną, a potem proces i albo dostanie w czapę, albo dwadzieścia pięć lat. Dwadzieścia pięć lat w pudle. Rany boskie. To już lepiej próbować do tej Ameryki. Co będzie, to będzie.

Któregoś dnia pojawił się nagle Karaluch, tak niespodziewanie, jak niespodziewanie zniknął. Pachniał tak intensywnie wodą kolońską i brylantyną, że można było dostać zawrotu głowy.

Uradowany Wojtek rozpostarł ramiona.

- Karaluch. Chwała Bogu. Niechże cię uścisnę.

Karaluch uskokczył zręcznie w bok i powiedział ostrzegawczo:

- Uważaj. Eksport.

- Jaki eksport? — zdziwił się Wojtek.

- Garniturek. Nie widzisz? Odrzut z eksportu. Ma się te chody.

Wojtek taksującym spojrzeniem obrzucił przyjaciela.

- Wyglądasz rzeczywiście nadzwyczaj wytwornie. Gentleman włamywacz można powiedzieć.

- No, no, tylko bez żadnych aluzji — zastrzegł się Karaluch. Przywitali się serdecznie.

- Gdzieś ty się podziewał? — spytał Wojtek, Karaluch przymrużył lewe oko.

- Wyjechałem w dyplomatycznej misji. Intelligence Service.

- Zniknąłeś tak nagle. Nie wiedziałem, co się z tobą stało.

- Nie chciałem ci mówić. Woląłem uniknąć niepo-

trzebnych pytań, na które i tak nie udzieliłbym ci odpowiedzi.

- Zrobiłeś się cholernie tajemniczy — uśmiechnął się Wojtek. — Chodź do mnie na górę. Chcę z tobą pogadać.-

Poszli. Karaluch rozsiadł się wygodnie i zapalił papierosa.

- No i cóż, Wojtuś? Jak ci leci?

- Mało się nie wścieknę. Długo tu jeszcze będziesz mnie trzymał w tej dziurze?

- Cierpliwości. Jak chcesz się dostać incognito do Ameryki Południowej, to nie możesz się tak niecierpliwić. Wszystko w swoim czasie.

- A w ogóle to będzie coś z tego?

- Ma się rozumieć. Szafa gra na sto dwa. Jeszcze dwa, trzy dni i odjazd.

- Stąd kawałek do morza — zauważył Wojtek.

- Bo też stąd nie będą zabierali. Podwieziemy cię bliżej. Posiedzisz jeszcze kilka godzin w takiej starej budzie i w odpowiednim momencie przrzucają cię na pokład. Spokojna głowa. Wszystko jest opracowane na medal.

- Na co czekamy?

Karaluch wzruszył ramionami.

- A bo ja wiem. Pewnie na towar czekają.

- Na jaki towar?

- Oj, Wojtuś, Wojtuś. Nie bądź taki ciekawy. Pamiętaj o tym, że ludzie ciekawi nie żyją długo. Niczym się nie interesuj, rób, co ci każą, i o nic nie pytaj.

Wojtek przysunął się do Karalucha, ujął go za ramię i ścisnął tak potężnie, że biedaczysko aż jęknął z bólu.

- Oszalałeś? Kości mi chcesz połamać? Puszczaj!

Wojtek nie zwracał na to uwagi. Zwolnił trochę uścisk, ale nie puścił.

- Powiedz mi wreszcie, do jasnej cholery, co to wszystko w ogóle znaczy? Bawisz się w jakieś tajemnice, a ja tu siedzę w tej chałupie jak idiota i czekam nie wiadomo na co.

Karaluch szarpnął się rozpaczliwie.

- Chcesz jechać do Ameryki czy nie chcesz?

- Wiesz przecież, że chcę, ale chcę także wiedzieć, co ty ze

mną robisz i czym to wszystko pachnie?

- Pachnie Ameryką Południową, bananami. Tłumaczyłem ci już przecież, kretynie, że popłyniesz w charakterze marynarza na luksusowym jachcie. Musisz tylko jeszcze trochę uzbroić się w cierpliwość.

- Ale ja chcę wiedzieć, kiedy to wreszcie będzie i jaki wiozą towar — nastawa! Wojtek. — Bo jak narkotyki, to ja rezygnuję. Jeszcze mi tego brakowało, żeby mnie oskarżono o handel narkotykami.

Karaluch uwolnił się wreszcie z przyjacielskiego uścisku i teraz rozcierał obolałe ramię.

- Mówiłem ci, do cholery, że mam na sobie eksportowy garnitur, a ty mnie dusisz, jakby to był zgrzebny worek. Małoś mi dziury w marynarce nie wygniótł. Co cię obchodzi ich towar? Niech wiozą, co chcą. Ważne, żeby ciebie przetransportowali do Argentyny. I przestań mieć wreszcie tyle wymagań. Nie dosyć, że złamanego grosza za podróż nie zapłacisz, to jeszcze grymasisz. A zresztą, rób, jak chcesz. Ja cię przecież do niczego nie zmuszam. Możesz nie jechać. Najlepiej zgłoś się zaraz na milicję, powiedz im, że zaciukałeś tego faceta, i dobra jest. Będziesz miał zapewniony wikt i opierunek do końca życia.

- No, no... — zaczął łagodzić Wojtek. — Nie ciskaj się. Nie mam żadnych pretensji, ale nie możesz się dziwić, że mnie już to wszystko wkurza. Siedzę tu jak głupi i nawet gęby nie mam do kogo otworzyć, bo ci twoi kumple to takie mruki, że można do nich gadać jak do słupa. Żeby chociaż jaka dziewczucha...

- A, tu cię boli — roześmiał się Karaluch. — Dziewuch ci się zachciewa. Będziesz tam miał tych Argentynek skolko ugodno. Nie będziesz się mógł opędzić. „Gdy brazylijskie słońce pali, Atlantyk cicho szumi w dali” — zanucił wyciągając z kieszeni papierosy. — Bądź dobrej myśli, Wojtuś. Wszystko się załatwi jak trzeba. Grunt to cierpliwość i humor.

Po tej rozmowie Wojtek nabrał trochę otuchy. Postanowił już się nie buntować i czekać cierpliwie. Zresztą, nie miał

właściwie innego wyjścia. Był całkowicie zdany na łaskę Karalucha i jego tajemniczych kumpli. Zdawał sobie oczywiście sprawę z tego, że cała ta impreza była bardzo podejrzana i ryzykowna, ale na to nie miał żadnego wpływu. Bez pieniędzy, bez paszportu, bez wizy, ścigany przez milicję... Czego właściwie chciał? Żeby go umieszczono w kabinie luksusowego transatlantyku? Musiał ryzykować. Co będzie, to będzie.

Upłynęły jeszcze dwa dni. Czekanie stawało się coraz bardziej męczące, trudne do zniesienia. Nawet już drzewa nie było do rąbania. Nic, absolutnie nic do roboty. Bo trudno przecież liczyć tych kilka wiader wody przyniesionych ze studni.

Wreszcie przed domem Dobrackich zawarczał motor. Z wozu wygramolił się ten sam barczysty drab, który ich tu przywiózł.

- Cześć, Gieniu — powitał go uradowany Karaluch.

Gienio odburknął coś niezbyt uprzejmie i pchnął furtkę.

- Gdzie ten chłopak?

- Jest. Zaraz go zawołam. Nie zatrzymasz się na chwilę?

- Nie. Jadę. Nie mam czasu.

Karaluch pobiegł w głąb podwórza i odszukał Wojtka przy studni.

- Pakuj się. Odjeżdżasz.

Wojtek tak był poruszony tą nowiną, że z wrażenia aż upuścił pełne wiadro wody. O nic nie pytając pobiegł na górę, spakował walizkę i błyskawicznie był golów do drogi. Nareszcie, nareszcie coś się działo, skończyło się czekanie.

Pożegnanie ze starym Dobrackim i jego synami trwało krótko. Żaden z nich nie wysiłał się na uprzejme słowa. Wojtek podziękował za gościnę i zwrócił się do Karalucha.

- Ty, oczywiście, jedziesz ze mną.

- A kto ci to powiedział? Nic tam po mnie. Ja się nie wybieram do Ameryki. Zostaję w ojczyźnie.

Wojtek trochę się spieszył.

- Myślałem, że i ty jedziesz.

- Toś źle myślał. Ja tam nie jestem potrzebny. No...

trzymaj się, Wojtuś, i niech ci się poszczęści. Może się jeszcze kiedyś zobaczymy, a może nie.

Gienio już siedział za kierownicą. Kciukiem prawej ręki wskazał tylne siedzenie:

- Siadaj.

Ruszyli. Wojtek pomachał dłonią Karaluchowi, który stał przed furtką i patrzył w ślad za oddalającym się wozem. Poczul się jakoś nieswojo. Niby nie mógł się doczekać tej jazdy, a jak przyszło co do czego...

Gienio nie zmienił swego systemu prowadzenia wozu: szybko i pewnie. Nie kwapił się do rozmowy. Wszystkie próby czynione w tym kierunku przez Wojtka zbywał upartym milczeniem. Raz tylko się odezwał i to niezbyt uprzejmie:

- Przestań mi tu pieprzyć nad uszami, do jasnej cholery. Nie widzisz, że prowadzę wóz?

Wojtek umilkł i pogрузił się w niewesołych rozmyśleniach. Najbliższa przyszłość rysowała mu się raczej w ponurych barwach. Prawdę mówiąc, nie bardzo wierzył w to, żeby mu się udało dojechać do Ameryki. „Przymkną tę całą ferajnę — dumal melancholijnie. — A mnie razem z nimi. Będę oglądał Argentynę na Mokotowie albo w jakim innym pudle. Jeżeli mnie oczywiście nie powieszają”.

Po godzinie ostrego tempa zjechali na boczną drogę i zagłębili się w las. Gienio, chcąc nie chcąc, musiał zwolnić. Warunki terenowe nie pozwalały mu rozwijać takiej szybkości jak na szosie. Strzałka szybkościomierza spadła ze stu dziesięciu na pięćdziesiąt. Wojtek odetchnął z ulgą. Nie przepadał za „kawalerską jazdą”.

Jeszcze trzy kwadranse i posłyszał szum, który zwiększał się z każdą chwilą. „Morze” — pomyślał i poczuł, że ogarnia go podniecenie.

„Stara buda”, o której wspominał Karaluch, zasługiwała całkowicie na to miano. Była to zwykła rozwalająca się drewniana chałupa, która w zamierzchłych czasach, być może, odgrywała rolę gajówki czy leśniczówki. Dach w wielu miejscach zapadł się do wewnątrz budynku, a

przegniłe, porośnięte mchem belki groziły całkowitą ruiną.

Gienio zatrzymał wóz i zwrócił się do swego pasażera:

- Wsiadaj.

- I co? — spytał Wojtek.

- Zaczekasz tu. Zabiorą cię albo dzisiaj w nocy, albo jutro. Do żarcia coś znajdziesz w chałupie. Ale ognia palić nie wolno. Rozumiesz?

Zawrócił i odjechał.

Wojtek przez chwilę stał i zafrasowany drapał się w głowę. Następnie podniósł z ziemi walizkę i wolnym krokiem ruszył do chałupy. Jakoś mu się to wszystko nie widziało. Miał jak najgorsze przeczucia.

Okazało się, że wewnątrz rudera trochę lepiej wyglądała niż z zewnątrz. Dwie izby były nawet świeżo wybielone wapnem. Trochę mebli: stół, kilka krzeseł, trzy I wyrka zbite z desek i wymoszczone słomą, żelazny piecyk

- Ano, jakoś to będzie — mruknął Wojtek i usiadł na skraju łóżka.

Rozdział XV

Kociuba energicznie działał na terenie Szczecina. Wspomagany dzielnie przez porucznika Oleszka nie przestawał interesować się panem Feliksem Wróblewskim, jego krzepkim klientem Eugeniuszem Ostapiukiem oraz argentyńskim milionerem Arturem Balistierim. Rupiński został zatrzymany w tymczasowym areszcie, ale następne przesłuchania nie wniosły nic nowego do sprawy.

Ostapiuk, obserwowany uważnie przez sierżanta Nowaka, nie interesował się zniknięciem Rupińskiego. Najwidoczniej, otrzymawszy podyktowaną przez Kociubę kartkę, uznał nagły wyjazd kumpla za rzecz zupełnie naturalną.

Niebawem okazało się, że „pan Gienio” kontaktuje się z Argentyńczykiem. Parę razy odwiedzał go nawet na pokładzie jachtu.

Któregoś dnia około południa siedzieli w komendzie i naradzali się nad dalszym planem działania. W momencie kiedy Oleszek przedstawiał Kociubie swoje propozycje, zadzwonił z miasta sierżant Nowak.

- Obywatelu poruczniku, jadę motorem za Ostapiukiem. Bierze benzynę. Skorzystałem z okazji i dzwonię.

- Nie wiecie, dokąd jedzie?

- Nie mam pojęcia, ale chyba gdzieś dalej, bo kazał łać do pełna i jeszcze zabrał benzynę-do kanistrów.

- Macie broń? — spytał Oleszek.

- Rzecz jasna. Bez tego się nie ruszam.

- Powodzenia. Zaraz po powrocie zameldujcie się.

- Tak jest.

- Jeżeli nie zastaniecie mnie w komendzie, przyjeżdżajcie do mnie do mieszkania. Czekam na was.

- Tak jest.

Nowak wrócił późnym wieczorem. Rzeczywiście nie zastał porucznika w komendzie. Zgodnie z poleceniem pojechał do jego mieszkania.

Oleszek, mimo iż paliła go ciekawość, przygotował najprzód coś do jedzenia i zaparzył świeżej herbaty. Widział, że sierżant ledwie się na nogach trzyma ze zmęczenia.

- Napijcie się kielicha?

- Nie, dziękuję. Za bardzo zmachany. Zaraz bym się urżnął.

Dopiero kiedy zdrożony sierżant podjadł sobie trochę i odpoczął, Oleszek spytał:

- No i co?

- Zaraz wszystko opowiem — odparł Nowak, przełykając ostatni kęs bułki z kiełbasą serdelową. — Więc tak: dzisiaj rano, tak koło dziesiątej, a może nawet było trochę później, zauważyłem, że ten właściciel warsztatu Wróblewski podstawił wóz w pobliżu domu, w którym mieszka Ostapiuk. Ale nie tego szarego „Opla”, tylko czarną „Wołgę”. Po jakimś czasie wyszedł Ostapiuk, wsiadł do wozu i pojechał po benzynę. Ja za nim. Właśnie wtedy telefonowałem, kiedy tankowałem. Pojechałem za nim motorem. Ostrożnie, rna się rozumieć, żeby się nie kapnął. Prowadzi jak wariat, ale trzeba przyznać, że kierowca z niego pierwszej klasy. Mało brakowało, a byłby mnie zgubił. Ledwie dałem radę za nim nadążyć, chociaż przecież motor mam nielichy. Najprzód jechał szosą, potem skreślił w las. Trudno mi było za nim jechać, żeby nie posłyszał motoru. Musiałem zwiększyć odległość. Dojechał do jakiejś wsi i tam z jednej chałupy zabrał do wozu dużego draba. Dalej pojechali we dwóch. Ja, ma się rozumieć, za nimi.

- Co to za wieś? — spytał Oleszek.

- Nawet nie zdążyłem się dowiedzieć. Zresztą, nie chciałem za bardzo pokazywać się ludziom. Taka mała, zapadła wioska, za lasem. Jak będzie trzeba, to trafię.

- I do tej chałupy traficie?

- Ma się rozumieć. Ładny dom. Stoi tak trochę na boku, poza wsią. Widać, że dobry gospodarz, bo całe obejście porządnie utrzymane, ogród spory i w ogóle...

- Jak wyglądał ten człowiek, którego Ostapiuk zabrał do

wozu?

- Duży chłop, barczysty, widać, że krzepki. Pasowałby na boksera albo na zapaśnika. Kawał byka. Nie gorszy od tego „Gienia”.

- Młody?

- Dokładnie go nie widziałem, ale chyba młody. Na wysuszonego dziadka całkiem nie wyglądał. Obserwowałem ich przez lornetkę, ale to długo nie trwało. Wsiedli i zaraz odjechali.

- I co dalej?

- Pojechałem, ma się rozumieć, za nimi. Póki na szosie, to w porządku, ale jak wjechali w las... Teren był taki, że nie mogłem za nimi zasuwać. Posłyszeliby. Nie mogłem ryzykować. Wiem tylko tyle, że pojechali w kierunku morza.

- Wiecie, w którym miejscu wjechali w las?

- Ma się rozumieć. Naznaczyłem sobie drzewo, a z kamieni taką małą pryzmę usypałem. Spokojna głowa, że trafię.

- Dobrze żeście się spisali — pochwalił Oleszek sierżanta. — Będą z was ludzie.

- Daj Boże, obywatelu poruczniku.

Nazajutrz z samego rana Kociuba z ogromnym zainteresowaniem wysłuchał opowiadania o przygodach sierżanta Nowaka.

- Nie chcę nic sugerować — powiedział na zakończenie Oleszek — ale z rysopisu, który podaje Nowak, można by przypuszczać, że ten facet zabrany do wozu przez Ostapiuka to mógłby być z powodzeniem ten wasz Wojtek Kalina.

Kociuba pokiwał głową.

- Niewykluczone. Może chcą go przerzucić do Ameryki na jachcie tego Argentyńczyka. A może już z nim odpłynęli dzisiejszej nocy.

- O to możecie się nie niepokoić — uśmiechnął się Oleszek. — Señor Arturo Balistieri pozostaje pod naszą troskliwą opieką i wiem, że jego jacht jeszcze nie wyruszył

w podróż.

- Ale w każdej chwili to jest możliwe.

- Oczywiście. Facet ma wszystkie dokumenty w porządku. Może wypływać z portu, kiedy tylko ma ochotę. Nie mamy absolutnie żadnych podstaw, żeby go zatrzymać.

- Hm — Kociuba zamyślił się. — A jakby tak przesłuchać tego Ostapiuka. Co wy na to?

Oleszek nie był zachwycony tą propozycją.

- Na to nie mam wielkiej ochoty. Moglibyśmy przedwcześnie spłoszyć całą ferajnę. Jeżeli, tak jak przypuszczamy, jest to dobrze zorganizowana szajka, to natychmiast zetrą wszystkie ślady. Nie znajdziemy nic i niczego się nie dowiemy. Pamiętajcie o tym, że mamy do czynienia z nieprzeciętnymi cwaniakami. I tak bardzo nam się udało, że Ostapiuk nie przejął się zniknięciem Rupińskiego. Uwierzył w tę kartkę i niczego nie podejrzewa.

- Dziwne, że Wróblewski po naszej wizycie nie bał się podstawić wozu Ostapiukowi — powiedział Kociuba.

Oleszek wzruszył ramionami.

- Cóż w tym dziwnego? Po pierwsze, nie wiadomo, czyj to wóz, a po drugie, wydaje mi się, że ten facet nas lekceważy. Nie czuje się zagrożony.

- I chyba źle robi.

- Niewątpliwie. Ale tak już jest, że prawie wszyscy przestępcy, uprawiający przez dłuższy czas jakiś podejrzany proceder, ztracają w pewnym momencie poczucie rzeczywistości, stają się pewni siebie, bezczelni i to ich gubi. Pomyślcie, ilu na przykład fałszerzy pieniędzy uszłoby bezkarnie, gdyby potrafili zatrzymać się w odpowiedniej chwili. Ale chciwość ludzka nie ma granic. A wracając do Wróblewskiego, to mam wrażenie, że właśnie facet zaczyna tracić poczucie rzeczywistości. Jest bardzo pewny siebie.

- Czy nie można by przeprowadzić rewizji na jachcie tego Argentyńczyka? — spytał Kociuba.

Oleszek potrząsnął głową.

- Nie ma żadnych podstaw. To przecież obca bandera. Takie posunięcie mogłoby grozić międzynarodowym

skandalem.

- To znaczy, że pozwolicie mu spokojnie odpłynąć bez względu na to, co i kogo będzie miał na pokładzie.

- Tego nie powiedziałem — uśmiechnął się Oleszek. — Przypuszczam, że będzie miał pewne trudności z opuszczeniem naszych wód. Ale o to niech się martwią wyższe władze. Ja jestem za małą płotką, żebym decydował o tego rodzaju sprawach.

- No, dobrze. A jeżeli rzeczywiście Wojtek Kalina czeka tam w lesie na to, żeby go przetransportowali na ten jacht?

- Do tego nie powinniśmy dopuścić. Być może, nie tylko tego chłopaka chcą zabrać, ale także jakiś towar.

- Mogą to zrobić dzisiejszej nocy.

- Oczywiście. Dlatego też przed nocą powinniśmy odnaleźć tę ich metę.

- Pojedziemy?

- Tak. Po obiedzie zabieramy Nowaka i odjazd,

- Dlaczego po obiedzie? Możemy jechać zaraz.

- Muszę jeszcze załatwić parę bardzo pilnych spraw, ściśle związanych z naszą wyprawą. Czekam na was w komendzie o czternastej.

Kociuba miał sporo wolnego czasu. Postanowił połączyć trochę po mieście. Nie znał Szczecina, a portowe miasta miały dla niego zawsze jakiś specjalny urok. Od morza szedł powiew szerokiego świata. Nieraz, kiedy patrzył na ogromne frachtowce, przycumowane potężnymi linami do brzegu i oczekujące na nowy ładunek, ogarniała go nieprzezwykła chęć, żeby na pokładzie któregoś z nich wyruszyć w daleki rejs, zwiedzić egzotyczne, dziwne kraje, znane mu tylko z książek i z filmów. „Może trzeba było zostać marynarzem — rozmyślał. — Może to ciekawsze życie”. Wiedział jednak, że teraz już za późno o tym myśleć. Ożenił się, założył rodzinę. Dałaby mu Hanka, gdyby tak chciał ją zostawić samą na parę miesięcy. Wcześniej trzeba było się zdecydować, kiedy był wolnym człowiekiem, kawalerem do wzięcia.

Okolo pierwszej poczuł głód. Wstąpił więc do baru

mlecznego, gdzie zjadł barszcz ukraiński, jaja sadzone z kaszą gryczaną i naleśniki z serem. Zaspokoiwszy głód przestał jakoś odczuwać tęsknotę za zamorskimi podróżami. Szedł dziarskim krokiem, wesoły, pogwizdując z cicha.

W pewnym momencie zaniepokoił się. Jakieś wąskie, pustawe uliczki. Nie bardzo wiedział, czy idzie we właściwym kierunku. Czyżby zablądził? Miał zamiar wrócić do komendy tą samą drogą, ale jakoś to wszystko wyglądało inaczej. Najwidoczniej coś mu się pokręciło. Już zaczął się rozglądać za kimś, kogo mógłby zapytać o drogę, gdy nagle spostrzegł samochód zaparkowany przed starym odrapanym domem. Szary „Opel”.

Kociuba przystanął, następnie błyskawicznie przebiegł j na drugą stronę wąskiej uliczki i ukrył się w bramie.] Szarych „Opli” oczywiście mógł spotkać bardzo wiele, j ale...

Nie czekał długo. Z tego mało reprezentacyjnego do- 1 mu wyszedł elegancko ubrany wysoki mężczyzna i skierował się do wozu. Kociuba poczuł, że krew gwałtowną falą uderzyła mu do twarzy. Ależ tak! To on! Nie było żadnych wątpliwości. Nawet w ciemną noc poznałby tego człowieka, po ruchach, po sposobie chodzenia, w ogóle po całej tak bardzo charakterystycznej sylwetce.

W paru susach dopadł szarego „Opla” i nim tamten zdołał zapuścić motor, wszedł do wozu.

- Dzień dobry, panie dyrektorze.

Zaskoczenie było kompletne. Małogórski bardzo zbladł, ale błyskawicznie się opanował. Był zbyt wytrawnym graczem, żeby nie umieć ukryć wrażenia.

- A, pan porucznik Kociuba — powiedział z uprzejmym uśmiechem. — Co za niespodzianka.

- Chciał pan zapewne powiedzieć „co za miła niespodzianka”? Bardzo się cieszę, że pana spotkałem. Mam do pana pewien interes, panie dyrektorze.

Małogórski nie przestawał się uśmiechać.

- O! Do mnie? Interes? Słucham?

- Właściwie chodzi o wyjaśnienie paru drobnych spraw. Czy nie moglibyśmy pojechać do komendy? Tam sobie spokojnie pogawędzimy.

- Jak najchętniej. Ubóstwiam pogawędki w komendzie milicji.

- To się świetnie składa. Czy zna pan adres?

- Chyba tak. A co to pan porucznik porabia tu, na tych peryferiach naszego pięknego portowego miasta?

- Spacerowałem — odparł beztróskim tonem Kociuba. — Taka maleńka wycieczka krajoznawcza. Jeżeli można pana prosić, to może ruszymy. Trochę mi się spieszy.

- Mnie także — powiedział Małogórski i włączył motor.

Szary „Opel” posuwał się niezbyt szybko wąskimi, mało uczęszczanymi uliczkami. Kociuba zaczął się niepokoić. Zupełnie stracił orientację.

- Czy dobrze jedziemy? — spytał.

- Doskonale jedziemy — odparł pogodnie Małogórski i w tej chwili nacisnął hamulec.

Wszystko to stało się tak błyskawicznie, że Kociuba nie zdążył zorientować się w sytuacji. Trzasnęły drzwiczki. Na tylnym siedzeniu pojawiła się potężna postać Ostapiuka.

- Spokojnie, panie poruczniku.

Kociuba poczuł między łopatkami lufę pistoletu. Doskonale wiedział, że to nie żarty i że nie ma sensu próbować oporu. Gienio natychmiast go rozbroił. Jeszcze mocniej wepchnął lufę w plecy swej ofiary i, pragnąc najwidoczniej uniknąć wszelkich nieporozumień, wyjaśnił: — Nie ruszaj się. Z tłumikiem. Nikt nie usłyszy. — Następnie szybkim ruchem zablokował drzwiczki wozu.

Małogórski zwiększył szybkość. Niebawem wydostali się z miasta i gnali teraz szosą. „Pan Wiktor” znowu dodał gazu. Zupełnie przestał się interesować siedzącym koło niego milicjantem. Całkowicie ufał swojemu kumpłowi.

„Strzelą mi w łeb i rzucą w lesie” — myślał frasobliwie Kociuba. Wiedział, że gra idzie na całego i że w obecnej sytuacji nie może liczyć na żadne względy. Świadomość ta nie wpływała dodatnio na jego samopoczucie. Nie miał

najmniejszej ochoty rozstawać się z życiem, ale jednocześnie nie wiedział, co przedsięwziąć, żeby uniknąć tej przykrej ostateczności. W każdym razie, pocieszał go nieco fakt, że ciągle jeszcze żyje. Właściwie mogliby go już wykończyć. Na szosie był stosunkowo mały ruch. Wystarczyło zjechać w las i... Zaczął zastanawiać się nad tym, czy w bagażniku mają łopatę. Jeżeli tak, to sam diabeł nie znajdzie nigdy jego zwłok. To były bardzo przykre rozważania.

W pewnym momencie „pan Gienio”, najwidoczniej lekceważąc już zupełnie swojego jeńca, sięgnął do kieszeni po papierosy. Przy tej czynności musiał przełożyć broń do lewej ręki. Skorzystał z tego Kociuba. Odwrócił się błyskawicznie i pochwycił za pistolet, zadając jednocześnie Ostapiukowi szybki cios w szczękę. Nie docenił jednak przeciwnika. Poczul, jak gdyby pneumatyczny młot walił mu się na głowę, i stracił przytomność.

Z trudem otworzył oczy. Ciężkie, piekące powieki nie chciały się podnieść. Całe ciało jakieś dziwnie drętwe, obce. I ten nieprzyjemny słony smak w ustach. Pić.

Powoli, bardzo powoli odzyskiwał świadomość tego, co się stało. „Musiał mnie wyrznąć piąchą albo pistoletem” – zadźwięczało mu w uszach. Znowu zamknął zmęczone oczy i znowu je otworzył. Mózg zaczynał działać coraz sprawniej. Chciał się poruszyć, dotknąć ręką obolałej głowy. Nic z tego. Ręce miał związane na plecach. Mocny sznur wpijał się bezlitośnie w przeguby. Rozejrzył się. Leżał na drewnianej podłodze. W górze resztki belkowego sufitu. Trochę dalej okno. Jakaś chałupa. „Gdzie oni mnie przywieźli, do cholery? — myślał niespokojnie. — Dlaczego nie wykończyli mnie w lesie?”

Dopiero po dłuższej chwili zauważył, że nad nim siedzi Ostapiuk, pali papierosa i uśmiecha się niezbyt życzliwie.

- No i cóż, panie poruczniku? Marny z pana bokser. Ten sierpowy był całkiem do kitu. Trzeba by potrenować. Nie wiem tylko, czy pan zdąży. Wątpię.

Kociuba milczał. Nie widział celu, żeby wdawać się w

rozmowy z tym opryszkciem.

Ostapiuk rzucił niedopałek na podłogę, przygniótł go butem, następnie wstał, chwycił leżącego za kłapy marynarki, podniósł go jedną ręką jak małego chłopczyka i posadził na krześle.

- A teraz pogadamy.

„Na rozmowę mnie tu przywieźli — pomyślał Kociuba. — W każdym razie zyskałem trochę na czasie. To też coś warte”. Rozejrzał się uważniej po izbie i zobaczył Małogórskiego, który siedział przy stole i pił piwo.

- Pewnie się pan dziwi, panie poruczniku, żeśmy pana nie zakopali gdzieś po drodze — powiedział Ostapiuk.

- Trochę się dziwię — przyznał spokojnym głosem Kociuba. Był zupełnie opanowany. Zdumiewał go jego własny spokój. Nie chciał umierać, ale jednocześnie jakoś zupełnie nie czuł strachu przed zbliżającą się śmiercią.

Ostapiuk przysunął sobie krzesło, usiadł i zapalił nowego papierosa.

- Chcielibyśmy się od pana dowiedzieć różnych rzeczy. Po to żeśmy tu pana przywieźli. Zupełnie niepotrzebnie się pan na mnie porywał. Na co to panu było. Tylko ból głowy i marne samopoczucie. Przecież chyba pan widzi, z kim ma pan do czynienia — nabrał powietrza w potężną klatkę piersiową i klepnął się po bicepsach. — Z czym do gościa, panie poruczniku.

- Pospiesz się — rzucił od stołu Małogórski.

- Tak jest. Więc chcielibyśmy się dowiedzieć od pana, co wam wtedy powiedział ten stary Wróblewski?

Kociuba z trudem wzruszył ramionami. Skrępowana na plecach ręce bardzo ograniczały swobodę ruchów.

- Nic specjalnego.

- Ale konkretnie, co on powiedział? Na jaki temat była rozmowa?

- Rozmawialiśmy o tym „Oplu”.

- O tym, którym żeśmy przyjechali?

- Tak.

- A mówiłem, do cholery, żeby przemalować wóz — wtrącił się znowu Małogórski. — Skończony kretyn ten wasz Wróblewski.

- Dlaczego panowie interesowali się tym wozem? — spytał Ostapiuk.

- Bo tym wozem przyjechał kiedyś do Warszawy pewien obywatel, którym zainteresowała się nasza komenda.

- Gabriel...

- Gabriel Rupiński — uzupełnił Kociuba.

- Przymknęliście go?

- To bardzo prawdopodobne. — Kociuba doszedł do wniosku, że nie ma co ukrywać faktycznego stanu rzeczy i że należy podać jak najwięcej faktów, które mogłyby speszyć przeciwników.

Ostapiuk wymienił szybkie spojrzenie z Małogórskim.

- I jeszcze to jest bardzo prawdopodobne — ciągnął dalej Kociuba — że za chwilę odwiedzą was tutaj moi koledzy z tutejszej komendy wojewódzkiej. Nie radzę więc wam myśleć o zamordowaniu mnie. Morderstwo z premedytacją wypłynie na znaczne zwiększenie wyroku.

- O jakim ty wyroku bredzisz! — ryknął Ostapiuk, zrywając się na równe nogi. — Nie strasz nas tu, frajerze, bo my nie dzieci.

Kociuba potrząsnął głową.

- Nie mam najmniejszego zamiaru was straszyć. Mówię tak, jak jest. Wczoraj jechał za wami, obywatelu Ostapiuk, jeden z naszych ludzi. Widział, jak zabieraliście ze wsi jakiegoś człowieka i jak pojechaliście z nim w las.

Teraz Małogórski także wstał.

- Trzeba kończyć — powiedział nerwowo.

Kociuba zrozumiał, że popełnił błąd, ale było już za późno.

Ostapiuk podniósł go z krzesła i pchnął w kierunku drzwi, wyjmując z kieszeni marynarki pistolet.

W tej chwili z przyległej izby wyszedł Wojtek. Podciągnął spodnie i podszedł do Ostapiuka.

- Co chcecie z nim zrobić?

- Nie twoja sprawa — odburknął Ostapiuk, usiłując odepchnąć Wojtka. Nie było to jednak takie proste.

- Kalina! — wykrzyknął Kociuba z nadzieją w głosie.

Wojtek przyjrzał mu się uważniej.

- Pan porucznik?

- Poznajecie mnie?

- No, chyba. Przecież pan porucznik do pudła mnie wtedy wpakował.

Kociuba zrozumiał, że ostatnia szansa została przegrana. Od tego chłopaka nie mógł spodziewać się pomocy.

Ostapiuk, który z pewnym zaciekawieniem przysłuchiwał się temu dialogowi, popchnął Kociubę ku wyjściu.

- No, dalej. Jazda. Szkoda czasu.

Wojtek zastąpił mu drogę.

- Zostaw go. Nie pozwolę go zastrzelić.

- Zjeżdżaj, pętaku - warknął wściekle Ostapiuk, skierowując na natręta lufę pistoletu. — Bo i tobie łeb rozwałę.

Wszystko to trwało ułamek sekundy. Jeden chwyt i wyluskany pistolet upadł na podłogę, zaś Wojtkowa pięść wylądowała na szczęce bandyty, który runął jak rażony piorunem. „Pałacowe” przeszkolenie nie poszło na marne.

- Uważaj! — krzyknął Kociuba. Wojtek zrobił błyskawiczny unik i kula przeszła tuż koło jego głowy. Okazało się, że Małogórski także był uzbrojony. Nie zdążył po raz drugi nacisnąć spustu. Wojtek już był przy nim. Wytrącił mu parabellum z ręki i krótkim ciosem powalił na ziemię. Następnie podniósł obydwie pistolety, jeden wsunął do kieszeni, a drugi zatknął za pasek, podszedł do Kociuby i uwolnił go z więzów.

- W porządku, panie poruczniku.

- Dziękuję — powiedział Kociuba, rozcierając zdrętwiałe przeguby rąk.

Wojtek wziął ze stołu butelkę z piwem i spojrzał na nią pod światło.

- Jeszcze trochę zostało. Niech pan się napije. Musiało panu cośkolwiek zaschnąć w gardle.

Kociuba wypił chciwie i odetchnął głębiej. Poczul się trochę lepiej.

Usiedli przy stole. Przez chwilę milczeli. Pierwszy odezwał się Wojtek.

- No i co?

- Uratowałeś mi życie — powiedział Kociuba.

Wojtek wzruszył ramionami.

- E tam... Nie ma o czym gadać. Nie bardzo się zmęczył z tymi facetami. Widziało mi się nawet, że ten gruby twardszy. Od jednego ciosu usnął.

Kociuba spojrział na leżące nieruchomo ciała.

- Zaraz odzyskają przytomność.

- Nie ma strachu — zapewnił go Wojtek. — I za pół godziny nie dojdą do siebie. Dobrze trafieni.

Umilkli. Obaj byli dziwnie zażenowani.

- Co robimy? — spytał Kociuba.

- Załadujemy tych bandziorów do wozu i odjazd.

- Dokąd chcecie jechać?

- Do Szczecina, do komendy MO.

- Mówicie poważnie?

W niebieskich oczach Wojtka pojawiły się wesołe ogniki

- Przecież pan porucznik pewnie mnie teraz zaaresztuje, no nie?

Kociuba czuł, że ma bardzo głupią minę.

- Powiedzcie mi, dlaczego właściwie nie pozwoliliście mnie zastrzelić temu bandziorowi?

- Jakoś mi było nijak — uśmiechnął się z zażenowaniem Wojtek.

Rozdział XVI

Olszewski bynajmniej nie zlekceważył informacji, których dostarczył mu Bolcio Pacyna.

- Więc powiadacie, że Landbergowa nie pozwoliła kopać tego dołu na zeschnięte liście?

- Wściekła się baba, towarzyszu poruczniku. Opieprzyła ogrodnika z dołu do góry. Aż mi żal było starego.

- Iw tym miejscu chce koniecznie ustawić altankę.

- Właśnie. Po mojemu to nie ma najmniejszego sensu. Altanka pasuje pierwszorzędnie tam, gdzie stoi. Dlaczego chce ją przemieścić, to czort ją wie. Chyba że coś tam zakopała i chce zamaskować teren.

- Otóż to-podchwycił Olszewski. -Chyba że coś tam zakopała.

Sierżant Pacyna był bardzo zadowolony z siebie. Jeszcze żaden z oficerów tak po nim nie powtarzał.

- Może złoto zakopała albo dolary — podsunął.

- Może — mruknął Olszewski i zamyślił się. — I pani Landbergowa pojutrze wybiera się w podróż?

- Tak przynajmniej powiedziała mi ta dziewczyna.

- To dobrze. Niewykluczone, że i my wybierzemy się w podróż.

Po rozmowie z Pacyną Olszewski natychmiast zameldował się u pułkownika. Narada trwała krótko. Początkowo Leśniewski wysuwał rozmaite obiekcje, ale w rezultacie zgodził się.

- Dobrze. Pamiętajcie jednak, że jeżeli to są tylko bezpodstawne domysły, to mogą wynikać poważne kłopoty. Prokurator nie da zezwolenia.

- Biorę to na swoją odpowiedzialność — powiedział Olszewski. — Jak nie wyjdzie, podaję się do dymisji. A naszą rozmowę uważam za zupełnie prywatną. Ja nic nie powiedziałem i nie otrzymałem żadnych oficjalnych dyspozycji.

Leśniewski uśmiechnął się.

- Nie traktujcie tego aż tak bardzo poważnie. Jakoś to

załatwimy. W najgorszym wypadku powie się, że chodzi o jakiś niewypał, który znaleźli chłopcy i przerzucili przez płot do ogrodu. Damy sobie radę.

Było ich w wozie trzech, nie licząc kierowcy: Olszewski, Pakuła i sierżant Wiśniewski z drogowej, w przepisowym mundurze i ze służbowym „lizakiem” za pasem.

- Jedźcie tak, żeby się nie od razu skapowała, że za nią posuwamy — powiedział Olszewski.

- To się rozumie — odparł zza kierownicy Sikora.

Czekali już od szóstej, ale Landbergowa wyruszyła dopiero około ósmej. Prowadziła swojego „Mercedesa” z wprawą doświadczonego kierowcy.

- Żeby nam nie uciekła — mruknął Sikora, naciskając gaz. — Ma dobry wóz.

Olszewski uznał, że uwaga jest słuszna. Postanowił przyspieszyć akcję.

- Do dechy i włączcie syrenę — rozkazał. — Nie będzie uciekała.

Rzeczywiście. „Mercedes” zmniejszył szybkość. Minęli go i stanęli w poprzek szosy. Landbergowa zatrzymała się.

Pakuła wysiadł razem z sierżantem Wiśniewskim. Podeszli do „Mercedesa”.

- O co chodzi? — spytała energicznie Landbergowa, opuszczając szybę.

Wiśniewski grzecznie zasalutował.

- Najmocniej przepraszamy. Kontrola dokumentów.-

Bez słowa podała prawo jazdy. Wiśniewski studiował je bardzo uważnie.

- Przeteterminowane. Zapomniała pani przedłużyć prawo jazdy.

- Coś podobnego! — oburzyła się Landbergowa. - Pan chyba się na tym nie zna. W zeszłym tygodniu przedłużyłam.

- Brak pieczętki — upierał się Wiśniewski.

- Jakiej znowu pieczętki? Niechże się pan przyjrzy. Są

wszystkie pieczętki.

Sierżant pokręcił głową.

- Brak pieczętki — powtórzył. Pakuła na wszelki wypadek otworzył drzwiczki i usiadł koło Landbergowej. Spojrzała na niego z wściekłością. Zaczynała tracić zimną krew.

- Czyście poszaleli? O co wam chodzi? Co to wszystko znaczy? Proszę mnie natychmiast puścić. Bardzo się spieszę.

- A czy można wiedzieć, dokąd się pani tak spieszy? — spytał Pakuła.

- To jest moja sprawa i to was nie obchodzi. Teraz ja poproszę o legitymacje panów. Zaczynam mieć poważne wątpliwości, czy rzeczywiście mam do czynienia z przedstawicielami milicji.

Wylegitymowali się posłusznie.

- Widzi pani... sytuacja jest trochę skomplikowana — wyjaśnił sierżant Wiśniewski. — Czy mógłbym zajrzeć do silnika?

- Proszę.

Badanie silnika trwało dość długo. Pani Landbergowa była bardzo zniecierpliwiona. Palila jednego papierosa za drugim. Pakuła obserwował ją spod oka.

Wreszcie Wiśniewski skończył i wrócił do okna.

- Kiedy pani kupowała ten wóz?

- Na wiosnę tego roku. A o co chodzi?

- Chodzi o to — Wiśniewski odchrząknął z zakłopotaniem.

— Chodzi o to, że ten wóz jest kradziony.

- Pan zwariował!

- Nie sądzę. Od kilku miesięcy szukamy tego „Mercedesa”.
Od kogo pani go kupiła?

- Okazyjnie. Od jednego mojego znajomego.

- Hm. Sprawa się trochę komplikuje. Będzie pani musiała pojechać z nami do komendy.

- Ależ to niemożliwe! Ja się spieszę. Mam swoje sprawy do załatwienia. Czeka ją na mnie.

- Bardzo żałuję, ale musi pani pojechać z nami do komendy.

Dialog przedłużał się. Pani Landbergowa była coraz bardziej zdenerwowana i zniecierpliwiona, milicjanci natomiast stawali się coraz spokojniejsi, coraz bardziej powolni. Najwidoczniej wcale im się nie spieszyło. Skończyło się jednak na tym, że zabrali „Mercedesa” oraz jego właścicielkę do komendy.

Tymczasem sierżant Pacyna, dobrawszy sobie do pomocy trzech krzepkich chłopaków uzbrojonych w łopaty, pojechał do Konstancina. Był po cywilnemu i Marcysia potraktowała go oczywiście jako hydraulika. Ogrodnik miał dzień wolny.

Pacyna wyjaśnił, że w sąsiednich posesjach jest jakaś awaria i że muszą poszukać pękniętej rury. Marcysia nie sprzeciwiała się.

Zaczęli kopać w miejscu, w którym miała stanąć altanka. Początkowo nic nie wskazywało na to, żeby podejrzenia sierżanta opierały się na jakichś konkretnych podstawach. Dopiero na głębokości dwóch metrów łopata uderzyła o coś twardego. Była to kość czołowa.

Fachowcy z medycyny sądowej orzekli, że śmierć nastąpiła zapewne przed kilkoma miesiącami. Zwłoki były stosunkowo dobrze zakonserwowane, co można było za wdzięczać piaszczystemu terenowi. Bez trudu stwierdzono, że był to mężczyzna średniego wzrostu, noszący niewielką, spiczastą bródkę i ciemne okulary, które powędrowały z nim do grobu. Najwidoczniej morderca chciał się w ten sposób pozbyć dowodu rzeczowego. Przy kręgosłupie znaleziono kulę rewolwerową.

Pani Landbergowa była całkowicie opanowana. Paliła papierosa i z podziwu godnym spokojem przyglądała się swojemu rozmówcy. Po wcześniejszym zdenerwowaniu nie zostało śladu.

- Czy można wiedzieć, na jakiej podstawie panowie mnie zaaresztowali? — zwróciła się do Olszewskiego. — Chciałabym zobaczyć nakaz prokuratorski. Mam chyba do

tego prawo. Jeżeli nawet ten wóz został rzeczywiście skradziony, to ja go nabyłam przecież w dobrej wierze. Nie sądzę, żeby to był powód do więzienia mnie.

Olszewski uśmiechnął się uprzejmie, ale nie od razu zareagował na to przemówienie.

To nie chodzi o kradzież wozu — powiedział po chwili.

— W takim razie, co to wszystko znaczy?

- Czy pani wie, co znaleźliśmy w pani „Mercedesie”?

Potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia.

- Znaleźliśmy ni mniej, ni więcej tylko osiemdziesiąt trzy tysiące dolarów. To spora kwota.

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy pani Landbergowej.

- Nie ma u nas ustawy, która by zabraniała posiadania obcej waluty — powiedziała z imponującym spokojem.

- To prawda — zgodził się Olszewski. — Ale w takim razie, dlaczego pani tak sprytnie ukryła w wozie tę obcą walutę i może zechciałaby pani podać nam źródło tego rodzaju dochodów.

Ciągle jeszcze utrzymywała się w dobrej formie.

- Nie sądzę, żebym musiała tłumaczyć się z tego. W każdym razie nie przed panem, panie poruczniku.

- Jak pani uważa. Może wobec tego przejdziemy do następnego punktu dzisiejszego porządku dziennego. Czy zechce mi pani odpowiedzieć na pytanie, gdzie i kiedy poznała pani pana Kinga Meysnela?

- Nie znam pana Meysnela. W każdym razie nie przypominam sobie.

- Hm. To dziwne — Olszewski miał zakłopotaną minę. — To nawet bardzo dziwne. Bo raz pani twierdzi, że kiedyś przypadkowo poznała pani pana Meysnela, innym razem zeznaje pani, że w ogóle go pani nie zna.

Lekko wzruszyła ramionami.

- Być może, że kiedyś poznałam w jakimś towarzystwie człowieka o tym nazwisku, ale doprawdy nie przypominam sobie. Spotykam tylu różnych ludzi, że trudno wszystkich

zapamiętać. Może kiedyś na jakimś przyjęciu.

Olszewski ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Tak, oczywiście, takie rzeczy się zdarzają, szczególnie, jeżeli ktoś prowadzi ożywione życie towarzyskie. Trochę mnie tylko dziwi to, że była pani częstym gościem w mieszkaniu pana Meysnela.

- Ja?! W jego mieszkaniu?

- Tak. To jest właśnie dziwne. I nie tylko bywała pani w jego mieszkaniu, ale nawet rozwiązywała pani tam krzyżówki — sięgnął do szuflady i wyjął „Przekrój”. — Proszę. Nawet poradziła sobie pani z dość trudnymi hasłami.

Potrząsnęła głową.

- Pan się myli. Ja z tym nie mam nic wspólnego.

- Wydaje mi się, że pamięć pani nie dopisuje — uśmiechnął się jakby przepraszająco Olszewski. — Czy pani przypomina sobie naszą ostatnią rozmowę u pani w domu?

- Oczywiście, że sobie przypominam.

- Otóż wtedy zapisała mi pani drukowanymi literami nazwisko i adres tego angielskiego ogrodnika, który hoduje róże. Niech pani sobie wyobrazi, że tę notatkę porównano w naszym Zakładzie Kryminalistyki z rozwiązaną w „Przekroju” krzyżówką. Dokładna ekspertyza wykazała, że drukowane litery w tej krzyżówce były napisane pani ręką. Sprawa ta nie budzi wątpliwości.

- Eksperci mogą się mylić — głos pani Landbergowej nie brzmiał już tak pewnie.

- To prawda — przyznał Olszewski. — Zdarzają się rozmaite omyłki. W danym wypadku jest to jednak bardzo mało prawdopodobne. Nasi specjaliści nie mieli żadnych wątpliwości. Z tego więc wynika jasno, że bywała pani w mieszkaniu pana Meysnela i nie tylko bywała pani, ale nawet zabawiała się tam krzyżówkami oraz przyklejaniem sobie brody.

- Co takiego...?!

- W mieszkaniu pana Meysnela znaleźliśmy buteleczkę po płynie „Mastix”, używanym przez aktorów do charaktery-

zacji. Butelka była wprawdzie potłuczona, ale udało nam się na tym szkłe znaleźć odcisk pani wskazującego palca. To pani przyklejała sobie brodę. A propos, chciałem jeszcze panią zapytać, kiedy dokładnie zakopała pani zwłoki Kinga Meysnela w swoim ogrodzie?

- Nie! — zdumienie i przerażenie było w tym okrzyku.

- Niech pani sobie wyobrazi, że odkopaliśmy zwłoki pana Meysnela — ciągnął dalej nieubłagane Olszewski. — Trzeba było wcześniej przenieść tę altankę. To był duży błąd.

Zasłoniła twarz dłońmi.

- I jeszcze jedna sprawa. Zenon Mierzycki został zastrzelony z tego samego pistoletu, z którego zabiła pani Meysnela. Znaleźliśmy kulę, od której zginął King Meysnel.

Następne przesłuchanie nie nastęczyło żadnych trudności. Małogórski kompletnie się załamał i nie miał zamiaru bawić się w jakąkolwiek grę. Wobec materiału dowodowego, który był nie do odparcia, doszedł do wniosku, że jedynie szczere przyznanie się do wszystkiego może wpłynąć na poprawę jego sytuacji. Mówił więc prawdę, usiłując całą winę zwalić na Landbergową, która, jak się później okazało, była jego kochanką.

Olszewski poprosił Kociubę, żeby był obecny przy tej rozmowie. Wiedział przecież, że po leśnej przygodzie Małogórski nie będzie miał odwagi kłamać w obecności Frania.

- Niech nam pan to wszystko opowie od początku. Powoli. Mamy dużo czasu. Jest tu karafka z wodą, w razie gdyby panu zaschło w gardle.

- Co mam mówić, panie poruczniku? — spytał Małogórski.

- Przede wszystkim chcielibyśmy wiedzieć, w jaki sposób pani Landbergowa doszła do takich dużych pieniędzy?

- Kombinowali razem z Meysnelem we Włoszech.

- Jakiś skok?

- Chyba tak... Myślę, że tak... w Mediolanie.

- Wykiwali wspólników i przyjechali do Polski.

- Właśnie tak było, panie poruczniku.

- A następnie Meysnel chciał wykiwać Landbergową i zabrać całą forszę.

- To nie był uczciwy człowiek, panie poruczniku.

- I Landbergowa kropnęła go.

Małogórski zatrzepotał nerwowo rękami.

- Ja nie miałem z tym absolutnie nic wspólnego.

- Potem Landbergowa występowała jako Meysnel - mówił dalej Olszewski. — Bardzo zgrabnie się charakteryzowała.

- Była kiedyś aktorką. Umiała zmieniać głos — uzupełnił usłużnie Małogórski.

- I ona także zastrzeliła Mierzyckiego.

- Ja o tym nic nie wiedziałem, panie poruczniku, absolutnie nic nie wiedziałem. Nie byłbym na to pozwolił.

- Ale list na maszynie pan wystukał. Ten list, który otrzymał Wojtek Kalina jakoby od Mierzyckiego.

- Prosiła mnie. Nie miałem pojęcia, w jakim celu potrzebny jej ten list.

- Cel jest zupełnie jasny. Chodziło o zwabienie Kaliny do mieszkania Mierzyckiego już po popełnieniu morderstwa. Chłopak miał na pieńku z Mierzyckim i łatwo było rzucić na niego podejrzenie. O to przecież chodziło. Czy mógłby nam pan wyjaśnić, dlaczego Landbergowa zabiła Mierzyckiego?

Małogórski zawahał się. Widać było, że nie może się zdecydować.

- Mierzycki podrobił klucze do mieszkania Meysnela — powiedział Olszewski. — Zrobił to niewątpliwie w jakimś konkretnym celu. Czy nie sądzi pan, że chciał go po prostu okraść?

Małogórski skinął głową.

- Myślę, że tak. Przywoziłem Meysnelowi duże sumy, przeważnie w dolarach. To były tygodniowe albo dwutygodniowe dochody z lokalu.

- I co...?

- No i... Mierzycki... — Małogórski przełknął ślinę.

- Śmiało — zachęcił go Olszewski. — Mnie się wydaje, że pewnego dnia Mierzycki wszedł przy pomocy dorobionych kluczy do mieszkania Meysnela i zastał tam panią Landbergową, która przebierała się za swojego niedawnego współnika, przyklejała brodę, wąsy

Małogórski odetchnął z widoczną ulgą.

- Zupełnie prawidłowo pan to wydedukował, panie poruczniku. Tak było.

- I wtedy Landbergowa postanowiła zlikwidować człowieka, który poznał jej tajemnicę — ciągnął dalej Olszewski. — Mierzycki miał ją w rękę. Mógł ją szantażować, żądając ogromnego udziału w zyskach. To było bardzo ryzykowne.

- Ja z tym wszystkim nie miałem nic wspólnego, panie poruczniku — znowu zastrzegł się Małogórski. — To działo się poza moimi plecami. Hortensja... To znaczy pani Landbergowa jest osobą ogromnie apodyktyczną. Zawsze decyduje sama, nie pytając nikogo o radę. Przecież gdybym wiedział, nigdy bym na coś takiego nie pozwolił. Może mi pan wierzyć.

Olszewski uśmiechnął się.

- Z tym wierzeniem, to u mnie jest bardzo rozmaicie. Ale na razie zostawmy ten temat. Taka maleńka dygresja. Czy to prawda, że miał pan zamiar opuścić nas* kraj, nie troszcząc się o formalności paszportowe?

Małogórski bardzo się zmieszał.

- Właściwie... — odchrząknął. — Rzeczywiście... To znaczy... Chciałem tak się trochę przejechać...

- Tym jachtem — podsunął Olszewski.

- Akurat tak się złożyło, że jeden mój znajomy cudzoziemiec zaproponował mi przejażdżkę jachtem i...

- I dlatego miał pan zamiar zastrzelić tu obecnego porucznika Kociubę.

- Ja nie miałem takiego zamiaru, panie poruczniku. To tamci... To tamten. To ten Ostapiuk...

- Coś mi się wydaje, że pan za dużo chce zwalić na swoich kolegów — uśmiechnął się Olszewski. — A to nieładnie, nawet bardzo nieładnie. No, cóż... Powrócimy Jeszcze chyba nieraz do tej interesującej rozmowy.

- Powiedziałem całą prawdę, panie poruczniku — zapewnił Małogórski. — Daję najświętsze słowo honoru, że powiedziałem prawdę. Zostałem w to wszystko wpłątany,

omotany, wciśnięto mnie. Nie zdawałem sobie sprawy. Bo proszę sobie wyobrazić...

- Dobrze, dobrze, niech się pan nie męczy — przerwał mu Olszewski. — Te wszystkie zapewnienia są najzupełniej zbyteczne.

- Czy nie mógłbym za kaucją...? — spytał nieśmiało Małogórski.

Olszewski potrząsnął głową.

- Nie. Nie mógłby pan za kaucją. Żałuję, ale to niemożliwe. W tej chwili wszystko, co mogę dla pana zrobić, to zakończyć tę rozmowę.

Po wyjściu Małogórskiego Olszewski wesoło spojrzął na Kociubę.

- No i co? Chyba dobijamy do końca tej cholernej sprawy.

- Wszystko na to wskazuje — przyznał Kociuba. —¹ Czy będziesz jeszcze przesłuchiwał Landbergową?

- Oczywiście. Chciałbym ustalić jej powiązania z handlarzami złotem i dolarami. Nie ma chyba wątpliwości, że te dolary wiozła dla Argentyńczyka, który miał zabrać oprócz tego na swój jacht Kalinę i Małogórskiego. Przypuszczalnie dostawali złoto, za które skupowali papierowe dolary, zarabiając ciężką forszę na różnicy kursu. Chłop zawsze woli mieć złoto aniżeli papierki.

- Trochę jest dla mnie niejasna sprawa zamordowania Mierzyckiego — powiedział Kociuba.

Olszewski pochylił się nad biurkiem i zaczął porządkować porozrzucane papiery.

- To proste. Landbergowa była u niego, żeby omówić sprawę płacenia ewentualnego haraczu. W jej obecności napisał kartkę do gosposi, ponieważ rzeczywiście miał wyjechać w teren. Wtedy Landbergowa powzięła zamiar zlikwidowania niebezpiecznego współnika. Zadzwoiła do Małogórskiego, prosząc go, żeby wystukał na maszynie tą kartkę, którą następnie otrzymał Wojtek Kalina.

Rozdział XVII

Nie była zadowolona z siebie. Zaczynała się denerwować. Ona, taka zawsze opanowana, spokojna, znana ze swej zimnej krwi. Czyżby przemoczenie? A może rzeczywiście istniały jakieś konkretne powody do niepokoju?

Od powrotu z Rzymu nie mogła się skomunikować. Wielokrotnie dzwoniła do Landbergowej. Na próżno. Zatelefonowała do „pałacu”. Powiedziano jej, że Małogórski wyjechał i nie zostawił żadnych wiadomości. Ksawery, który odebrał telefon, był bardzo lakoniczny i nie miał zamiaru przedłużać rozmowy. Nawet Wojtek nie pokazywał się ani nie dzwonił. Co to wszystko znaczy? Czyżby zaczynało coś się psuć?

Wzięła wóz i pojechała do Konstancina. Willa była zamknięta. Ani żywej duszy. Ogrodnik i gospoia także gdzieś zniknęli. Hortensja miała na nią czekać. Dlaczego wyjechała? Przecież się umówiły. Co z towarem? Zaczęte transakcje trzeba finalizować. Nie można czekać.

Jeszcze dwa razy jeździła do Konstancina, zawsze z tym samym rezultatem, a raczej bez rezultatu. Zatelefonowała do Szczecina. Pomocnik Wróblewskiego powiedział, że szef wyjechał i nie wiadomo, kiedy wróci. To ją do reszty zniecierpliwilo. Postanowiła na miejscu czegoś się dowiedzieć. Początkowo miała zamiar jechać wozem, ale po namyśle zrezygnowała z tego planu. Za długa i zbyt męcząca podróż. Wsiadła w samolot i poleciała.

Dariusz Drucik miał zakłopotaną minę.

- Nie wiem, gdzie szef. Wyjechał.

- Nie mówił, kiedy wróci?

- Nic nie mówił. Pojechał i już.

- Możecie mi pożyczyć jakiś wóz?

- Dlaczego nie. Można. Pani bierze tę „Wołgę”.

W drodze zastanawiała się, czy dobrze robi, że tam jedzie. „Jeżeli nawet coś nie gra, to przecież jest rzeczą zupełnie nieprawdopodobną, żeby ewentualna wpadka objęła

absolutnie wszystkich, i to w tak krótkim czasie — myślała. — To niemożliwe, to zupełnie niemożliwe. Te rzeczy nie idą w tak błyskawicznym tempie. Niepotrzebnie się denerwuję”.

Energicznie naciskała gaz. Chciała jak najprędzej czegoś się dowiedzieć, a przede wszystkim chciała dostać towar i sfinalizować transakcję.

Po godzinie była na miejscu. Wysiadła z wozu i z prawdziwą przyjemnością wciągnęła w płuca pachnące lasem, chłodne, rześkie powietrze. Zaczynała się uspokajać. Tutaj wszystko po staremu, spokój, cisza, nic się nie dzieje. Była zła na siebie, że dała się ponieść nerwom. Mało brakowało, a byłaby wpadła w panikę. Idiotka.

Pchnęła furtkę pomalowaną zieloną farbą i weszła do ogrodu. Trochę ją to zdziwiło, że po terenie nie kręci się żaden z chłopaków, ale pora była obiadowa i być może siedzieli przy stole.

Szybkim krokiem wbiegła na ganek i otworzyła drzwi które nie były zamknięte. Nikogo.

- Jest tam kto? — spytała energicznie podnosząc głos. — Jest tam kto? — powtórzyła jeszcze głośniejsze.

Z przyległego pokoju wyszedł tata Dobracki.

- Dzień dobry — powiedziała Beata, wyciągając rękę.

- Dzień dobry — w tym powitaniu nie czuć było entuzjazmu.

Beata była jednak przyzwyczajona do mrukliwości starego i nie zwracała na to uwagi. Usiadła, otworzyła torebkę i wyjęła z niej papierosy.

- Co słyhać?

- Ano, nic.

- Jak interesy?

- Gospodarzy się. Jak zwykle.

- Ja nie pytam o gospodarke.

- A o co?

Beata zapaliła papierosa i zaciągnęła się dymem.

- Niech pan nie udaje głupiego, panie Dobracki. Pytam o towar.

- O jaki towar? Nie rozumiem.

- Ten Argentyńczyk miał przecież dostarczyć dużą partię. Towar miał być zamelinowany u pana.

Dobracki szarpnął wąsa i zaczął gwałtownie kaszleć. Poczzerwieniał.

- Co się z panem dzieje? — spytała zaniepokojona.

- Nic, nic. Zakrztusiłem się — przestał kaszleć i odetchnął głęboko.

- Bo ja potrzebuję towaru. Mam większą transakcję do zrealizowania.

- Nie wiem, o czym pani mówi.

Spojrzała na niego uważniej.

- Co to wszystko znaczy? O co chodzi?

- To znaczy, że panu Dobrackiemu bardzo jest niezręcznie rozmawiać z panią na te tematy — posłyszała za swoimi plecami spokojny głos.

Odwróciła się gwałtownie. W drzwiach stało dwóch mężczyzn w milicyjnych mundurach.

Kociuba szybkim krokiem zbliżył się do Beaty.

- Bardzo się cieszę z naszego spotkania - powiedział z uśmiechem. — Już dawno chciałem panią poznać.

Dużo tego było. Około stu kilogramów złota w sztabkach. „Towar” przechowywali Dobraccy w piwnicy, w zgrabnie skonstruowanej skrytce. Ich niefortunna współniczka znajdowała się w niezwykle kłopotliwej sytuacji. Nie bardzo mogła zaprzeczać, a jednocześnie nie miała najmniejszej ochoty przytakiwać. Nie pozostawało jej więc nic innego, jak obrać taktykę milczenia. Ani jednak Olszewski, ani Kociuba specjalnie się tym nie przejmowali. Wiedzieli doskonale, że prędzej czy później piękna pani Beata opowie im wszystko bardzo dokładnie. Główne elementy sprawy zostały już właściwie wyjaśnione, a na szczegóły można było spokojnie poczekać.

Olszewski, dzielnie wspomagany przez Kociubę, nadawał raportowi ostatni „literacki szlif”.

Zadzwoił telefon. ,

Olszewski podniósł słuchawkę, powiedział: — Dobrze - i

zaraz ją odłożył. — Idziemy do starego.

- Nie kończymy? — spytał Kociuba.

- Mamy zaraz się zameldować.

Pułkownik był w dobrym humorze.

- Siadajcie, siadajcie. Jak tam z raportem?

- Właśnie wygładzaliśmy stylistycznie — uśmiechnął się Olszewski.

- Nie musicie wygładzać. Dawajcie tak, jak jest. Aby prędko. Może być zupełnie surowy materiał. Chyba że macie jeszcze jakieś wątpliwości, jakieś luki.

- Mnie się wydaje, że sprawa jest tylko częściowo zakończona — powiedział Kociuba. — To znaczy, pierwszy etap mamy za sobą. Teraz jeszcze dalszy ciąg przesłuchań i postaramy się rozszyfrować powiązania. To przecież duża afera, obejmująca teren całego kraju.

Leśniewski pokiwał głową.

- Macie, oczywiście, rację. Roboty nie zabraknie wam przez dłuższy czas. Kończcie szybko ten wstępny raport, ale zanim mi go przedłożycie, chciałbym otrzymać od was kilka wyjaśnień. Papier papierem, a ja bardzo lubię posłuchać, jak tak ktoś własnymi słowami... Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, czy Landbergowa przyznała się do popełnienia tych dwóch morderstw.

Olszewski skinął głową.

- Tak. Wobec materiału dowodowego, jaki jej przedstawiliśmy, nie mogła zaprzeczyć. Zresztą, zeznania Małogórskiego całkowicie potwierdzają fakt zamordowania przez nią Meysnela i Mierzyckiego.

- Małogórski nie usiłował bronić swej przyjaciółki?

- Ale skąd. Nawet nie próbował. To nie ten typ. Wszystko powiedział, żeby tylko jakoś siebie ratować. Nie było z nim kłopotu. Zresztą, po tej scenie nad morzem nie bardzo mógł coś przekonywającego wymyślić. Doskonale zdaje sobie sprawę, że znajduje się raczej w podłej sytuacji. Przecież chcieli zastrzelić Kociubą i gdyby nie Wojtek...

- A propos. Co z Wojtkiem Kaliną?

- Ja się nim zajmę — powiedział Kociuba. — Wszystko już

przemyślałem.

Leśniewski miał zadowoloną minę.

- To dobrze. Zależy mi na tym, żeby tego chłopaka Jakoś ustawić. Zachował się wyjątkowo przyzwoicie. A teraz chciałbym się czegoś bliższego dowiedzieć o sprawie Meysnela. Z tego, co się orientuję, wynika, że razem z Landbergową i jeszcze z innymi współnikami zorganizował poważniejszy skok w Mediolanie i z dużą forszą pojawił się na terenie Polski.

- Uciekł przed współnikami — uzupełnił Olszewski — których wykiwał i zostawił we Włoszech. Chciał to samo zrobić z Landbergową, ale tutaj trafiła kosa na kamień. Landbergowa wykończyła go i zakopała w ogrodzie, w którym hodowała piękne róże.

- Musiała mieć upoważnienie do podpisywania czeków — powiedział pułkownik.

- Oczywiście. Znaleźliśmy u niej w mieszkaniu parę książeczek czekowych, na dwa banki szwajcarskie, na bank angielski, na Banco di Santo Spirito i mieli także u nas konto walutowe i konto złotówkowe w PKO.

- A co z tą dziewczyną, którą zatrzymaliście tam pod Szczecinem? Jak to ona się nazywa?

- Beata Sarnicka. No, cóż... siedzi. Na razie nie bardzo ma ochotę z nami rozmawiać, ale z biegiem czasu rozkręci się.

- Przedsiębiorcza niewiasta.

- Bardzo. Przedsiębiorcza i sprytna.

- Zdaje się, że to w niej zakochał się Wojtek Kalina.

- Tak. Ona już od dawna jeździ w teren skupować dolary u chłopów. Właśnie podczas jednej takiej wyprawy poznał ją Wojtek. Wtedy to oczywiście była działalność na małą skalę. Kombinowali z Mierzyckim. Drobne rzeczy. Dopiero kiedy się spiknęła z Landbergową, zaczęła rozwijać swoje handlowe talenty. To już był duży biznes. Dostawali złoto z Włoch, z Austrii, z Francji, a nawet z Ameryki Południowej.

Leśniewski spochmurniał.

- Psiakrew! Nie mogę odżałować, że nie udało nam się zatrzymać tego Argentyńczyka.

- Właśnie. Szkoda — przytaknął Olszewski. — Zwiął tamtej nocy, kiedy miał zabrać na pokład Wojtka i Małogórskiego. Zresztą, wtedy nie miał już na jachcie złota. Cały ładunek był bezpiecznie ukryty u Dobrackich.

- A Landbergowa wiozła dla niego dolary — wtrącił się Kociuba. — I byłyby zawiozła, gdyby trochę wcześniej pomyślała o tej altance. Pozornie drobna rzecz, a jednak...

- Czy sądzicie, że Meysnel był inicjatorem tych dolarowych transakcji?

Olszewski skrzywił się z powątpiewaniem.

- Trudno na to pytanie odpowiedzieć. Jeszcze za mało wiemy. Wydaje mi się jednak, że raczej był przeciwny handlowi złotem i dolarami. Być może, że nawet przez to doszło do konfliktu pomiędzy nim a Landbergową. Meysnel załatwiał inne interesy w „pałacu” za pośrednictwem Małogórskiego, któremu ufał. Trochę to dziwne, ale w końcu komuś trzeba ufać. Meysnel miał chyba inne plany. Zorganizował lokal, gdzie przyjeżdżały na zabawę różne osobistości i wozy z rejestracją CD nie były rzadkością. Chciał nawiązać kontakty, dowiedzieć się tego i owego, a następnie zręcznie wykorzystać te wiadomości.

- Sądzicie, że działalność szpiegowska? — spytał Leśniewski.

- W pewnym sensie tak, ale nie na naszą niekorzyść. Mógł na przykład Amerykanom sprzedawać informacje dotyczące Francji czy Anglii. W takim wypadku nasze władze mu nie zagrażały. To był bardzo sprytny i pomysłowy facet.

Nie można też wykluczyć, że coś tam kombinował z narkotykami. Bylibyśmy go oczywiście szerzej rozpracowali, gdyby nie zabójstwo Mierzyckiego, a ściślej mówiąc, gdyby nie zabójstwo samego Meysnela.

Leśniewski pokiwał głową.

- To, co mówicie, wydaje mi się bardzo prawdopodobne. Dziwię się tylko, że taki sprytny facet dał się zaskoczyć Landbergowej.

- Po prostu nie sądził, że jej niezadowolenie posunie się tak daleko. Nie traktował jej jako potencjalnej mor-

derczyni.

- Chciał wycofać z interesu cały kapitał.

- Właśnie. To potwierdza Landbergowa. Chciał podjąć forszę tutaj, zabrać książeczki czekowe i wiać za granicę. Działalność Landbergowej wydawała mu się zbyt ryzykowna. Szmugiel dolarów i złota uważał za nieustające zagrożenie. Landbergowa nie chciała ustąpić. Doszło do ostrego starcia i Landbergowa zdecydowała się „zlikwidować” współnika. Tak to mniej więcej można sobie zrekonstruować sytuację na podstawie zeznań Landbergowej i Małogórskiego.

- Czy Małogórski wiedział o tym, że Landbergowa zabiła Meysnela?

- Wiedział, ale chyba zorientował się dopiero znacznie później. W pewnym momencie musiała go wtajemniczyć w tę sprawę. Potrzebna jej była jakaś pomoc. Poza tym wydaje mi się, że Małogórski mógł mieć jakieś wątpliwości co do autentyczności Meysnela, którego znał lepiej aniżeli na przykład Mierzycki.

- Mierzycki nie domyślał się mistyfikacji?

- Absolutnie nie. Do momentu, kiedy zaskoczył Landbergowa, charakteryzującą się na Meysnela.

- I wtedy zaczął ją szantażować.

- Oczywiście. Widocznie wysunął zbyt wygórowane żądania, jeżeli postanowiła pozbyć się go raz na zawsze.

- Twarda baba — powiedział z przekonaniem Leśniewski.

— Nie daj Boże mieć z takimi do czynienia.

Olszewski pokiwał głową.

- A jak się trafi taka żona?

- Otóż to — westchnął Leśniewski i zamyślił się. Dla nikogo w komendzie nie było tajemnicą, że pani pułkownikowa nie należy do kobiet łatwych w pożyciu. — Czy chcecie coś dodać do tego, coście powiedzieli?

- Chyba nie. Jeszcze się zastanowimy nad szczegółami przy ostatecznej redakcji raportu.

Kiedy wyszli od szefa, Olszewski wziął Kociubę pod rękę i powiedział:

- Chciałbym, żebyście jutro wpadli z żoną do nas na herbatę. Co ty na to, Franuś?
- Jutro, niestety, nie mogę. Wyjeżdżam.
- Wyjeżdżasz? Dokąd? Służbowa?
- Tak na wpół. Jadę pod Jędrzejów.

Rozdział XVIII

I znowu przyszła jesień. Znowu z drzew spadały kolorowe liście, a pola pachniały świeżo zoraną ziemią. Wrony całymi stadami siadały na czarnych skibach, zające kryły się po lasach, srebrzysty szron osiadał wczesnym rankiem na przydrożnych krzakach.

Magda dała świniom jeść. Wracała z pustym szaflikiem do chałupy. Nagle zatrzymała się na środku podwórza i nadstawiła uszu. Posłyszała daleki warkot motoru. Nie wypuszczając szaflika z ręki, podbiegła do płotu.

- Wicuś! A chodźże tu! Wicuś...!

Kalina, który był zajęty rąbaniem drzewa, wbił siekierę w pniak, podniósł głowę i spytał:

- A czego tam?

- Ktosik do nas jedzie. Samochód. Od szosy jedzie.

- A niech jedzie — odburknął chłop, splunął w dłonie i rąbał dalej.

- Wicuś! Już są blisko — uparcie informowała męża Magda. — Do nas jadą. Ani chybi.

- Pies z nimi tańcował. Niech se jadą, gdzie chcą.

Przed furtką zatrzymała się czarna „Wołga”, z której wysiadło dwóch mężczyzn.

- Wojtek! — krzyknęła Magda i pędem pobiegła do syna, rzucając na ziemię szaflik. — Wojtek! Syneczku! Wojtusi!

Podniósł matkę, przytulił, ścisnął, całował.

- Mamo!

Teraz stary Kalina przestał rąbać drzewo i podszedł do furtki.

- A to co znowu? — spytał zaskoczony, zdziwiony. — Co to znaczy?

Kociuba pospiesznie pchnął furtkę i podszedł do starego. Był w mundurze i wyglądał tak, jakby wybierał się na defiladę.

- Przywiozłem wam syna, gospodarzu. Dzielny chłopak. Życie mi uratował. Co było, to było. Nie ma co wspominać. Możecie być z niego dumni.

Kalina spojrział podejrzliwie.

- Ejże...

- Tak jest, jak wam mówię. Mogę wam tu całą komendę przywieźć. Wszyscy poświadczą.

Magda zwróciła się do męża.

- Wojtuś przyjechał. Widzisz? Wojtuś przyjechał.—
Popchnęła syna. — Uściśnijże ojca. Na co czekasz?

Wojtek zbliżył się nieśmiało

- Tato.

Kociuba popchnął Kalinę.

- Przywitajcie się z synem.

Kalina podkręcił wąsa.

- Ano... Jak pan porucznik każe.

Ojciec i syn padli sobie w objęcia.

W tej chwili od strony drogi rozległ się krzyk:

- Wojtuś!

Odwrócił się.

- Marcysia! — podbiegł i chwycił ją w ramiona. — Marcysia.
Skąd ty tutaj? Skąd ty tutaj?

Kalina znowu szarpnęła wąsa.

- To wy się znacie?

- Nie tylko, że się znamy, ale nawet bardzo się lubimy —
wyjaśniała roześmiana Marcysia.

Kalina pokręcił głową.

- No, no, ale żeś nas ocyganiła, dziewczyno. Anim się
spodziewałem, że znasz Wojtka.

Wieczór był ciepły. Zupełnie nie czuło się nadchodzącej zimy. Tylko szeleszczące pod nogami liście przypominały, że to już październik.

Wojtek mocniej ścisnął rękę dziewczyny.

- Marcysia...

- Co?

- Czy to prawda, że ty mnie lubisz?

— A jak ci się widzi, głupi?

- Bo i ja cię lubię. Nawet nie myślałem, że tak bardzo cię

lubię. Może się nawet z tobą ożenię.

- Najprzód musisz mnie zapytać, czy cię zechcą.;

- A zechcesz mnie?

- Może.

Roześmiali się weseli, szczęśliwi.

— Marcysia.

- Co?

- Jakże to się stało, żeś do moich rodziców przyjechała?

- A zwyczajnie. Tamta mnie odprawiła. To wsiadłam w pociąg i przyjechałam. Przecie powiedziałaś mi gdzie mieszkają. Najęłam się do twoich rodziców do służby. Wiedziałam, że i ty przyjedziesz.

- Kto ci powiedział?

- Porucznik. Ten drugi. On mi poradził, żebym do twoich rodziców jechała.

Wojtek głęboko wciągnął w płuca powietrze.

- Pola pachną — powiedział cicho.

CENA Zł 30.-

Czy w ogóle dobrze zrobił, że uciekł? To pytanie nie dawało mu spokoju. Może powinien być zostać i zawiadomić milicję o tym, co się stało? Może byliby mu uwierzyli, że to nie on zastrzelił Zenona? Ale zaraz pojawiły się wątpliwości. Kto by mu uwierzył? Jeszcze nie ma roku, jak wyszedł z więzienia. Dla milicji jest i zawsze będzie kryminalistą, podejrzanym typem, zdolnym do zrobienia każdego świństwa. Natychmiast by go zamknęli, a potem się tłumacz. Co miał na swoje usprawiedliwienie? Nic, absolutnie nic. Ta baba zastała go nad trupem Zenona. W jaki sposób mógł udowodnić, że to nie on zabił?



lesiojot